



**JADWIGA
COURTHS-MAHLER**



Trzy miłości Martiny

I

Martina, ubrana w czarną sukienkę, siedziała skulona w fotelu przy kominku. Zmarznięta, kurczyła ramiona i wpatrywała się w dogasający żar. Zmierzch wkraadał się do pokoju i pełzając kładł swe cienie na wszystkich przedmiotach, przemieniając je w szarą nijakość. Martina była sama — pozostawiono ją samą sobie w jej wielkim bólu. Zmagała się z rozpaczą, z nieznanym lękiem przed jutrem, z całą grozą osamotnienia.

Drzwi do pokoju obok stały otwarte, smuga światła padała aż po kąt, gdzie był kominek, obejmowała odbijającą od czarnej sukni twarz Martiny, która zabłysła jasną plamą na tle rozplywającego się zmierzchu. Była to blada, pociągła, dziecięca twarzyczka.

Z przyległego pokoju dochodziły odgłosy rozmowy. Jakby z oddali, nieomal spoza rzeczywistości, docierały do jej uszu. Żaden z tych głosów nie był jej bliski i nie stanowił odrobiny pocieszenia dla biednej sieroty, której ojciec uległ przed trzema laty „wypadkowi na polowaniu”, a matkę przed godziną właśnie pochowano. Śpi teraz tam, w odległej części parku, na małym skrawku poświęconej ziemi, pod kasztanowcami szeroko rozpościerającymi swe gałęzie, w miejscu gdzie dziedzicom Rainau wolno było chować swych bliźnich i które było ich własnym prywatnym cmentarzem. Spoczywa tam już ojciec Martiny, z własnej woli zakończywszy życie, co oględnie nazywano „wypadkiem na polowaniu”. Teraz i matkę śmierć uwolniła od pełnego bólu i udręki życia.

Martina wciąż myślała o tym, co powiedziała matka na krótko przed śmiercią:

— Nie płacz po mnie, kochane dziecko. Mnie będzie tam lepiej, na pewno lepiej. Będę wolna od wszelkiego bólu i trosk i już nikt nie będzie mnie dręczył. Tylko nad samą sobą przyjdzie ci płakać, moje kochane, biedne dziecko. Jeśli jednak Bóg wysłucha mojej modlitwy, uchroni cię przed tak ciężkim losem, jaki spotkał mnie.

Potem dała Martinie zapieczętowaną kopertę, w której były jej zapiski, i powiedziała:

— Tę kopertę oddaj wujkowi Georgowi, mojemu drogiemu bratu, gdy go wreszcie zobaczysz. Oby dzień ten nie był zbyt odległy! Niech wuj Georg to przeczyta — to mój dziennik — i niech przechowa do czasu, aż ukończysz osiemnaście lat. Wówczas i ty przeczytaj, byś się przekonała, że człowiek jest jedynie igraszką w rękach losu. Przechowaj ją dobrze!

Owe zapiski w zalakowanej kopercie ukryła Martina pieczołowicie wśród swego skromnego dobytku, w izdebce na poddaszu. Wiedziała, dlaczego matka nie chciała, by na kartkach jej dziennika spoczęły zimne, obojętne oczy.

Teraz skulona z zimna nasłuchiwała w tępych odrętwieniu głosów dochodzących z przyległego pokoju. Zebrali się tam wszyscy jej krewni ze strony ojca, by naradzić się co do jej losu. Matka pozostawiła tylko jednego krewnego, swego brata Georga. Ale ten przebywał w dalekich krajach i nie domyślał się nawet, że jego jedyna, ukochana siostra w wieku niespełna trzydziestu pięciu lat zakończyła życie.

Zmęczona, wyczerpana płaczem i wieloma nocami czuwania przy łożu chorej matki, siedziała Martina ze spuszczoną głową. Była śmiertelnie udęczona i najchętniej umarłaby razem z matką. To zaledwie czternastoletnie dziewczę pozostawiono samo z ciężkim obowiązkiem pielęgnowania chorej. Nikt w całym domu nie miał czasu dla cichej, bladej pani Marii i jej córki Martiny. Te dwie istoty były dla całej rodziny uciążliwe. Gdyby nie obawa przed ludzką obmową, prawdopodobnie wypędzono by je z domu. By zbytnio nie przeszkadzały, ulokowane zostały na poddaszu, w dwóch ciasnych izdebkach. A od czasu, gdy pani Maria nie opuszczała już łóżka, posyłano im tam skromne posiłki.

Co było powodem szczęścia i nieszczęścia tych dwóch istot? Przecież piętnaście lat temu matka Martiny przybyła do Rainau jako promieniująca radością narzeczoną. Cała rodzina Dornbergów, prześcigała się wówczas w okazywaniu sympatii. Pan Teodor Dornberg, dziadek Martiny, całował dłonie synowej, prawił komplementy i nazywał „swą ukochaną córeczką”, babka głaskała jej ręce i raz po raz brała w ramiona, a obie szwagierki pani Marii, Melania i Helena, zapewniały, iż pragną, by została ich ukochaną przyjaciółką. Natomiast małżonek pani Marii, Rupert Dornberg wniósł swą piękną żonę przez próg domu na rękach, szepcząc jej do ucha najczulsze słówka.

Ale tak działo się tylko dlatego, że widziano w niej bogatą spadkobierczynię, która miała uwolnić Rainau z ciężących na nim długów, a wszystkim tym ludziom wyczarować beztrudne życie. Spodziewano się, że dzięki Marii spłynie na rodzinę Ruperta deszcz złota. Była przecież córką bogatego bankiera Feldnera i miała tylko jednego brata, z którym w przyszłości miałyby dzielić wielki spadek.

Tak więc adorowano ją, traktując jako wybawienie od pełnej trosk, nędznej egzystencji. Tym bardziej zasmucająca i drastyczna była odmiana, która zaszła w bardzo krótkim czasie.

Pierwszy cień padł na iluzoryczne szczęście Marii, gdy jej ojciec nie wypłacił swemu zięciowi obiecane go posagu. Rupert Dornberg poślubił Marię tylko dlatego, że miała być bogatą spadkobierczynią. A był najwyższy czas, by przez bogaty ożenek powstrzymać rodzinny dom przed całkowitym upadkiem.

Rupert był jedynym synem, w nim właśnie pokładano wszelkie nadzieje. Prócz niego rodzice mieli jeszcze trzy córki, z których tylko jedna, najstarsza, poślubiona była oficerowi. Pozostałe dwie nadaremnie czekały na konkurentów. Ładne, ale biedne, nie mogły spodziewać się bogatych pretendentów do ręki, takich, którzy mogliby odsunąć od Rainau widmo ruiny.

Wszelkie nadzieje wiązano zatem wyłącznie z Rupertem i radość zapanowała, gdy zaręczył się z córką bogatego bankiera Feldnera. Młody człowiek wiedział, że może wprowadzić do rodziny jedynie kobietę bogatą, toteż z zimną kalkulacją rozglądał się w okolicy za posażną panną.

Rupert Dornberg znał się z bratem Marii, Georgiem Feldnerem, z gimnazjum. Znajomość tę nazwał nawet przyjaźnią. Już wówczas z ukrytą zazdrością obserwował dostatnie życie Georga i konsekwentnie trzymał się zamożnego „przyjaciela”. Ten zaś, człowiek wielkoduszny i szlachetny, nie domyślał się prawdziwych motywów postępowania kolegi.

Po ukończeniu gimnazjum oraz studiów wyższych Georg Feldner prowadził życie światowca, tego ze względów prestiżowych życzył sobie jego ojciec.

Styl życia Georga utwierdził Ruperta w przekonaniu, że ojciec kolegi musi być niezmiernie bogatym człowiekiem. Zwyczaje panujące w wytwornej willi Feldnerów potwierdziły domysły, gdy więc Rupert dowiedział się, że Georg ma siostrę na wydaniu, poprosił o przedstawienie go ojcu.

Uroczą Marię Feldner była uwielbiana przez wielu, lecz zakochała się w Rupercie, który zadziwiająco zręcznie potrafił zbliżyć się do niej. Wyznał także Georgowi, że zakochał się w jego siostrze Marii i żyć bez niej nie może.

Georg nie przypuszczał, że wszystko to było podyktowane wyrachowaniem. Sądził, że Rupert Dornberg, syn właściciela Rainau, dość dużej posiadłości ziemskiej, nie ma żadnych powodów, by żenić się dla pieniędzy. Zauważywszy, że siostra kocha Ruperta, pozostawił sprawy ich naturalnemu biegowi. Zaręczyny i ślub odbyły się w krótkim odstępie czasu i wszystko zdawało się być jednym, pełnym blasku pasmem szczęścia. Ale już wkrótce Maria utwierdziła się w podejrzeniu, że Rupert poślubił ją z wyrachowania. Pewności co do tego nabrała równie niespodziewanie, jak boleśnie.

Któregoś dnia nadeszła do Rainau wiadomość, że bankier Feldner popełnił samobójstwo. Zakrojone na wielką skalę i w efekcie nieudane spekulacje doprowadziły go do bankructwa. W banku Feldnera zapanował okropny zamęt; mówiono, że wszystko zostało stracone.

Na tę wieść Maria popadła w rozpacz, ale przerażenie sparaliżowało ją całkowicie dopiero, gdy członkowie rodziny napadli na nią z okrutnymi, ohydnyimi pretensjami. Także mężowi spadła w tej godzinie maska z twarzy. Ujrzała jego nikczemność i podłość. Pozwolił, by nazwano ją córką oszusta, która podstępnie wdarła się do godnej szacunku rodziny. Stał po stronie swych krewnych i oznajmił w zimnych, suchych słowach, że został zwiedziony. Miał nadzieję — jak się sam wyraził — żeniąc się z nią zrobić dobrą partię, nie mógł bowiem pozwolić sobie na małżeństwo z kobietą ubogą.

— Teraz my jesteśmy w sytuacji bez wyjścia, a Rupert ma cię na głowie. To ty jesteś winna, przez ciebie on nie może nam już pomóc! — krzyczała w złości Melania, siostra Ruperta.

Wrażliwa i subtelna Maria była bezbronna wobec tych obelg. Odrętwiała z rozpacz nie mogła uciec przed złością i podłością tych ludzi, gdyż spodziewała się dziecka i przez to czuła się na zawsze z nimi związana. Nienawykła do takiej nikczemności, milczeniem odpowiadała na oskarżenia. Nie wiedziała, co czyni i co się z nią dzieje. Później nie mogła sobie nawet przypomnieć, jak to się stało, że znalazła się przy łożu śmierci swego ojca.

Jej brat Georg, serdecznie ją kochający i wzajemnie przez nią kochany, przeraził się jej żalonym wyglądem. Nie domyślał się jednak, co przeżyła i wycierpiała. Wstydząc się za swego męża milczała, a Georg, sądząc że jest przerażona śmiercią ojca i utratą majątku, próbował ją pocieszać.

— Nie załamuj się, Mario, wszystkimi siłami będę walczył o naszą rehabilitację. Prawdopodobnie ojciec, przerażony nieudaną spekulacją, w pierwszej chwili stracił po prostu panowanie nad sobą. Może nie jest aż tak źle, jak on się obawiał. Chcę w każdym razie uczynić wszystko, co w mej mocy, by ocalić przynajmniej honor nazwiska. Ty masz na szczęście schronienie w Rainau, a ja mogę pracować. Najważniejsze, abyśmy wyszli z tej katastrofy z dobrym imieniem.

Maria przytaknęła w milczeniu. Nie powiedziała bratu, jak mało bezpiecznie czuła się w Rainau.

Jednak Georg w tych pełnych udręki dniach miał sam poznać szwagra z nowej dotąd strony.

— Muszę dostać przynajmniej tych sto tysięcy marek, które mi twój ojciec bezwarunkowo przyrzekł i które z jego powodu musiałem pożyczyć. Zostałem okrutnie oszukany, gdy przedstawiliście mi Marię jako bogatą pannę, przyszłą spadkobierczynię. Sto tysięcy muszę do-

stać bezwzględnie, bym mógł dla siebie i rodziny ratować majątek Rainau, które nas wszystkich żywi. W przeciwnym razie cofną mi kredyt i będziemy zgubieni — powiedział.

Teraz i dla Georga stało się jasne, że Rupert poślubił jego siostrę wyłącznie z wyrachowania. Zrozumiał przyczynę głębokiego załamania Marii i ogarnęło go serdeczne współczucie. Był jednak człowiekiem honoru i to powstrzymywało go od spełnienia żądań Ruperta.

— Tu w grę wchodzi dobre imię mojego ojca a tym samym i mój honor. Nim z całej masy spadkowej wyciągnę jakąkolwiek sumę dla ciebie, Rupercie, muszę pokryć wszystkie wiarygodności. Obawiam się jednak, że będzie to wszystko, czego uda mi się dokonać. Jeśli zostanie coś ponad to, otrzyma to Maria. O sobie nie myślę, ja dam sobie jakoś radę w życiu. Wiedz zatem, że najpierw honor nazwiska, potem twoje żądania. — I mimo nalegań Ruperta, pozostał nieugięty.

Odtąd zmienił się jego stosunek do szwagra. Człowiek ten stał mu się zupełnie obcy. Tym bardziej było mu niezmiernie żal siostry. Padła przecież ofiarą pozbawionego sumienia egoisty, który będzie się na niej mścił za to, że omylił się w swych rachubach.

Gdy Rupert nalegał coraz bardziej, powiedział mu stanowczo i zdecydowanie: — Najpierw wierzyciele mojego ojca, potem ty. Ani jeden fenig nie zostanie sprzeniewierzony. To, czego ode mnie wymagasz, byłoby oszustwem.

Rupert wyniósł się pośpiesznie, a Georg odszukał siostrę. Znalazł ją całkiem załamaną, klęczącą przy zwłokach ojca. Uniósł ją czule i rzekł:

— Moja biedna Mario, teraz dopiero wiem, jak jesteś udręczona. Mąż twój także i przede mną zrzucił maskę.

Głęboko wstrząśnięta padła mu w ramiona.

— Och, Georg, gdybym mogła leżeć tu zamiast ojca, byłoby mi lepiej.

Gestem pełnym miłości głaskał jej jasne włosy.

— Nie myśl tak Mario, masz teraz jeszcze jedno życie oprócz twego, które musisz chronić. Pomyśl o twym dziecku. Widzisz, dotychczas żyłem beztrosko z dnia na dzień. Ojciec dawał — ja brałem. W dodatku miałem o sobie wysokie mniemanie, gdyż pracowałem, chociaż mnie do tego nie zmuszano. I ty także brałaś do woli, przez co, być może, staliśmy się — nic o tym nie wiedząc i tego nie chcąc — współwinnymi tego bankructwa. Teraz musimy dopilnować, by co się da uratować, a najważniejszy jest honor nazwiska.

Potem opowiedział jej, jakie roszczenia wysunął Rupert.

— Odmówiłem mu — zakończył swą relację — i sędzę, że jesteśmy co do tego zgodni.

Maria po raz pierwszy od kilkunastu godzin wyprostowała się, spojrzała na brata oczami pełnymi boleści i odparła zdecydowanie:

— Tak, Georg, cokolwiek miałyby się zdarzyć, najpierw ratuj honor ojca, jeśli tylko możesz. To nasz najwyższy obowiązek.

Przygarnął ją do siebie.

— Moja biedna siostró, trudne masz życie przed sobą. Drżała. Patrzyła na niego oczami martwymi, bez wyrazu.

— Wiem o tym, Georg.

W jej słowach brzmiała przerażająca rezygnacja. Widział, jak cierpi, i zrobiło mu się ciężko na sercu. Myślał, jakże inaczej ułożyłoby się jej życie, gdyby miał zostać żoną Ruperta, oddała rękę Janowi van Kossum, jego najlepszemu przyjacielowi. Jan van Kossum był młodym Holendrem, który chodził razem z Georgiem do szkoły handlowej. Przed rokiem bawił dłuższy czas w gościnie w domu Feldnerów. Zakochał się w Marii, lecz ona nie zostawiła mu żadnych wątpliwości co do tego, że nie kocha go tak, jak kobieta winna kochać wybranego na całe życie mężczyznę. Żywiła do niego wielką sympatię, szanowała za zacność i bardzo ją smuciło, że rani go swą odmową. Jednak pozwoliła mu odejść. Nie mogła zdecydować się na małżeństwo bez miłości. O ile pewniej czułaby się jednak teraz u jego boku, aniżeli w rodzinie Dornbergów.

Głaskał jej rękę, nie znajdował jednak w tej sytuacji słów pocieszenia czy nadziei.

Potem odbył się pogrzeb ojca. Rupert stał z ponurą miną obok swej żony, a po wszystkim odwiózł ją, obojętny a nawet wrogi, do Rainau, odległego o dwie godziny drogi od miasta.

Nieszczęsna młoda kobieta wiodła odtąd życie jak w piekle. Nikt nie zdobył się na choćby jeden dobry, czuły gest wobec niej. W nikim nie znajdowała oparcia. Mąż zaniedbywał ją w poniżający sposób i kto wie, czy nie posłuchałaby podszeptów jakichś ciemnych mocy, by wreszcie skończyć ze sobą, gdyby nie powstrzymała ją od tego myśl o dziecku. Zrozpaczona kryła się przed domownikami lub całymi godzinami siedziała u siebie, wpatrując się tępym wzrokiem w jeden punkt. Jej dalsze życie jawiło się niczym upiór. Traktowano ją niemiłosiernie, nienawistnie, jakby to ona winna była całemu temu nieszczęściu. Aż w końcu zapowiedziano, że musi pracować, że w Rainau nie ma miejsca dla nieprzydatnych darmożjadów.

Zebrała wszystkie siły i próbowała być pożyteczna. Nikt nie darzył jej życzliwym słowem, współczującym spojrzeniem. Pozbawiono ją także kilku pokoi, którymi dotąd dysponowała.

Po kilku miesiącach przybył do Rainau Georg Feldner, by pożegnać się z siostrą. Powiedział jej, że osiągnął to, czego tak gorąco pragnął — spłacił wszystkie zobowiązania ojca. Bank Feldnera przeszedł w inne ręce. On musiał jednak spieniężyć wszystko, by sprostać roszczeniom.

— Dla nas obojga, Mario, nie pozostało nic, nic. Sprzedałem mojego konia, moje książki i wszystko, co było moją osobistą własnością, by zdobyć pieniądze na podróż, ponieważ w Niemczech nie chcę zostać. Wybieram się na Sumatrę do mego przyjaciela Jana van Kossum.

Maria spojrzała na brata z zainteresowaniem.

— Do Jana van Kossum?

— Tak, Mario, wiesz przecież, że ojciec jego ma tam filię swej firmy i duże posiadłości ziemskie. Jan przeniósł się na Sumatrę, by prowadzić tam interesy. Wiele razy prosił mnie, bym go odwiedził. Teraz, gdy usłyszał o naszym bankructwie, zadepeszował krótko: — Przyjeżdżaj, pomogę ci.

Maria wzruszyła się.

— Ależ dobry człowiek! Tak, to jest do niego podobne.

— Rzeczywiście, jest wyjątkowo szlachetny, mimo że niepiękną ma twarz — potwierdził Georg.

Zasłoniła oczy dłonią.

— Mój drogi, wiem, co chcesz przez to powiedzieć. On był szlachetnym kamieniem, który nierozważnie odtrąciłam, a przyjąłam odłamek świecącego szkielka.

— Moja biedna Mario!

Nie zaprzeczyła, tylko wyszeptwała:

— Cicho, cicho, ani słowa więcej o mnie, bo przestanę panować nad sobą. A więc wybierasz się do Jana van Kossum?

— Tak, mam nadzieję, że znajdę w jego firmie zajęcie i jakoś się wybije, dojdę do czegoś. W każdym bądź razie teraz potrzebuję pieniędzy tylko na podróż. Dlatego też mogę zostawić ci tylko kilka tysięcy marek z tego, co uzyskałem ze sprzedaży mojego dobytku. Zachowaj to jednak dla siebie i dziecka, abyś nie musiała prosić męża o każdy grosz. On i tak będzie skąpił ci wszystkiego. Dopiero co byłby mnie stąd nieomal wyrzucił, gdy mu powiedziałem, że długi pochłonęły cały majątek. Zatrzymałem się tylko po to, by cię pożegnać i życzyć pomyślności. Przyjmij tę niewielką sumę i dobrze schowaj. Gdy tylko urządzę sobie dzięki pomocy Jana nową egzystencję, przesyłać ci będę wszystkie moje oszczędności, abyś nie była całkiem

zależna od twego męża. Jakżeż chciałbym zabrać cię ze sobą, moja biedna siostró. Gnębi mnie to, że muszę zostawić cię w tym domu, mam tylko nadzieję, że dzięki dziecku przebrniesz przez te trudy. Ono ci w tym pomoże.

Maria drżąc obejmowała go za szyję.

— Bóg z tobą, mój drogi, kochany bracie! I pozdrów ode mnie Jana van Kossum, podziękuj mu za to, że w potrzebie okazuje ci prawdziwą przyjaźń.

Przycisnął ją do siebie. Jego głos załamał się.

— Bądź dzielna, moja biedna, biedna siostró. Miej nadzieję w dziecku, ono pomoże ci znieść wszystko. I ślij mi wiadomości, bym wiedział, jak ci się żyje. Tu masz mój adres: Mijn-heer van Kossum, Palembang na Sumatrze, będę czekał na wiadomości od ciebie.

— Będę pisała, Georg.

I tak Maria żegnała się z bratem, a było to trudne rozstanie. Na dole Georg pozdrowił chłodno i oficjalnie Ruperta i jego krewnych, którzy spoglądali nań z pogardą, jako że był synem oszusta.

Fakt, że Georg, ponosząc wiele ofiar, zapobiegł niesławie nazwiska ojca i swego, także to, że odmówił Rupertowi, gdy ten nakłaniał go do popełnienia oszustwa, wszystko to dla rodziny Dornbergów było zwykłą głupotą.

Z ciężkim sercem zostawiał Georg swą siostrę wśród tych nienawiścią pałających ludzi. Wiedział, że jej życie będzie nielekkie w Rainau. Jak ciężkie chwile przeżyła już i jaka poniewierka czekała ją jeszcze, tego oczywiście nie wiedział. Maria nie skarżyła się, by go nie niepokoić. Młoda kobieta dźwigała swój ciężar sama i nikt nie wiedział z jaką nienawiścią traktowana jest przez rodzinę męża.

Tylko jedna osoba okazywała jej miłość i litość. Była to Elżbieta Volmar, najstarsza siostra Ruperta, od lat zamężna i matka dziesięcioletniego chłopca. Niestety tylko z rzadka gościła w Rainau, gdyż mąż jej, kapitan, stacjonował w pobliskim miasteczku. Znała Marię, nim ta zaręczyła się z jej bratem. Zawsze stawała po stronie bratowej, ale także mąż jej przyjaźnie odnosił się do młodej kobiety.

Elżbietę oburzało zimne, złośliwe zachowywanie się jej rodziny wobec Marii. Przede wszystkim uważała, że postępowanie brata wobec żony jest podłe. Odważnie występowała w obronie Marii a przeciw swym krewnym. Nawet matce i ojcu potrafiła wypominać ich otwartą wrogość wobec żony Ruperta.

Niewiele mogła jednak pomóc, gdyż rzadko bywała w Rainau. Przeważnie przyjeżdżała ze swym małym synkiem, Gerdem, do Rainau na okres letnich wakacji. Majątek i dochody jej męża nie starczyły na to, by ona i dziecko mogli odbywać kosztowne, odległe podróże, aczkolwiek poza tym nieźle im się wiodło. Z tego to właśnie powodu przyjeżdżała Elżbieta z Gerdem na wypoczynek do Rainau.

Za każdym razem wielką przyjemnością Gerda było wędrowanie przez pola i lasy, zagładanie do stajen, obór i stodół. Interesowały go wszelkie zajęcia gospodarskie. Podpatrywał parobków i w krótkim czasie potrafił równie dobrze jak oni obchodzić się ze zwierzętami. Dzielnie też pomagał przy pracach żniwnych.

Poza wakacjami przybywał do Rainau wraz ze swą mamą tylko od czasu do czasu, przeważnie w niedziele.

Nie mogła więc Elżbieta wiele uczynić dla bratowej. Ale te odwiedziny były w nędznym życiu Marii najbardziej radosne. Któregoś dnia Elżbieta sama powiedziała:

— Mario, gdy będziesz rodzić, przyjadę natychmiast do Rainau, będę cię pielęgnować. Tu nie ma przecież nikogo, kto by się tobą zajął. Żałuję, że poza tym tak niewiele mogę dla ciebie zrobić.

Maria wybuchnęła łzami. Nie mogła mówić i tylko w milczeniu ścisnęła rękę Elżbiety.

Z większą ufnością oczekiwała teraz narodzin dziecka. A dotychczas tak niezmiernie obawiała się tej chwili. Wiedziała, że jest wszystkim solą w oku i że jej dziecko będzie dla nich tylko nieprzydatnym darmozjadem. Nawet mąż powiedział kiedyś grubiańsko: — Sami ledwo żyjemy, na cóż nam jeszcze dziecko?

Elżbieta dotrzymała słowa. Gdy mała Martina przysła na świat, przyjechała natychmiast do Rainau i z pełnym oddaniem pielęgnowała matkę i dziecko.

II

W kilka miesięcy po urodzeniu małej Martiny Maria Dornberg otrzymała pierwszy list od swego brata Georga. Donosił jej, że dotarł zdrów i cały na Sumatrę i że Jan van Kossum powierzył mu zarządzanie częścią swych posiadłości. Wynagrodzenie za pracę przewyższa jego własne potrzeby i Georg ma zatem nadzieję, że będzie mógł ją i jej dziecko dzięki swoim oszczędnościom uchronić przed nędzą. Ponadto pisał:

Zresztą Jan van Kossum wybiera się w najbliższych tygodniach w pilnych sprawach do Holandii. Prosiłem go, by Cię odwiedził w Rainau i opowiedział mi potem o Tobie i Twoim dziecku, o wszystkim, co się tymczasem wydarzyło, gdyż martwię się o Ciebie ogromnie. Jan cieszy się bardzo, że będzie mógł znów Cię zobaczyć. On pragnąłby nawet, byś się zdecydowała na przyjazd wraz z dzieckiem do nas, na Sumatrę. Ale to pozostanie chyba tylko jego i moim marzeniem. Powiedz mu otwarcie, jak Ci się wiedzie. Nie masz bowiem innego bardziej Ci oddanego i bezinteresownego przyjaciela niż on. Możesz ufać mu bez zastrzeżeń.

Ten list poruszył Marię do głębi. Teraz dopiero, gdy tak straszną pomyłką okazało się jej małżeństwo, mogła w pełni pojąć, jak wielkodusznym człowiekiem był Jan van Kossum.

Wreszcie któregoś dnia przyjaciel brata pojawił się w Rainau. Maria siedziała właśnie z córeczką w parku. Zawiozła tam swą małą, która chętnie spała na świeżym powietrzu. Obok na ławce młoda matka postawiła kosz z podartą bielizną, którą miała cerować. Tego dnia znów doznała kolejnej przykrości ze strony męża i teraz, gdy dziecko usnęło w swym wózekczku, rozmyślała o tym. Nie widziana przez nikogo, cicho popłakiwała.

Nagle poderwała się przerażona. Ktoś do niej podszedł, a gdy podniosła wzrok, ujrzała przed sobą wysokiego, barczystego mężczyznę o szorstkich rysach i mocno opalonej twarzy. Spoglądał na nią niebieskimi oczami, w których malowała się serdeczność.

— Pani Mario — więc taką panią zastaję? — zapytał Jan van Kossum.

Niewątpliwie nie był zbyt pięknym mężczyzną, ale można było o tym nie myśleć, skoro z jego oczu biła urzekająca dobroć serca.

Maria powstrzymała łzy i wyciągając do niego rękę, próbowała uśmiechnąć się.

— Zastał mnie pan akurat w jakimś głupim załamaniu, panie van Kossum. Proszę, niech pan na to nie zwraca uwagi.

Chciał dać jej czas, by się opanowała, nachylił się więc nad śpiącym dzieckiem:

„Wat een lichte, blonde Kopjes. Het is een liefelijke vreedzame Aanblik" (Cóż za jasnowłose dziecko. To taki przyjemny, pogodny widok), powiedział przez zapomnienie w swoim ojczystym języku holenderskim. Wyprostował się i patrzył na Marię.

— Przeszedłem, pani Mario, by przekazać pani pozdrowienia od jej brata i zapytać jak się pani powodzi. Georg obawia się, czy listy pani, tu w Rainau, nie podlegają jakiejś kontroli. Nie ma też pewności, czy nie ukrywa pani czegoś przed nim, by oszczędzić mu zmartwień.

Przy tych słowach skierował groźne spojrzenie w stronę domu właścicieli na Rainau. Maria przeraziła się. Jej twarz oblał rumieniec.

— Dziękuję panu serdecznie, panie van Kossum, że mnie pan odwiedził. Proszę powiedzieć Georgowi, że mam moje dziecko i jest ono dla mnie nagrodą za wszystko.

Popatrzył na nią tak, że odczuła, jakby ktoś bliski pogłaskał ją po twarzy.

— Ale zastałem panią we łzach, droga Mario. Jest pani taka blada i smutna. Mój Boże! Z kwitnącej i radosnej dziewczyny, którą znałem, zrobiła się wątpiąca i cierpiąca kobieta. Mario, czy nie mogę, czy nie wolno mi w czymś pani pomóc?

W jego głosie był głęboki niepokój.

Zaprzeczyła ruchem głowy, delikatnej, małej głowy, otoczonej koroną jasnobłond włosów. Wzrok wbiła w ziemię.

— Mnie nikt nie może pomóc. Jedynie Bóg!

— Może jednak, gdyby pani tylko zechciała, proszę mną dowolnie rozporządzać. Nic, co miałbym dla pani zrobić, nie będzie dla mnie zbyt trudne.

Podawała mu rękę.

— Dziękuję panu, drogi, drogi przyjacielu, ale... ja już nie potrafię czegokolwiek chcieć. Proszę zostawić mnie mojemu losowi, przecież sama go sobie wybrałam.

Przywarł ustami do jej dłoni.

— Nie wolno pani upadać na duchu, jest pani przecież jeszcze taka młoda. Czy musi pani przez całe życie tkwić w tych więzach tylko dlatego, że kiedyś, w ślepym zauroczeniu, sama jej pani sobie narzuciła?

Bezradnym gestem wskazała na dziecko.

— Tam oto leży to, co mnie wiąże, panie van Kossum, proszę, niech pan już dłużej na mnie nie nalega.

Oderwał od niej swój wzrok i by się opanować, zbliżył się do wózka z dzieckiem. Pochylił się i pocałował maleństwo w czoło. — Dat blonde Kopjes moet ook wat hebben von zijne

Onkel (Jasnowłosa dziecina niech też coś ma od swego wujka) — powiedział w swym ojczystym języku chcąc ukryć wzruszenie.

Potem, prostując się, ciągnął dalej już po niemiecku:

— Proszę wybaczyć, że pocałowałem dziecko, nie mogłem inaczej. Wygląda tak uroczo. Dzieci to wielkie dobrodziejstwo.

Była wzruszona. Mimo woli pomyślała o tym, jak ładny jest stosunek tego młodego mężczyzny do jej dziecka, na które tak czule nie patrzył nigdy własny ojciec.

— Niepotrzebne są przeprosiny. Cieszę się, że jest pan tak dobry dla mojego dziecka. Niech Bóg pana błogosławi. A teraz mogę chyba zaprosić pana do domu?

Wykonał jakiś nagły, niespokojny ruch.

— Nie, proszę nie! Sądzę, że jestem zbyt zapalczywy i mógłbym postąpić nieodpowiedzialnie, spotkawszy się z pani mężem, który doprowadził panią do takiego stanu, podczas gdy ja gotów byłem chronić panią i wielbić, bez względu na okoliczności. Proszę wybaczyć mi ten wybuch, ale jestem też tylko człowiekiem. A więc lepiej, jeśli się nie zobaczymy, ja i Rupert Dornerg. Jestem szczęśliwy, że spotkałem panią tu samą. Jeszcze tylko poproszę: jeśli nie będzie pani mogła dłużej tutaj żyć, niech pani przyjeżdża z dzieckiem na Sumatrę, do swego brata. Tam spotka panią zawsze serdeczne przyjęcie. Proszę, niech pani o tym nie zapomni. Aha, mam to pani do oddania — list od Georga, jest w nim trochę pieniędzy. Prosi panią o wykorzystanie ich na potrzeby własne i dziecka.

Maria zarumieniła się.

— Georg nie powinien niczego sobie odmawiać! Proszę mu powiedzieć, że ja tego nie chcę. Nie powinien ponosić dla mnie żadnej ofiary, przecież sam jest biedny.

Uśmiechnął się z rezygnacją.

— Niech pani spokojnie przyjmie. Skoro nic więcej nie mogę dla pani uczynić, niech uwolnię ją przynajmniej od troski o brata. Nigdy nie będzie cierpiał niedostatku, jest przecież moim przyjacielem, a ponadto najlepszym zarządcą. Niech pani to przyjmie, pani Mario — ale proszę to wykorzystać tylko dla siebie i dziecka — na to musi mi pani dać swoje słowo. A także na to, że powiadomi pani Georga natychmiast, gdyby potrzebowała więcej.

Odetchnęła głęboko i skinęła głową; drżącymi rękami wzięła kopertę. Jakżeż się cieszyła z tej niewielkiej sumy pieniędzy. Te, które dał jej Georg przed wyjazdem, już wydała. Kupiła za nie skromną wyprawkę dla dziecka. Żądać od męża choćby feniga na osobiste wydatki, by-

łoby rzeczą niemożliwą. Ukryła pieniądze w kieszeni sukni, po czym podała Janowi van Kossum rękę.

— Obiecuję panu i dziękuję z całego serca, że jest pan tak dobry dla mojego brata, i za to, że przybył pan do mnie z wiadomością od niego. Proszę, niech pan mu powie, że wdzięczna jestem za pieniądze i bardzo się z nich cieszę. Ja, ja nie chcę w tym domu niczego przyjmować, prócz wyżywienia i dachu nad głową, bo na to zarabiam tu własnymi rękami.

Zbladł i zacisnął pięści.

— Mario, ależ pani współczuję — wyszeptał. Spojrzała na niego uśmiechając się smutnie.

— Niegdyś byłam szczęśliwa i dumna, teraz jestem nieszczęśliwa i bardzo pokorna. Z tak wielkiego poniżenia nie można się już podnieść. Ale jest dla mnie pocieszenie — cierpię niewinnie — i znoszę to wszystko dla mojego dziecka. Teraz proszę odejść, panie van Kossum, i niech pan przyjmie słowa mojego błogosławieństwa na drogę. Ongiś musiałam pana bardzo zranić. Ja, ja wtedy jeszcze spodziewałam się wielkiego szczęścia. A teraz pan swoim przybyciem tu wyświadcza mi dobrodziejstwo. Dziś dopiero poznałem w pełni pańską szlachetność. Bóg z panem!

— Dziękuję pani za dobre słowo na pożegnanie, Mario. Powiem bratu pani, że to jasnowłose dziecko jest dla pani pociechą. Niech Bóg ma was oboje w opiece — i niechaj pani nie zapomina — u brata znajdzie pani zawsze rodzinny dom.

Żarliwie przycisnął jej rękę do swych ust i pochylił się raz jeszcze nad dzieckiem, które obudziło się tymczasem i spoglądało swymi dużymi, błyszczącymi oczami w nieznaną twarz.

— Jak ma na imię pani córeczka?

— Martina.

— Ma pani oczy, Mario.

I patrzył długo w jasne, promienne oczy dziecka.

— Niech Bóg ma cię w opiece jasnowłosa dziecinko!

Wyprostował się i raz jeszcze spojrzął Marii poważnie w oczy. Wzrok jego nabrał czułości. Jej piękna twarz była teraz mizerna, pełna bólu i smutku.

— Niech pani będzie dzielna, Mario — wydusił z siebie szybko odchodząc, jakby uciekał przed samym sobą.

Nim skręcił na drogę, odwrócił się jeszcze raz. Zobaczył Marię stojącą *i* dzieckiem na ręku. Pełnymi łez oczyma patrzyła za nim.

— To Madonna! — wyszeptał Jan van Kossum, pozdrowił ją jeszcze raz i zniknął.

Maria, z dzieckiem na ręku, osunęła się na ławkę. Płacząc kryła twarz w sukieneczce małej. Płakała, bo wzgardziła szlachetnym człowiekiem dla wyrachowanego egoisty.

Mała Martina wsunęła rączkę w jej włosy i mierzwiła je. Maria ocknęła się.

— Moje słodkie maleństwo, musisz pomóc matce znosić ten ciężki los. List od brata zawierał dużo czułych, dobrych słów i dwa większe banknoty. Georg przekazał siostrze wszystko, co zdołał zaoszczędzić. Jan van Kossum nalegał, by przyjął coś od niego i przesłał siostrze większą sumę, ale Georg odmówił:

— Wiem, że masz dobre zamiary, przyjąłbym twoją propozycję bez wahania, gdyby chodziło o mnie, o moje potrzeby, ale dla Marii nie mogę niczego od ciebie przyjąć, ona nigdy by mi tego nie wybaczyła.

Tak więc musiał Jan van Kossum zadowolić się przekazaniem ukochanej kobiecie jedynie drobnej sumy, on, który najchętniej złożyłby całe swe bogactwo u jej stóp.

Tylko dzięki przeróżnym zabiegom udawało się Rupertowi Dornberg utrzymać Rainau. Na szczęście ostatnie zbiory wypadły dobrze, co pomogło na jakiś czas. Potem jednak zachorował mu ojciec, osłabł i wymagał leczenia i opieki. Matka i siostry zajęte były pielęgnowaniem chorego, więc na barkach Ruperta spoczął ciężar wszystkich obowiązków, gdyż o najęciu nadzorca nie można było nawet myśleć.

Rupert był od rana do wieczora na nogach i nawet gdyby kochał swą żonę, nie mógłby poświęcić jej więcej czasu. Ponieważ jej jednak nie kochał, nie omieszkał przy każdej okazji, gdy tylko się widzieli, narzekać na nędzne życie, jakie musi prowadzić.

Maria także pracowała ponad siły, a że — w przeciwieństwie do innych — nic o tym nie rozpowiadała, wysiłek jej pozostawał nie zauważony.

Mała Martina rozwijała się za to wspaniale. Śmiała się i radowała, kiedy Gerd Volmar przyjeżdżał na wakacje do Rainau lub pojawiał się w niedziele na swym rowerze. A gdy Maria słyszała radosne okrzyki dziecka, zapominała o codziennym szarym i smutnym życiu. Gerd Volmar ciągał małą Martinę wszędzie ze sobą, a ona dzielnie dreptała za nim, dokądkolwiek ją prowadził. Podobało mu się, że nie płacze, nawet gdy robi sobie jakąś krzywdę, i że nie jest kapryśna.

— Jest z nią sto pociech! Nigdy nie psuje zabawy — mawiał o niej, gdy była jeszcze ma-
lutka. Jak podrosła, pozował na jej rycerza. Kiedy byli sami, tak że nie mogła ucierpieć jego
młodzieńcza godność i powaga, był dla niej bardzo miły i zapewniał, że gdy wyrośnie na męż-
czyznę, ona będzie musiała zostać jego żoną. Martina przylgnęła do niego jak do kogoś najbliż-
szego. Po matce był najbardziej przez nią kochanym człowiekiem.

Georg Feldner przysyłał Marii od czasu do czasu trochę pieniędzy, tak że jakoś sobie ra-
dziła z potrzebami swymi i dziecka. Nikt nie pytał z czego płaci za ubrania, ale wszyscy wie-
dzieli, że brat przysyła jej pieniądze, choć Maria powiedziała o tym tylko Elżbiecie.

Któregoś dnia, gdy mała Martina miała już siedem lat, na jakiś czas do Niemiec przyje-
chał jej wujek, Georg. Jan nalegał, by zmienił klimat. Czynił to w trosce o zdrowie przyjaciela.
Tak więc Georg pojechał tym razem najpierw do Holandii, pozałatwiać interesy Jana van Kos-
sum, następnie zaś do Niemiec, odwiedzić siostrę. W międzyczasie van Kossum był kilkakrot-
nie w Holandii, nie odwiedził jednak Marii ponownie. Nie miał pewności, czy potrafi zapano-
wać nad sobą. Przed kilku laty, po powrocie z Rainau, powiedział Georgowi, że gdyby był spo-
tkał Ruperta Dornberga, zastrzeliłby go jak wściekłego psa!

Spotkanie rodzeństwa po latach było wzruszające. Georg patrzył przejęty na tę szczupłą,
bladą kobietę, z obecnym ciągle na twarzy wyrazem bólu, nie znikającym nawet wtedy, gdy
obejmowała go za szyję.

Byli sami w pokoju Marii, bowiem Georg kazał zaprowadzić się wprost do niej, nie wita-
jąc się z nikim z domowników. Składał wizytę wyłącznie siostrze.

Był przerażony zmianami, które w niej zaszły, i zaciskał pięści na myśl o jej mężu.

Maria wystrzegła się opowiadania o tym, ile złego doznała, lecz brat czytał historię tego
cierpienia z jej spojrzenia.

Ustalili, że wynajmie w mieście hotel na osiem dni i będzie spotykał się z nią codziennie
o umówionej godzinie w parku. Gościny w Rainau nie przyjąłby. Maria, pełna lęku, błagała i
nalegała, by unikał spotkania z Rupertem.

Na szczęście podczas wizyty w pokoju Marii nie spotkał nikogo z rodziny Dornbergów.
Przez następne dni spotykali się w parku, dokąd siostra przychodziła z Martiną.

W Rainau wszyscy wiedzieli, że przyjechał brat Marii. Sama napomknęła o tym przy sto-
le. Odpowiedzią było lodowate milczenie.

Cieszyła się, że nie zabraniano jej widywać się z bratem. Ale po skończonym obiedzie jej
mąż powiedział z całą brutalnością:

— Gdybyś chciała uciec ze swoim bratem, nie przeszkodzę ci w tym, ale dziecko zostanie tu, jasne?!

Powiedział to jedynie po to, by zrobić jej przykrość, bo tak naprawdę nie wierzył, że mogłaby go opuścić. Jednak nieszczęsnej Marii te słowa zapadły głęboko w serce.

Co dzień cieszyła się teraz na spotkanie z Georgiem. Opowiadał jej o swym życiu na Sumatrze, o przyjaźni z Janem van Kossum i o wszystkim, bo wszystko ją interesowało.

Aż któregoś dnia zaproponował:

— Mario, jedź ze mną. Weź dziecko i opuść dom, w którym zdręcą cię na śmierć. Nie nadajesz się do takiego zimnego traktowania, ciebie to zniszczy. Jedź ze mną.

Potrząsnęła ze smutkiem głową.

— Nawet gdybym chciała, nie wolno mi tego zrobić, Georg, gdyż Rupert chcąc mnie ukarać, zabrałby mi dziecko. Nie mam też odwagi uciekać i zbyt dumna jestem, by uciekać się do podstępu. On może mnie źle traktować, ale dziecka nie dam sobie zabrać.

Zrozumiał, że nie można było jej pomóc. Z ciężkim sercem żegnał się po krótkim urlopie z Marią i małą Martiną, która przylgnęła do niego całą duszą. Odjechał z największą troską w sercu, a dla Marii nadeszły jeszcze trudniejsze lata.

Ojciec Ruperta miał sparaliżowane nogi, spędzał całe dni w wózku i znajdował przyjemność w dręczeniu Marii złośliwymi dowcipami i niesłusznymi zarzutami. Ona, jego zdaniem, była winna wszystkiemu, nawet jego chorobie. Zaś Rupertowi coraz trudniej było utrzymać Rainau, aż któregoś dnia desperacja pchnęła go do hazardu. Pierwszego wieczoru wygrał dużą sumę, co umożliwiło mu spłacenie kilku pilnych długów i jeszcze raz odetchnąć z ulgą. Od tego czasu grał ciągle, ale już nie miał szczęścia. Los jego był przesądzony.

Któregoś dnia, gdy Martina miała jedenaście lat, wniesiono do domu zwłoki ojca. Podobno potknął się przy podchodach na polowaniu i broń sama wypaliła. Był to strzał prosto w serce. Prawda była taka, że sam się zastrzelił, ponieważ poprzedniego wieczoru przegrał olbrzymią sumę, a ręczył słowem honoru. Owego słowa nie dotrzymał.

Dla Rainau nastąpiły straszne czasy. Jedynie ze współczucia dla sparaliżowanego właściciela majątku wierzyciele nie dopuścili do całkowitej katastrofy. Poruszając się w swym fotelu na kółkach stary Dornberg zarządzał majątkiem, lecz wkrótce musiał zatrudnić nadzorcę. Kobiety ciężko pracowały i nieraz dokonywały rzeczy niemożliwych. Także Maria przyłączyła się do nich, pomagając wszelkimi siłami.

Co prawda mogła teraz opuścić Rainau i wyjechać z dzieckiem na Sumatrę, ale brakło jej sił na podjęcie takiej decyzji. Zdawała sobie też sprawę z tego, że jej osłabiony organizm nie zniósłby tropikalnego klimatu.

Nie uroniła ani jednej łzy, gdy stała przy zwłokach męża. Zabił w niej wszystko. Znieruchomiałym, pustym wzrokiem wpatrywała się w jego bladą twarz.

Wkrótce po mężu straciła także bliską sobie szwagierkę. Elżbieta Volmar zmarła przy operacji, a kilka miesięcy później zmarł także jej mąż, major Volmar, który nieco powściągliwie, ale skutecznie zwykł był stawać w obronie Marii. Tak więc nie było już nikogo, kto miałby dla niej dobre słowo. Niestety także Gerd Volmar nie przyjeżdżał już do Rainau. Krótco przed śmiercią swego ojca został podporucznikiem i stacjonował w odległym garnizonie. Od czasu do czasu pisywał kilka ciepłych słów do swej ciotki Marii i serdecznie pozdrowiał kochaną, małą Martinę. Teraz i on miał tylko te dwie istoty, które kochał i które bliskie były jego sercu. Ani z dziadkami, ani z obiema siostrami matki stosunki nie układały się zbyt serdecznie. Nie doszło zatem do spotkania Martiny z jej kochanym kuzynem i towarzyszem dziecięcych zabaw.

Maria nagle ciężko zachorowała, w krótkim czasie w ogóle nie mogła dźwignąć się z łóżka. Czuli, że zbliża się jej koniec. Któregoś dnia, w przeczuciu śmierci, napisała resztką sił list do swego brata, Georga. Martina nadała list na pocztę. Nie знаła jednak jego treści.

Kilka tygodni później Maria zmarła. Martina była przy matce sama i drżącymi rękami zamknęła jej oczy.

— Nie wpuszczaj do mnie nikogo, gdy będę umierała, moja Martino, ich bezlitosne spojrzenia zatrąłyby mi ostatnią chwilę — powiedziała matka. Tak więc dziewczyna przesiedziała aż do rana w cichym i dręczącym bólu obok zmarłej matki. Nie płakała. Nikogo by nie przywołała, nawet gdyby matka nie była jej tego zakazała. Trwała tak godzinami przy zmarłej, całowała jej blade ręce i szeptała czule słowa, tak jakby matka mogła ją jeszcze słyszeć.

Dopiero następnego ranka zeszła na dół do pokoju, gdzie jadano śniadania. Byli tam wszyscy jej krewni.

— Moja matka umarła — powiedziała i poszła z powrotem do nieboszczki.

Stało się coś osobliwego. Śmierć tej cichej, wrażliwej kobiety zdawała kłaść się wielkim ciężarem na dusze i serca wszystkich. Czyżby ci twardzi, bezlitośni ludzie zaczęli wreszcie rozumieć, jak ciężko wobec niej zgrzeszyli?

Marię Dornberg pochowano u boku męża w cichym zakątku parku, pod wielkimi kasztanowcami. Wszyscy domownicy Rainau uczestniczyli w pogrzebie, nawet sparaliżowany dziadek Martiny. Ale zrobili to tylko z uwagi na ludzi. Teraz siedzieli tam, w przyległym pokoju, i zmarznięci popijali herbatę oraz naradzali się, co też ma być z Martiną!

A Martina — obojętna na wszystko — kucnęła przy kominku i rozmyślała o zmarłej matce, którą tak głęboko kochała.

III

Tymczasem wszyscy domownicy zebrali się w salonie. Pana domu podwieziono w fotelu na kółkach. Przy nim zasiadła jego żona, naprzeciw Melania i Helena Dornberg. Obie siostry zestarzały się, a były nadal samotnymi pannami. Melania miała teraz czterdzieści lat, a jej siostra Helena była o dwa lata młodsza. W rysach ich twarzy wyraźnie odbijało się niezadowolenie z życia i oschłość charakteru. Nie były to osoby życzliwe bliźnim.

W milczeniu pito herbatę. Ponurą ciszę przerwał starszy pan, dziadek Martiny:

— Zapalcie światło, jest tak smutno! Melania spełniła jego życzenie.

— Co będzie teraz z Martiną? — zapytał, zwracając się do córek. Jego żona wzruszyła ramionami.

— Trzeba by ją chyba czegoś nauczyć, żeby kiedyś mogła stanąć na własnych nogach i zarobić sobie na chleb.

Melania obruszyła się:

— Na to trzeba pieniędzy, mamó. A pieniędzy nie mamy nawet na własne potrzeby, tym bardziej więc nie ma na dziecko Marii.

O tym, że Martina była także córką Ruperta, nie pamiętano w tym domu. Była zawsze wyłącznie córką Marii.

— Dlaczegoż to miałyby Martina otrzymać lepsze wykształcenie, aniżeli my — zauważyła złośliwie Helena. — Dla nas niczego nie zrobiono, abyśmy mogły kiedyś stanąć na własnych nogach. Na to nigdy nie starczało. Byłyśmy od razu potrzebne i musiały porządnie pracować w gospodarstwie, a przecież ja chciałam zostać nauczycielką, a Melania studiować medycynę. Dla nas wszystkiego brakowało. Wszystkie środki inwestowano w Ruperta po to, by się nosił po pańsku i wprowadził do domu bogatą żonę. „Bogatą żonę!”

W ostatnich słowach pobrzmiwało ostre szyderstwo.

— Helena ma rację — wtrąciła Melania. — Zawsze potrzebowaliśmy tu w Rainau własnej siły roboczej — i nadal potrzebujemy. Dlaczego nie miałaby Martina pracować w gospodarstwie, jak my?

Matka westchnęła.

— Dopiero co skończyła czternaście lat. Jaką pracę można jej dać?

— Może robić co najmniej to samo, co robiła jej matka, nim zachorowała. Może dbać o bieliznę i odzież, może odkurzać, sprzątać i wykonywać różne lekkie prace domowe. My i tak nie wiemy, do czego najpierw ręce przyłożyć.

— Słusznie! Nie będziemy utrzymywać darmozjadów — poparła ją energicznie Helena.

Matka zafrasowała się.

— Czy ona to potrafi? Dotychczas zajmowała się tylko nauką i niewiele ma wprawy.

— My też musiałyśmy się nauczyć. Nie zaszkodzi jej, jeśli solidnie popracuje. Nie będzie przynajmniej miała głupich myśli. Tak czy owak sprawia wrażenie nieobecnej na świecie. Przykre to, ale odziedziczyła wiele z sentymentalnej natury swej matki.

— Melania ma rację, mamó. Martina jest właściwie żywym odbiciem swej matki — zauważyła Helena.

— I dlatego jej nie cierpię — zawyrokował ponuro pan domu.

Przy tych słowach Martina, siedząca obok w pokoju, drgnęła i jeszcze mocniej owinęła się w czarną chustę.

— Gdzież ona się znów podziewa? Powiedziałam jej przecież, że ma przyjść tu na herbatę. Jak jest potrzebna, to nigdy jej nie ma — narzekała Melania.

— W końcu okaże się, że poszła znów na grób matki — powiedziała babka Martiny, jednak mniej ostro niż inni.

W tym momencie na progu drzwi pojawiła się Martina.

— Jestem tu, babciu — powiedziała lekko drżącym głosem i spoglądała przerażona i onieśmielona na siedzących.

— Aha! Podśluchiwałaś podle — napadła na nią Melania. Martina prostując się popatrzyła na ciotkę ze zdziwieniem.

— Nie podśluchiwałam. Podśluchiwanie to nikczemność. Zapomnieliście, że wróciłam z wami z pogrzebu mamy i usiadłam tam przy kominku, bo zmarłam.

— Bzdura! Zmarłaś? Na dworze jest przecież ciepło. Tak młode stworzenie nie powinno marznąć — odpowiedziała Helena.

Martina opuściła ręce.

— Marznę, gdy myślę o mamie, która leży teraz w zimnej ziemi. A ponieważ stale myślę o niej, to stale marznę.

Te słowa budziły litość, toteż przynajmniej babka spojrzała na nią współczująco.

— Zmęczyłaś się tym nocnym czuwaniem. Chodź, napij się herbaty, żebyś się rozgrzała. I zjedz też coś — powiedziała.

Martina usiadła posłusznie przy stole i wypła filiżankę herbaty. Ale jeść nie mogła. Gardło miała ściśnięte od powstrzymywanych łez. Oby tylko nie płakać na oczach tych nieczułych ludzi — mama też nigdy przy nich nie płakała.

Teraz Melania zwróciła się szorstko do Martiny:

— Od jutra zaczyna się dla ciebie inne życie. Koniec z tym objaniem się. Masz być pożyteczna w domu. Mnóstwo czasu zmarnowałaś w ostatnich miesiącach — jak twoja matka.

Ognie przebiegły nagle przez twarz Martiny. Spojrzała z gniewem na ciotkę.

— Mama pracowała więcej niż wszyscy w tym domu, dopóki mogła. Zapracowała się na śmierć — powiedziała rozdrażniona.

— Milcz, nie bądź niegrzeczna — skarcił ją dziadek. Martina skuliła się pod jego złym wzrokiem.

Głos zabrała babka.

— Martina jest zbyt rozdrażniona po nocach czuwania, nie należy zwracać na nią uwagi. Wzięła przecież na siebie wszystkie obowiązki pielęgnowania matki.

Melania wzruszyła ramionami.

— Co z tego, siedziała przecież przy łóżku matki, czytała jej sentymentalne powieści i nie robiła nic przez cały dzień. To nie praca!

Martina spojrzała na nią osobiwie.

— Daj mi dużo i ciężkiej pracy, to szybko umrę i będę mogła pójść do mojej mamy.

Twarz Melanii poczerwieniała z gniewu.

— Jesteś nerwowo wyczerpana! Idź dziś wcześniej spać, abyś jutro była normalna. O szóstej rano zgłosisz się u mnie, bym ci przydzieliła twój zakres prac.

— Tak jest, ciociu Melanio.

— Zjedź coś — upominała babka. Martina potrząsnęła bezradnie głową.

— Nie mogę. Jeśli pozwolicie, pójdę zaraz spać, jestem śmiertelnie zmęczona. Czuwałam przez ostatnie noce przy trumnie mamy, żeby nie była taka samotna.

— Cóż to za bzdury, Martino! Twoja zmarła matka nie potrzebowała już twego towarzystwa — wymyślała Helena.

Martina patrzyła na nią ze zdziwieniem.

— Ależ tak, ciociu Heleno, mama bałaby się sama, beze mnie w tym domu — powiedziała z całą powagą.

Mimo woli wszyscy spuścili wzrok pod jej spojrzeniem pełnym niemego oskarżenia.

Dziadek jednak uniósł się poirytowany.

— Jesteś taką samą dziwaczką jak twoja matka. Kogo bądź czego może obawiać się nieboszczka? Jeśli tak, to musiałabyś co noc siedzieć przy jej grobie.

Martina przejechała ręką po czole. Odgarnęła połyskujące jasnoblond włosy, których wielka obfitość okalała twarz i ujęta w dwa ciężkie warkocze spadała na plecy.

— Nie, dziadku, tam już mamusia się nie lęka. Tam przy niej jest Pan Bóg.

Starszy pan roześmiał się twardo i szorstko.

— Tak? A gdy tu leżała w domu, to Pana Boga przy niej nie było? Skuliła się jeszcze bardziej.

— Są domy, do których Pan Bóg nie przychodzi.

Zabrzmiało to tak dziwnie, że tych czworo ludzi spojrzalo po sobie z niepewnością.

Martina kurczowo zaciskała dłonie i patrzyła przed siebie.

— Bóg jest miłością, a w tym domu nie ma miłości, od czasu jak mama umarła.

Babka w zamyśleniu gładziła obrus na stole, wreszcie odezwała się nieco łagodniej niż zwykle:

— Idź już do łóżka i wyśpij się. Jesteś całkiem wytrącona z równowagi. A jutro rano zgłoś się u cioci Melanii.

Martina wstała natychmiast, zmarznięta, owinęła się w swą czarną chustę i odrzekła bezbarwnym głosem:

— Tak, babciu. Życzę wam wszystkim dobrej nocy.

Patrzyli przez chwilę za nią w milczeniu. Potem babka powiedziała:

— Dziwne dziecko.

— Ale co tam, jest po prostu przemęczona i źle wychowana. Trzeba ją tego oduczyć — powiedział rozgniewany dziadek. — Każcie jej tylko solidnie popracować, a to jest najlepsze lekarstwo. Zaraz przejdą jej wszystkie dąsy. Za bardzo się nią przejmujesz.

Starsza pani zaprzeczyła.

— Nie zapominajcie, że dziś pochowano jej matkę. Ona jest bardzo wrażliwa.

— Jak jej matka, która obnosiła się po domu niczym obrażona księżniczka — drwiła Melania.

— No, skończcie już! Zmarłych należy zostawić w spokoju.

— Zapomniałaś, że zniweczyła wszystkie nasze nadzieje na lepszą egzystencję? — marmotał z uporem starszy pan.

Martina szła pomału przez sień na górę do swego pokoiku. Mieścił się on na drugim piętrze, gdzie poza tym były jeszcze tylko, obok pralni i spiżarni, pokoje służby.

Po śmierci Ruperta kazano Marii wraz z dzieckiem przenieść się na strych. Pokoje na pierwszym piętrze, w których zamieszkiwali Rupert i Maria, zajęły Melania i Helena. Biedna Maria pogodziła się z tym upokorzeniem jak z wieloma innymi. Przyjęła je ze szlachetną dumą męczennicy. Cieszyła się nawet, że może teraz być tam na górze sama ze swym dzieckiem w tych dwóch mansardach, z pięknym zresztą widokiem. Służba, która była jej bardzo oddana, nie przeszkadzała jej. A poza tym nikt inny tam na górę nie przychodził. Były to dwa bardzo skromne pokoje. Marii można było nakazać wszystko, była bezbronna i w milczeniu godziła się na wiele.

Martina oburzała się często w dziecięcej porywczosci, że jej uwielbianą mamę tak po macoszemu we wszystkich sprawach traktowano. Nad wiek dojrzała patrzyła na wszystko swymi bystrymi, mądrymi oczami, którym nie uszła najmniejsza przykrość wyrządzona matce. Często stawiała przed matką z zaciśniętymi dłońmi i błyskiem gniewu w oczach: — Dlaczego ty to wszystko znosisz, mamo? Dlaczego wolno wszystkim tak cię dręczyć? Broń się albo pozwól, abym ja im wygarnęła, jak źle z tobą postępują.

W takich przypadkach matka brała ją przerażona w ramiona i lękliwie uspokajała:

— Na miłość boską, Martino, nie mów nic, ani słowa. Niczego nie zmienisz, jak i ja nie zmienię, a w dodatku mogliby nas rozdzielić, gdybyś cokolwiek powiedziała. Mogliby zarzucić mi, że źle cię wychowuję.

— Och, ja bym od ciebie nie odeszła, mamusiu, ja bym się ciebie trzymała mocno i przywołała wujka Georga na pomoc, który przecież nie chce, abyś tak cierpiała.

Maria patrzyła błagalnie na swoje dziecko.

— Uspokój się, proszę cię, i przez swoją porywczosc nie czyn mi życia jeszcze cięższym, aniżeli ono i tak już jest.

I Martina milczała.

Teraz weszła powolnym, zmęczonym krokiem do pokoi. Czułe pogłaskała łóżko matki, w którym ta zmarła, przycisnęła do policzka książkę, którą matka miała ostatnio jeszcze w ręku, i osunęła się na krzesło. Z oddechem ulgi sięgnęła po klucz, który przywiązany sznureczkiem nosiła na szyi. Otworzyła nim szafkę i wyjęła z niej szkatułkę.

Na wierzchu leżała gruba koperta z dziennikiem matki. Była zalakowana i nosiła napis:

Dla mojego brata Georga Feldnera.

Martina złożyła pocałunek na kopercie i odłożyła ją na bok. Szkatułka zawierała różne drobne pamiątki. Był tam naszyjnik z kolorowych szklanych paciorków. Podarował go jej kiedyś Gerd Volmar; była malowana przez niego zakładka do książek, srebrny napaśtek od cioci Elżbiety, wyhaftowana przez mamę, jedwabna chusteczka i jasnoniebieska wstążka. Wzięła ją do ręki i głaskała. Była to wstążka, którą dostała od cioci Elżbiety na swoje jedenaste urodziny. Wstążki były oczywiście dwie i Martina wplotła je w warkocze na urodzinową uroczystość. Tego dnia widziała Gerda ostatni raz. Bawili się szalejąc na łące w parku, a przyszły podporucznik pogwizdywał „Menueta” Boccheriniego. Martina z wdziękiem tańczyła w takt muzyki i wówczas Gerd objął ją, pocałował i „ukradł” jedną ze wstążek. — Będę ją nosił na sercu, aż któregoś dnia zostaniesz moją żoną, Martino. Każdy rycerz musi mieć coś od swej damy — powiedział.

Gniewała się trochę, że zabrał jej tę piękną wstążkę, ale patrzył na nią wzrokiem tak prośącym, że nie nalegała na zwrot.

Ach, jaki dobry i miły był dla niej zawsze Gerd. Jego przyjazd do Rainau powodował, że była radosna. Minęły jednak już trzy lata od czasu, gdy go widziała. Tak długo nie było go już w Rainau.

Czy myśli o niej od czasu do czasu? Czy ma jeszcze błękitną wstążkę?

„Chyba o mnie zapomniał, i być może nigdy go już nie zobaczę” — powiedziała sobie Martina.

Nie przypuszczała, że w tym właśnie czasie Gerd uwikłał się w jakąś miłość, i że jedną rzeczą o której poza nią pamiętał, była służba wojskowa. Co prawda współczuł małej Martinie, otrzymawszy zawiadomienie o śmierci jej matki, ale niewiele mógł pomóc zarówno jej, jak i jej matce. Poza tym Martina była jeszcze dzieckiem. A wobec jego godności porucznika tak młoda kuzyneczka była całkiem nieważną osobą.

Wspominając minione szczęśliwe dni i godziny spędzone z Gerdem, westchnęła głęboko i teraz dopiero zauważyła, że zrobiło się późno.

Zwinęła błękitną wstążkę i ukryła wraz z innymi pamiątkami w szkatułce, którą zamknęła w szafce. Położyła się szybko spać, miała przecież jutro rano wcześniej wstać. Zасыpiając pomyślała jeszcze o Gerdzie i westchnęła: — Och, gdyby chociaż on kiedyś przyjechał w odwiedziny, wuj Georg jest przecież tak daleko! — Ostatnia myśl przed zaśnięciem dotyczyła jednak jej kochanej mamy, która spoczywała teraz tam, w parku. — Mamo, proszę cię, nie zostawiaj mnie samej!

IV

Posiadłości Jana van Kossum były odległe od Palembang mniej więcej o jeden dzień podróży. Musiało się korzystać z parowca rzeczno, by dotrzeć na miejsce. — Palembang jest wschodnią stolicą Sumatry.

Georg Feldner, przyjaciel Jana van Kossum i pierwszy zarządca, przybył właśnie małym statkiem rzeczno z Lahori — tak zwała się kolonia Jana van Kossum — do Palembang, by w filii swego szefa i przyjaciela pozałatwiać interesy. Lahori leżało na płaskowzgórzu, w górze rzeki. Plony stamtąd transportowano łodziami towarowymi, zwanymi berlinkami, w dół rzeki, do filii w Palembang, gdzie znajdowały się składy towarowe i spichlerze. Tam dokonywano transakcji handlowych, pakowano towar i wysyłano statkami do Europy.

Kierownikiem filii był mijnheer Haverkamp, długoletni współpracownik van Kossuma. Interesów doglądali na zmianę Jan i Georg. Można powiedzieć, że zawsze jeden z nich był w drodze płynąc małym parowcem rzeką Moesi, czy też, jak inaczej ją zwano, Musi, po której odbywał się ruch pasażerski.

Tak więc i dziś przybył Georg Feldner z Lahori do Palembang, gdzie był już tak dobrze znany, że pozdrawiano go ze wszystkich stron. Udał się najpierw do filii, by z mijnheer Haverkampem pozałatwiać interesy. Potem popłynął małą łodzią, która należała do filii, wzdłuż licznych kanałów przerywających miasto. Te liczne rozgałęzienia dróg wodnych Palembangu powodują, że miasto nazywane jest Wenecją Sumatry. Główny ruch odbywa się kanałami. Wszędzie widać przemykające małe, zwinne łodzie.

Na obu brzegach pełno jest mniejszych i większych tratw. Na wielu z nich zbudowali sobie tubylcy prowizoryczne domki. Prawie wszystkie trwałe budynki mieszkalne wzniesiono w mieście na wysokich, wbitych kafałem w wodę palach. Tubylcy przeważnie żyli na brzegu rze-

ki w chatkach z rokitnicy, w tych osobliwych domkach na tratwie, które urządzali bardzo prze-myślnie i nawet ozdabiali.

Większość tych domków mieściła się poniżej wielkiego bazaru, do którego można było stąd łatwo i szybko dotrzeć.

Gdy Georg już docierając wszędzie małą łódką pozałatwiał swoje sprawy, odwiedzał zwykle rynek, gdzie ruch był najbardziej ożywiony. Półki sklepowe i stragany wypełnione były malowniczą mieszaniną artykułów spożywczych, wyrobów codziennego użytku i przedmiotów luksusu. Tłum tubylców w barwnych strojach dodatkowo wzbogacał koloryt tego miejsca.

Feldner, w swym białym tropikowym ubraniu i takimż kapeluszu, pod którym widać było jego interesującą, mocno opaloną twarz, był tu zwracającą uwagę postacią. Przystawał tu i ów-dzie i oglądał towary, które go interesowały. Coś też czasem kupował. Często nie mógł oprzeć się pokusie, gdy widział bajecznie kolorowe sarongi, tak nazywają malajskie suknie, i wyob-rażał sobie, że bardzo do twarzy byłoby w nich Marii i małej Martinie. A jak cieszyłaby się ma-ła dziewczuszka z kolorowych figurek do zabawy! Takie myśli zawsze były powodem, że kupo-wał kilka szczególnie ładnych przedmiotów. Może któregoś dnia Maria z córeczką przybędzie do niego na Sumatrę.

Ten dzień w Palembang spędził, jak zwykle, na interesach i zakupach i przenocował w pomieszczeniach filii. Następnego ranka po śniadaniu odebrał pocztę, która co tydzień przy-chodziła statkiem z Europy. Był tam także list do niego od siostry z Niemiec. Serce biło mu w radosnym oczekiwaniu, ale schował zaklejoną kopertę do kieszeni, gdyż była najwyższa pora, jeśli nie chciał spóźnić się na parowiec do Lahori. Pożegnał się z mijnheer Haverkampenem i pośpieszył na przystań, gdzie cumował statek gotowy do wypłynięcia.

Rzeka Musi płynęła przez nie kończące się pola ryżowe. Gdzieniegdzie stały, pojedynczo bądź gromadnie, domki rolników uprawiających ryż. Widać było także okazałe domy z kilko-ma frontonami. Ilość frontonów świadczy o tym, ile rodzin między sobą spowinowaconych dom taki zamieszkuje. Stały przy nich także dość malownicze mniejsze zabudowania, przypo-minające pawilony. W rzeczywistości były to szopy, w których przechowywano ryż. Z ich wielkości wnosić można było o stopniu zamożności właściciela.

Ściany domów wzniesionych na palach często zdobione były malowidłami, a dachy po-krywano liśćmi palmowymi.

Na polach ryżowych tu i ówdzie Malajki suszyły w słońcu ryż, rozłożony na matach. Ryż jest podstawowym pożywieniem na Sumatrze, a kawa — najbardziej ulubionym napojem.

Droga wiodła również obok plantacji bawełny.

Cała ta sceneria straciła oczywiście dla Geoga Feldnera urok nowości, ale ciągle cieszył się jeszcze każdym szczególnie malowniczym pejzażem.

Dziś nie zwracał na to wszystko uwagi. Załamany, pochylał się nad listem swej siostry. Czytał go raz po raz ze smutkiem w oczach i boleśnie zmarszczonym czołem. Maria pisała:

Mój Kochany Bracie!

Powaliła mnie ciężka choroba i czuję, że zbliża się mój koniec. Nie mam już sił walczyć dłużej. Jestem tak zmęczona życiem, tak śmiertelnie zmęczona, że śmierć powitałabym jak zbawcę i wyzwoliciela, gdyby nie troska o moje dziecko.

Tę troskę chcę jednak zrzucić na Twoje silne barki, Mój Kochany Bracie. Tyle razy byłeś gotów przyjąć do siebie mnie i Martinę. Dopóty, dopóki żył Rupert, nie mogłam się od niego uwolnić, a po jego śmierci czułam się zbyt marnie, by przedsięwziąć taką podróż i fizycznie wytrzymać tropikalny klimat. Ale błagam Cię, zabierz moje dziecko do siebie! Nie dopuść do tego, by zmarniało we wrogiej atmosferze tego domu. Życie Martiny nie może być powtórzeniem marnego życia jej matki. Prawda, Braciszku, że zabierzesz moje dziecko do siebie? Jan van Kossum, ten szlachetny, ten łaskawy, którego wartość zbyt późno poznałam, da Ci urlop, byś mógł zabrać stąd Martinę. Nie pozwól na to, by wędła w atmosferze tego domu. Gdy mnie braknie, nie będzie tu nikogo, kto by ją kochał. Będą chcieli, by nawet to biedne dziecko pokutowało za to, że jego matka nie wniosła spodziewanego majątku.

Cierpiałam niewypowiedzianie, Mój Kochany Bracie — jak bardzo, dowiesz się z mojego dziennika, gdy mnie już nie będzie. Niech moje dziecko nie zostanie tutaj. Ratuj je! Dziękuję Ci raz jeszcze za Twoją miłość i dobroć, bez tego życie moje byłoby straszną udręką.

Pozdrawiam ostatni raz Jana van Kossum. Myśl o tym, że musiałam go unieszczęśliwić, gnębi mnie często. Poproś go, by mi wybaczył — sama się przecież ukarałam, nie przyjmując jego wiernej, czulej ręki, gdy ją do mnie wyciągał. Podziękuj mu też za to, że był tak dobry dla mnie i mojego dziecka podczas spotkania w parku w Rainau. Od czasu zamążpójścia życie tu było tak ubogie w miłość i dobroć, że do dziś mam w pamięci każdy szczegół jego wizyty. W swej wielkiej dobroci pozwoli Ci, być może, stworzyć memu dziecku nowy dom w swoim własnym. Niech Bóg wynagrodzi za to Ciebie i jego. A teraz żegnaj, Mój Kochany Bracie — siły mnie opuszczają. Wkrótce — czuję to — już mnie nie będzie. Pomóż memu dziecku — bądź błogosławiony za to na wieczność!

Twoja nieszczęśliwa siostra Maria

Łzy napłynęły do oczu Georga Feldnera po przeczytaniu tego listu; zgnębiony i bezsilny, przeczytał go od nowa. Dręcząca tęsknota za siostrą zbudziła się w jego sercu. Nie przeczuwał, że Maria już nie żyje. Ale szarpiący go niepokój nakazywał mu natychmiast wybrać się w drogę do Rainau. Czuł, że musi ją zobaczyć, i to jak najszybciej, zaraz. Jeśli się nie pośpieszy, może się przecież zdarzyć, że nie zastanie siostry przy życiu.

Jego niepokój wzrastał w miarę, jak parowiec płynął. Wzrokiem wybiegał naprzód; gdyby już mógł rozmawiać z Janem. Ale do tego momentu upłyną jeszcze godziny, a każda z tych godzin wypełniona będzie lękiem i niepokojem.

Wreszcie jednak i ta pozornie bezkresna podróż miała swój koniec, i statek dobił do brzegu poniżej Lahori. Na przystani czekał na niego dwukołowy wózek, zaprzężony w woły, którym zgodnie z tutejszym zwyczajem przewożono ludzi i towary. Dwukółka ta miała wygodne siedzenia z oparciami.

Dwóch malajskich służących wyszło naprzeciw Georgowi i wniosło bagaże do pojazdu.

Droga prowadziła w górę, między polami ryżowymi, plantacjami kawy i polami bawełny, a wszystko to było własnością Jana van Kossum. Trzeba było minąć gaj palmowy, który także stanowił część posiadłości Jana van Kossum, aż w końcu dwukółka dotarła na zielone płaskowzgórze, którego ośrodek stanowił piękny dom mieszkalny. Dom ten otaczał wspaniały ogród. Takie było Lahori, posiadłość van Kossuma.

Wewnątrz dom urządzony był częściowo po europejsku, na zewnątrz natomiast dopasowany w pełni do tropikalnego klimatu. Był obszerny, ale miał tylko jedno piętro. Także i tu dach stanowiły misternie splecione liście palmowe. Dookoła budynku biegła szeroka weranda z zadaszeniem przed słońcem. Daszki te opierały się na niezliczonej ilości filarów, oplecionych dorodnymi pnącymi kwiatami.

Na tarasie blisko wejścia do domu, do którego prowadziły szerokie schody, w fotelu na biegunach siedział Jan van Kossum. Przed nim, na okrągłym stoliku stała filiżanka z kawą, a na talerzyku leżały ciasteczka z bananami. Z widocznym upodobaniem palił krótką angielską fajkę. Usłyszawszy dwukółkę, poderwał się i wychylił przez balustradę werandy.

Gdyby nie lekka siwizna na skroniach, trudno byłoby zauważyć jakąkolwiek zmianę w wyglądzie von Kossuma od czasu spotkania z Marią w parku w Rainau. Być może był teraz jeszcze bardziej barczysty, może pogłębiły się rysy jego twarzy, ale poza tym był jednak nadal młodym, energicznym mężczyzną. Dobrze wysportowany, jednym susem przeskoczył balustradę.

— Halo! To ty mój stary? — zawołał do Georga.

Uścisnęli sobie ręce i spojrzeli w oczy. Znali się zbyt dobrze, by Jan mógł nie zauważyć, że Georga coś gnębi. Więc natychmiast spoważniał.

— Co się stało, Georg? Wyglądasz, jakbyś przynosił złą wieść. Georg zaczerpnął powietrza.

— Na dole w Palembang wszystko w porządku, Janie. Jest mnóstwo poczty — także dla mnie.

Jan wyprostował się i popatrzył z niepokojem.

— Poczta dla ciebie? Od Marii? I nic dobrego? Mów — stało jej się coś? — wypytywał niespokojnie.

Georg wziął przyjaciela pod ramię.

— Tak, mam list od niej.

Jan poczerwieniał, spojrział na przyjaciela.

— Co się znów zdarzyło? Wyrządzono jej jakąś nową krzywdę? Gdyby tak można było się włączyć i całą tę bandę przeciwiczyć!

Usta Georga drżały.

— Niewiele by jej to pomogło, Janie. Oni ją złamali, moją biedną siostrę. A ona nie pozwoliła sobie pomóc.

Znaleźli się na werandzie i siedli przy okrągłym stole, wokół którego ustawione były bambusowe fotele.

Jan van Kossum oparł głowę na rękę. W wyobraźni widział znów Marię przed sobą, tak jak widział ją w parku w Rainau.

Na zawsze zapamiętał ją z tymi dużymi, załzawionymi oczami, bladymi, drżącymi ustami i tym gorzkim wyrazem cierpienia na młodej jeszcze twarzy.

— Pomyśl, Georg — powiedział ochrypłym głosem — tę jedną, jedyną kobietę chciałem mieć u swego boku jako towarzyszkę życia, tylko jej chciałem służyć i nią się opiekować. Jakżeż ją kochałem — jak kocham ją jeszcze! A musiałem się beczynn timer przyglądać, jak jakiś pozbawiony skrupułów nędznik wespół ze swą rodziną ją niszczy. Dlaczego nie wyrwałem jej z tej nędzy, nie wyniosłem na własnych rękach? Dlaczego tego nie zrobiłem? Dlaczego nie robię tego nawet jeszcze teraz, choćby wbrew jej woli? Powiedz mi, jak ona się miewa! Może uda nam się ją uratować.

Georg zaprzeczył ruchem głowy.

— Za późno, Janie! Za późno było już wtedy, gdy zmarł jej mąż. Ona jest chora. I... mów o śmierci, Janie.

Van Kossum drgnął i wpatrywał się w niego, wreszcie zapytał:

— O śmierci? Jak to, zaledwie trzydzieści pięć lat i umierać...? Aż do tego doprowadzili tę biedaczkę? Jej nie wolno umrzeć, Georg, musi przyjechać tutaj. Jedź do niej, sprowadź ją do nas. Będziemy ją pielęgnowali. Powinna zamieszkać wyżej, w górach, mieć dobre, czyste powietrze. Sprowadźmy ją tylko tu, a będzie znów zdrowa. Ona musi wyzdrowieć. Nie zostawiaj jej w Rainau, by się całkowicie załamała — wykrztusił z siebie w zdenerwowaniu.

Georg potarł czoło.

— Zdecydowałem się prosić cię o urlop. Tu, proszę, czytaj.

Jan wziął list, a gdy go czytał, błyskawice przesywały jego surową, lecz dobrą twarz. Rozgorączkowanymi, płonącymi oczami patrzył na pismo Marii, a gdy skończył, poderwał się i ścisnął dłońmi głowę. Z trudem się opanował i dopiero wówczas zwrócił się od Georga:

— Pojedziesz oczywiście następnym parowcem, Georg. Jeśli można ją jeszcze ratować, użyj wszelkich środków. Nie szczędź pieniędzy — co moje to twoje, jeśli chodzi o dobro Marii. I jeśli to tylko możliwe, sprowadź ją tutaj, ją i jej dziecko.

Georg przytaknął.

— Jadę. I, jeśli będę mógł ją jeszcze uratować, Janie, nie będę pytał za jaką cenę. Ale mam smutne przeczucie, że nie zastanę jej już żywej. To, że tak zdecydowanie pisze o bliskim końcu, jest złym znakiem. Gdybym ją choć jeszcze raz zobaczył.

Jan van Kossum ukrył twarz w dłoniach i stał tak przez długi czas, po czym rzucił się na fotel.

— Wówczas, gdy twoja siostra odrzuciła moją propozycję, nie powinienem był ulec, powinienem walczyć o nią, nie dać jej spokoju, aż wyraziłaby zgodę na małżeństwo. Moja miłość by w końcu zwyciężyła. Niestety uległem własnej dumie i usunąłem się, a jej pozwoliłem stoczyć się w tę nędzę. Czy z listu nie wynika, że mogłaby mnie w końcu też pokochać?

Georg przytaknął.

— Ona już dawno odkryła, Janie, że jej miłość sprowadziła ją na manowce. Wiedziała, że z tobą byłaby o wiele szczęśliwsza.

Twarcz Jana van Kossum była blada.

— Biedna, słodka Maria! Gdy ją zobaczysz, powiedz jej, że moja miłość jest dziś tak samo głęboka i silna jak wówczas, nawet jeszcze głębsza i silniejsza. Sprowadź mi ją!

Georg położył mu rękę na ramieniu.

— A jeśli jej przecucie spełniło się? Jeśli nie zastanę jej przy życiu? Jan westchnął.

— Nie daj Boże! Ale — gdyby tak miało być, sprowadź przynajmniej jej dziecko. Tej jasnowłosej dziewczynce będzie u nas dobrze, a dla nas będzie ona promykiem słońca. Starzejemy się pomału, Georg, i taka osóbką w domu dobrze nam robi. Dziecko Marii! Będzie dla mnie jakby moje własne. Muszę mieć je koło siebie, słyszysz, Georg?

Georg uściskał mu dłoń.

— A więc płynę następnym parowcem. Być może będziesz musiał się obejść beze mnie przez kilka miesięcy. Jeśli Marię jeszcze zastanę, wywiozę ją do kurortu, by wypoczęła. Powinna nabrać sił, nim z nią tu wrócę. Pozalutwiam też nasze interesy w Holandii i zostanę z Marią i dzieckiem gdzieś, gdzie będę mógł zażyć zimy i śniegu.

— Zrób tak, najwyższy czas, żebyś zmienił klimat. Ale daj mi natychmiast znać, gdy tylko zobaczysz Marię.

— To ci przyrzekam.

Obaj przyjaciele przechadzali się jeszcze jakiś czas po ogrodzie, który otaczał dom i rozciągał się na całe płaskowzgórze. W miejscu, gdzie wyżyna kończyła się, było urwisko skalne i odsłaniał się cudowny widok na rzekę i żyzne doliny. Rosły w tym miejscu palmy z potężnymi koronami, a pod jedną stała ławeczka. Usiedli na niej obaj i patrzyli w dal. Obiecali sobie któregoś dnia, że jeśli umrą na Sumatrze, to chcą tu, pod tymi wysokimi palmami zostać pochowani. Istotnie, nie było chyba na obcej ziemi piękniejszego miejsca na wieczny spoczynek niż to.

Dziś jednak o tym obaj mężczyźni nie myśleli. Rozmawiali o Marii i jej dziecku, co zwykli byli często czynić. Wyobrażali sobie, jakby to było, gdyby mała Martina przybyła do Lahori. Trzymając przyjaciela za rękę, Jan rzekł:

— Georg, ty najlepiej wiesz, że nie mam na świecie poza tobą nikogo bliskiego. Ojciec i matka zmarli a jak chodzi o krewnych, mam tylko kilkoro kuzynów i kuzynek, których szczerze nie lubię i z daleka omijam. Co prawda nie ożeniłeś się, podobnie jak i ja, ale zawsze miałeś jednak Marię i jej dziecko. Te dwie istoty należą jednak duchowo także i do mnie. Gdy sprowadzisz tu małą Martinę, pozwól, bym i ja miał we wszystkim swój udział.

Georg przytaknął skinieniem głowy.

— Często mówiłeś przecież, że co twoje to i moje. Teraz ja powiem, że to co moje, niechaj i do ciebie należy. Razem będziemy wychowywali dziecko Marii.

— Tak, wychowamy je. Ma oczy Marii, włosy Marii. I będzie też tak jak Maria bogata duchem. Będzie wspaniale, gdy to jasnowłose dziecko zamieszka w naszym cichym Lahori. Pomyśl, dotychczas wszystko tu dobrze się układało, lecz tego co najpiękniejsze brakowało w naszym życiu — kobiety i dziecka.

Georg wpatrywał się w zamyśleniu w dal. Także on często tęsknił za rodziną i nie mógł, podobnie jak Jan, zaspokoić tej tęsknoty.

Słońce zaszło i po upalnym dniu nastąpiła nagle chłodna noc.

— Chodźmy do domu, przyjacielu, robi się zimno!

Szli obok siebie w kierunku domu. Znaleźli się najpierw w wielkim przedsionku, którego dach podtrzymywały czternaście bogato rzeźbionych i zdobnych w malowidła drewnianych kolumn. Na podłodze leżały olbrzymie maty kokosowe, a u sufitu wisiały okazałe lampy.

Drzwi do licznych pomieszczeń mieszkalnych stały otwarte; w niektórych wisiały barwne, haftowane kotary. Bogate rzeźby i malowidła zdobiły także belkowanie nad drzwiami.

W westybulu nie było żadnych mebli poza kilkoma ławami i fotelami. Pomieszczenia mieszkalne urządzone były po europejsku, chociaż i tu na podłogach leżały kolorowe maty. Całość utrzymana była w jasnych barwach, także sypialnie obu panów.

Wszystko między nimi było już ustalone, a ponieważ Georg następnego ranka miał wyruszyć do Palembang, przyjaciele rozeszli się do swych pokoi, by przynajmniej kilka godzin odpocząć. Zarówno Georg, jak i Jan długo nie mogli zasnąć. Myślami wracali raz po raz do Marii, do Rainau. Czy uda się jej jeszcze pomóc, czy zdążą?

Następnego ranka także Jan van Kossum wstał bardzo wcześnie. Przy śniadaniu obaj mężczyźni omówili jeszcze kilka interesów, które Georg miał załatwić w Holandii. Gdy służący zameldował, że zaprzęg gotów, Jan odprowadził przyjaciela. Żegnając go powiedział:

— Georg, zawsze byłeś i jesteś mi bliski. Moje myśli i życzenia będą towarzyszyły ci do Europy, do Marii i jej dziecka. Zrób wszystko, abyś przywiózł ją zdrową tutaj. Niechaj tu znajdą nowe szczęście, a pewien jestem, że i my będziemy w tym szczęściu uczestniczyć. Niech Bóg cię uchroni, byś miał zjawić się za późno w Europie. Czekam na wiadomości.

Pożegnali się uściskiem dłoni. Zaprzęg ruszył w kierunku przystani nad rzeką. Stamtąd miał udać się parowcem rzeczny do Palembang, gdzie zawijają duże, europejskie statki oceaniczne.

V

Minęło kilka miesięcy od śmierci Marii Dornberg. Był ciepły, słoneczny, wrześnieowy poranek. W ogrodzie, na dużej łące wieszala Martina razem ze służącymi na rozciągniętych sznurach bieliznę.

Zdaniem ciotki Melanii Martina powinna nauczyć się wszystkiego. Także do prania musiała się solidnie przykładać. Jej samej każda praca sprawiała przyjemność. Nie wzdragała się zatem także przed taką i byłaby zadowolona, gdyby tylko nie traktowano jej, jak to właśnie czyniono — bez krzty serdeczności.

Wspinała się właśnie, by powiesić kolejną sztukę bielizny, i była tak pochłonięta tą czynnością, że nie zauważyła wytwornego, mocno opalonego mężczyzny, który zatrzymał się przy ogrodzeniu ogrodu. Zaskoczony widokiem Martiny, patrzył na nią z niedowierzaniem. Gdy schylała się ponownie do kosza z bielizną, zawołał na nią:

— Martina!

Przestraszyła się. Spojrzała na niego błyszczącymi oczyma, których popielaty odcień przedziwnie kontrastował z ciemnymi brwiami i rzęsami. Jej jasne włosy targał wiatr.

Stała jak zauroczona i patrzyła na obcego. Z jego ciemnej twarzy spoglądały na nią szare oczy. Bielizna, którą miała właśnie powiesić, wypadła jej z rąk i leżała teraz na trawie.

W tym momencie pojawiła się ciotka Melania i podniosła wielką wrzawę.

— Czy ty potrafisz cokolwiek zrobić? Niezdarna jesteś do niczego od rana do wieczora. Prześcieradło leży teraz tu na trawie i trzeba je jeszcze raz prać. Zamiast ująć nam pracy, jeszcze jej przysparzasz. Krzyż pański mamy z tobą! Jesteś paskudnie nieuważna. Same kłopoty tylko. No, już, pozbieraj to prześcieradło i sama zaraz wypierz, służące nie mają na to czasu. Spiesz się, bielizna ma być na sznurach, żeby jeszcze słońce ją wysuszyło.

Tak pokrzykiwała nie widząc obcego, który stał przy płocie. A on zmarszczył czoło i gniewnie patrzył na ciotkę Melanię. Teraz, gdy Martina bez słowa schyliła się po leżącą bieliznę, przeskoczył przez płot i stanął przy niej. Wyrwał z jej ręki prześcieradło i ze złością zarzucił na sznur.

— Od tego jest chyba służba w Rainau — powiedział ostro. Ciotka Melania patrzyła na niego w osłupieniu.

— Co panu przyszło do głowy? Czego pan tu szuka? — ofuknęła go.

Nie zwracając na nią uwagi, wziął małe, zaczerwienione od pracy ręce Martiny w swoje i spoglądał na nie.

— Mała Martinko, masz tak samo zniszczone, spracowane ręce jak twoja biedna matka, gdy byłem tu przed laty. Nie poznajesz swego wujka Georga?

Rozradowana wzniosła ku niemu oczy.

— Wuj Georg? Kochany wuj Georg! Wziął ją w ramiona.

— Jakżeż podobna jesteś do twej matki, drogie dziecko. Zaprowadzisz mnie do niej?

Jej oczy zaszczyły łzami.

— Do niej nie mogę cię już zaprowadzić — jedynie na jej grób. Moja matka zmarła przed kilkoma miesiącami. — I Martina opowiedziała teraz wujowi, jak to samiuteńka była przy matce w środku nocy, gdy ta umierała.

Georg nie mógł dłużej powstrzymać się od łez. A więc sprawdziły się jego straszne przeczucia. Ciężka musiała być dla niej godzina śmierci, gdyż wiedziała, w jak bezdusznym otoczeniu pozostawia swoje dziecko.

Bez słowa wziął Martinę za rękę. Mówić nie mógł. Gardło ścisnął mu żal. Szli tak przez park, w którym widać było pierwsze znamiona jesieni. Melania patrzyła za nimi ze zdumieniem.

— Prowadź mnie do mamy, Martino — powiedział Georg ochryłym głosem.

W milczeniu dotarli do wielkich kasztanowców, do grobu Marii.

Georg wpatrywał się długo w mogiłę, na której między zwiędniętymi wieńcami leżał bukiet świeżych astrów. Przyniosła go tu wcześniej rano Martina, a teraz stała milcząca przy Georgu i patrzyła zamglonym wzrokiem.

Wyrwał się w końcu ze swego zamyślenia i pociągnął dziewczynę ku małej, skromnej ławeczce stojącej między oboma grobami pod jednym z kasztanowców.

— A teraz opowiedz mi raz jeszcze dokładnie, Martino, jak umarła twoja mama. Usiądziemy tu, wówczas ona będzie razem z nami — powiedział, starając się opanować.

Zaczęła opowiadać — najpierw cicho, jękając się, potem coraz swobodniej i płynniej. Przedstawiła dość wiernie cierpienia matki — na tyle, na ile sama mogła te cierpienia pojąć. Mówiła o wszystkim, co tak długo skrywała — męce, nędzy, udęce, które trapiły jej matkę. O sobie, o tym co sama musiała znieść i wycierpieć, zamilczała. To nie wydawało jej się ważne. Jedynie krzywda, jaką czyniono jej matce, wszelkie doznane przez nią poniżenia — te chciała

przedstawić wujowi. Pasja, z jaką to młode stworzenie opowiadało, czyniło je nad wiek dojrzałe.

Georg Feldner słuchał w milczeniu. Nie przerywał jej ani słowem, ale z wysiłkiem dobywał oddech ze ściśniętej piersi.

Gdy w końcu zamilkła, gdyż łzy nie pozwoliły jej mówić, położył rękę na jej ramieniu.

— Na razie przerwij, Martino, później opowiesz mi jeszcze więcej o wszystkim.

Zapłakała.

— Mogłabym opowiadać ci, wujku Georgu, całymi dniami, a i tak nie opowiedziałabym o tym wielkim cierpieniu, które znosiła moja mama. Każde spojrzenie, które na nią padło, każde słowo, którym się do niej zwrócono, było obrazą i poniżeniem — powiedziała ochryple.

Patrzył na nią ze zdziwieniem. Jakżeż dojrzałe wydawało mu się to dziecko jak na swoje lata. Godne podziwu było, że własny ciężki los znosiła nie uskarżając się. Jego samego oburzyło bowiem to, że Martinę traktowano w Rainau jak służącą, w dodatku nic jej za to nie płacąc. Skoro już nie mógł pomóc swej serdecznie kochanej siostrze, to przynajmniej jej córce Martynie niechaj sądzona będzie lepsza przyszłość.

Pogłaskał rękę Martiny.

— Moja mała, biedna Martino, przyjechałem po to, by cię zabrać ze sobą.

Jej wyjątkowo piękne, jasno błyszczące oczy rozpromieniły się. Ujęła go za rękę, a on czuł, jak drży z podniecenia.

— Czy to prawda? Czy mogę odejść — zaraz teraz — z tobą, daleko stąd, daleko od Rainau?

— Tak, Martino.

Rzuciła mu się z płaczem w ramiona.

— Wujku Georgu, kochany wujku Georgu, jak mam ci dziękować, jak mam to pojąć! Głaskał jej włosy.

— Biedne dziecko, aż tak się cieszysz, że wyjedziesz stąd? Teraz dopiero widzę, jak bardzo musiałaś tu cierpieć.

Opanowała się z trudem, lecz jej twarzyczka drgała ze wzruszenia.

— Nie chodzi o to, ile muszę tu wycierpieć, to nie jest wreszcie takie straszne. Ale przebywać stale wśród tych ludzi, zwracać się do nich jak do krewnych, to właśnie jest ciężko. Przecież nie mogę wykrzyczeć im całej prawdy, wszystkiego, co mi leży na sercu, nie mogę powiedzieć: wy zabiliście moją matkę! A zawsze mi się to przypomina, gdy ich tylko widzę,

nie mogę uwolnić się od tej myśli. Jest to męka bez końca. I z tego chcesz mnie wyzwolić? Nigdy nie zdołam za to ci się odwdzięczyć, wujku Georgu.

Poruszony do głębi spoglądał na nią.

— Moje biedne dziecko! Jeślim miał jakiegokolwiek wątpliwości, czy mogę cię stąd tak po prostu zabrać i przenieść w nową, obcą rzeczywistość, to z tą chwilą nie mam już żadnego wahania. Po takim wybuchu szczerości jestem pewien, że wszędzie będzie ci lepiej aniżeli w Rainau.

Wybuchnęła płaczem i przyklękła u grobu matki.

— Mamo, moja mamo, czy słyszysz? Mam wyjechać z Rainau, wyrwać się od tych, którzy ciebie dręczyli, także opuścić twój grób, ale ty pojedziesz z nami, mamo! Twoja miłość mnie nie opuści, nie pozwolisz, bym odchodziła sama, twój duch będzie stale przy mnie, na wszystkich moich drogach, ja o tym wiem — łkała.

Pozwolił jej się wypłakać, nie przeszkadzał, wiedział, że te łzy są konieczne. Jej młode serce musiało już tak wiele zła pokonać. Gdy się trochę uspokoiła, pomógł jej się podnieść.

— Chodź teraz, Martino, pójdziemy do twych dziadków, muszę im powiedzieć, że zabieram cię stąd.

Spojrzała na niego z lękiem.

— A jeśli się nie zgodzą? Jego oczy błysnęły gniewem.

— Niech się nie ośmielają zatrzymywać cię tutaj, bo wówczas musiałbym użyć mocniejszych argumentów. Bądź spokojna, bez ciebie stąd nie wyjadę.

Ciotka Melania zdążyła tymczasem powiedzieć swoim rodzicom i siostrze o przyjeździe Georga Feldnera. W wyrazisty sposób opisała jego elegancję, przypuszczając, iż niewątpliwie musiał dojść do wielkich pieniędzy.

— Na pewno jest zamożny, przecież to jasne, bo Marii dawał zawsze znaczne sumy. Ona i Martina mogły ubierać się o wiele lepiej niż my — powiedziała Helena.

— A czegoż to on może chcieć? — spytał gderliwie ojciec. Melania wzruszyła ramionami.

— Tego nie wiem. W każdym razie był bardzo stanowczy i pewien siebie, jakby to on był tu panem domu.

— To mu przejdzie, gdy tylko stanie twarzą w twarz ze mną. Jest i zawsze będzie synem bankruta — pomrukiwał starszy pan.

— Tego nie odważysz się mu powiedzieć, ojczy, on ma w sobie coś, co wzbudza respekt.

— Jestem pewna, że zaprzętnął małej głowę jakimiś blagami; nie powinnaś była pozwolić, żeby z nim rozmawiała — wtrąciła Helena.

Melania zachnęła się.

— Też bym była taka mądra, gdybym miała czas zastanowić się, tym bardziej, że znów brakuje jednej pary rąk przy praniu. Ale to wszystko poszło tak szybko... Stał tak niespodziewanie przede mną i patrzył tym swoim władczym wzrokiem, jakby był przyzwyczajony, że wszystko zawsze dzieje się tak, jak on chce... ty też nie mogłabyś mu niczego odmówić.

Helena roześmiała się drwiąco i spojrzała w pełne dziwnego blasku oczy Melanii.

— Czyżbyś się w nim zakochała? Jesteś taka podniecona. A kim to on w końcu jest, jak nie zwykłym poszukiwaczem przygód.

— Ależ tak to on na pewno nie wyglądał. Nigdy w życiu nie widziałam kogoś bardziej wytwornego. Sama go najpierw zobacz, to ci ochota na drwiny przejdzie.

Helena zachowała obojętność, powiedziała tylko:

— Mnie nie zaimponuje.

Podobnie jak inni czekała jednak nerwowo i niecierpliwie na Georga Feldnera.

Wreszcie zjawił się, a wchodząc do pokoju trzymał Martinę za rękę. Jej oczy błyszczały, a policzki płonęły.

Georg złożył ukłon paniom, po czym zwrócił się do pana domu.

— Przepraszam, że przybyłem bez uprzedzenia. Nie będę długo przeszkadzał, to co mam do powiedzenia, mieści się w kilku słowach: przyjechałem, by moją siostrzenicę, Marunę zabrać z Rainau — powiedział ze spokojem.

Wszyscy skupili na nim wyczekujące i niezyczliwe spojrzenia.

— Co to ma znaczyć? — Uniósł się starszy pan. Georg był niezmiernie spokojny i opamnowany.

— Czy nie wyraziłem się jasno? Zabieram stąd moją siostrzenicę Martinę.

— A dokąd to, jeśli wolno zapytać? — drwił starszy pan.

— Na Sumatrę — odparł Georg lakonicznie.

Stary Dornberg próbował przyjąć hardą pozę. Pełna spokojnej dumy postawa Georga Feldnera drażniła go. Nagle poczuł się odpowiedzialny za wszelkie zło i dobro w życiu swej wnuczki.

— Na Sumatrę? Na to dzikie pustkowie? To dziecko ma może prowadzić takie jak pan koczownicze życie?

Z oczu Georga biła stanowczość, wręcz groźba.

— Nie prowadzę koczowniczego życia, ale nawet gdyby tak było, Martina miałaby lepiej u mnie, aniżeli tu, w tym domu, gdzie musi wykonywać pracę ostatniej posługaczki, gdzie musiała patrzeć, jak zaszczuto jej matkę. Nie pozwolę, by moją siostrzenicę spotkał podobny los jak, jej matkę i by zmarniała tu z powodu okrutnego traktowania.

Wszyscy obecni pobledli ze zdenerwowania

— Jak pan śmie, panie Feldner? Nie pozwalam, by tak ze mną rozmawiać, mimo że jestem starym, słabym człowiekiem.

Georg popatrzył w szczególny sposób na tych czworo, a skupiwszy spojrzenie na starym Dornbergu, odrzekł ostro:

— Gdyby nie pański wiek i ułomność, ostrzej rozprawiłbym się z panem. Pan jako głowa rodziny jest przede wszystkim odpowiedzialny za to, jak w tym domu zachowywano się wobec mojej siostry i jej dziecka. Są przestępstwa, których żaden sędzia tu na ziemi osądzić nie może, a zmusić pana do odpowiedzialności w inny sposób nie chcę z uwagi na pańską ułomność.

Twarz Dornberga wykrzywiła się w gniewie.

— Pan sobie pozwala w moim domu na zuchwałę wypowiedzi. Jakkolwiek jestem ułomny, nie zgodzę się na to! Niech pan opuści mój dom!

— Z przyjemnością, ale tylko z moją siostrzenicą.

— Martina zostanie tu!

Słyszając to Martina przywarła wystraszona do swego wujka i chwyciła go za rękę. Otoczył ją ramieniem.

— Nie bój się, dziecko — powiedział czule. A zwracając się do starszego pana, ciągnął dalej — Martina pojedzie ze mną. Mam na to pełnomocnictwo jej matki. Jest ostatnią wolą mojej siostry, bym jej dzieckiem zajął się sam. I chciałbym widzieć człowieka, który by powstrzymał mnie od wykonania tego testamentu. Idź, Martino, weź z twego pokoju to, co jest ci z uwagi na pamięć o matce cenne i należy do ciebie. Poza tym niczego z tego domu nie zabieraj. I pośpiesz się, moje dziecko, pali mi się, by jak najszybciej stąd wyjść.

Martina patrzyła z lękiem na dziadka i ciotki. Wciąż jeszcze nie miała odwagi uświadomić sobie, że została uratowana.

— Mogę iść, dziadku? — spytała niepewnie.

Ale wujek delikatnym ruchem nakazał jej wyjść z pokoju.

— Idź, dziecko, teraz nie musisz już nikogo słuchać poza mną.

— To jeszcze zobaczymy — zakrzyczał sparaliżowany starzec. — Zawezwę policję!
Georg, niczym nie wzruszony, odwrócił się ku niemu.

— W pańskim własnym interesie lepiej będzie, jeśli pan tego poniecha. Wzbudziłoby to niepożądaną sensację, gdybym publicznie oświadczyć musiał, dlaczego zabieram moją siostrzenicę spod pańskiej opieki.

Starszy pan zamilkł zaskoczony. Georg skłonił się uprzejmie.

— Uwolnię pana od mojego niemiłego towarzystwa i zaczekam na Martinę na dworze.
Babka Martiny wstała.

— Nie chce pan chyba, by Martina opuściła nas bez pożegnania? Popatrzył poważnie w jej stronę.

— Martina może się z państwem pożegnać, ale tylko w **mojej** obecności.

— Przecież nie wyrządę jej żadnej krzywdy — odparła babka. Spojrzał na nią badawczo.

— Pani, łaskawa pani, być może nie — ale nie chciałbym zostawiać Martiny bez opieki.
— Powiedziawszy to, skłonił się i wyszedł.

Wszyscy, oburzeni, patrzyli za nim w milczeniu. W końcu starszy pan ocknął się i uderzył pięścią w stół.

— Cóż za bezczelny „opiekun”! Jego żona nerwowo pocierała rękę.

— Okropne, że musieliśmy coś takiego usłyszeć — powiedziała ze szczególnym naciskiem.

— To jest oburzające! Co za gbur! — zaskrzeczała Melania. Helena roześmiała się szyderczo.

— I to właśnie jest ten człowiek niezwykły, który tak ci zaimponował.

— On nie ma prawa zabrać Martiny — uniosła się Melania — Teraz, gdy zadałem sobie tyle trudu, by ją przyuczyć, kiedy wreszcie zaczęła być trochę przydatna. Będzie nas to kosztowało nową służącą, którą trzeba przyjąć na jej miejsce, a ja będę miała znów kłopoty.

Babka obciągnęła sobie spódnicę na kolanach i podkreślając każde słowo, odparła:

— Kilka tygodni temu bylibyśmy radzi, gdyby nas ktoś uwolnił od kłopotu opiekowania się nią. Dajcie jej spokojnie odejść z wujkiem, wygląda na to, że jest dobrze sytuowany. A — jeśli któregoś dnia utracimy Rainau — jeśli ojciec nie zdoła go utrzymać, to wówczas przynajmniej ona będzie pod dobrą opieką.

Melania i Helena wymieniły spojrzenia. Może matka nie myliła się? Na pewno, gdy umrze ojciec, pojawią się wierzyciele i Rainau pójdzie pod młotek. Zatem, czy na wszelki wypadek, nie byłoby lepiej, żeby Martina nie zawadzała? Będą przecież mieli dość kłopotów, by dla samych siebie znaleźć jakieś schronienie.

— Mama ma rację, tak będzie lepiej. — Przytaknęły obie.

Jeszcze tylko starszy pan srożył się z powodu żądania z jakim przybył Georg Feldner. Upokorzony, nie mógł pogodzić się z faktem, że musiał tak szybko ustąpić. Żona i córki starały się udobruchać go, aż w końcu wykrztusił z wściekłością:

— A niech idzie, gdzie chce, ta niewdzięcznica. Mamy z głowy całą odpowiedzialność. A ten bezczelny opiekun niech się też z domu wynosi. Odetchnę z ulgą, jak go tu nie będzie.

Po tych słowach zapanowało długie milczenie. Także babka Martiny wyglądała na zadowoloną. Czyżby w jej nieczułym sercu obudziło się współczucie dla wnuczki?

Opuściwszy salon, Martina pobiegła na drżących nogach do swego pokoju. W wielkim pośpiechu pozbierała wszystko, co było jej cenne i drogie, do kartonowego pudełka. Niewiele tego było. Szkatułka z dziennikiem matki, drobne pamiątki po Gerdzie, zdjęcie matki, które stało na nocnej szafce i przedstawiało matkę jako młodą, szczęśliwą narzeczoną; kilka książek, które podarowała jej matka, Gerd, a także ciocia Elżbieta; biała sukieneczka haftowana przez mamę — to było wszystko. Złoty medalion z łańcuszkiem, który matka nosiła do końca życia, był prezentem od wujka Georga. Krótco przed śmiercią matka włożyła do niego kosmyk swych włosów i podarowała go Martinie.

Dziewczyna założyła medalion na szyję i schowała pod sukienkę. Do kartonu wrzuciła jeszcze trochę bielizny, którą Maria sama jej uszyła. Przewiązała karton sznurkiem. Nie miała żadnej specjalnej walizki na tę podróż. Rozejrzała się jeszcze raz po pokoju, ręką musnęła z czułością łóżko matki.

— Jedziesz ze mną, mamó, wiem o tym — powiedziała cicho.

Zbiegła na dół, wciąż jeszcze pełna obaw, czy wszystko to nie było snem. Czy wuj Georg na nią czeka? Czy dziadek nie przepędził go, by ją zatrzymać? Ach, nie, na dole w holu stał wuj Georg. Wpadła mu prosto w ramiona i rozplakała się.

— Tak się bałam, że mogłeś odejść beze mnie, wujku. Wziął ją pod rękę, a drugą uchwycił ten jej śmieszny karton.

— Nie bój się, Martino, nie odejdę bez ciebie. Jesteś gotowa?

— Tak, wujku.

— A ten karton to wszystko, co masz?

— Tak, zrobiłam, jak kazałeś, i zabrałam tylko to, co mi jest drogie. Skinął głową.

— To dobrze. A teraz idź do nich i pożegnaj się. Z lękiem spojrzała w stronę drzwi.

— Będą na mnie wymyślać. Wziął ją za rękę.

— Idę z tobą.

Zapukał do drzwi, a gdy Melania zawołała skrzeczącym głosem, by wejść, wszedł razem z Martiną. Dziewczynka nieśmiało podeszła do krewnych i podała każdemu rękę. Mówić nie mogła. Nie znalazła ciepłego słowa dla tych ludzi, a nie chciała zmuszać się do kłamstwa. Nie udawała też żalu z powodu odejścia, patrzyła tylko, milcząca i poważna, w ich wykrzywione złością twarze. Ani dziadek, ani obie ciotki nie powiedzieli nic na pożegnanie, jedynie babka ścisnęła jej rączkę mocniej niż pozostali i powiedziała:

— Niech ci się dobrze wiedzie, Martino, Bóg z tobą.

Może właśnie teraz, po raz pierwszy, stara kobieta odczuła to, że Martina to jej krew, że Martina to dziecko jej syna. I mimo że nie była zdolna do głębszych uczuć, nie mogła pozostać tak obojętna, jak inni.

Tych kilka skąpych słów poruszyło Martinę. Zadrżała, popatrzyła pytająco w oczy starszej pani, pochyliła się szybko nad jej ręką i pocałowała. Uświadomiła sobie, że babka nie dręczyła jej matki tak, jak czynili to inni.

— Dziękuję ci, babciu. Niech Bóg cię strzeże! — wyszeptała. Po czym podeszła szybko do wujka. On skłonił się milcząco i opuścił wraz z Martiną pokój i dom. Raz jeszcze poszli na grób Marii, by się pożegnać. Jednak gdy szli dalej, Martina powiedziała z ufnością:

— Mama nie zostaje w Rainau, mama jedzie razem z nami.

Najpierw wybrali się jeszcze do urzędu, by odebrać stamtąd papiery Martiny. Georg Feldner wyjaśniał swej siostrzenicy:

— Byłem już tam, nim przyszedłem do ciebie. Tam powiedziano mi, że twoja mama nie żyje. Powiedziałem, że cię zabieram, i prosiłem by przygotowano twoje dokumenty.

Urzędnik tymczasem wszystko załatwił. Nie było żadnych trudności z wystawieniem potrzebnych dokumentów, gdyż Martina urodziła się w Rainau, ochrzczona została w wiejskim kościółku i tamże confirmowana.

Ten życzliwy człowiek utwierdził Georga w słuszności jego decyzji.

— Temu biednemu dziecku — powiedział — można doprawdy pogratulować, że może wyjechać z Rainau, panie Feldner. Służba opowiada tu we wsi o tym i owym, toteż wiadomo,

że nieboszczka ciężko tu miała, a i jej dziecko traktowali nie lepiej niż posługaczkę. Ha! Ale i dla państwa na Rainau niedobre czasy nastały. Ja tam bym nie chciał znaleźć się w skórze pana Dornberga.

— I ja też nie — powiedział Georg z ulgą.

Uprzejmy urzędnik zaproponował im jazdę do miasta swoją bryczką, by Martina nie musiała iść taki kawał drogi. W Rainau nikt o tym nie pomyślał.

W mieście Georg kupił przede wszystkim dla swej siostrzenicy porządną torbę podróżną. Zaraz w sklepie Martina przepakowała do niej wszystko, co było w kartonie. Potem pojechali do hotelu.

Całe popołudnie jeździli od sklepu do sklepu. Georg sprawił swej siostrzenicy stroje niezbędne w podróży: bieliznę, buty, suknie, kapelusze. W kilka godzin Martina przemieniła się z biednie ubranej dziewczynki w ślicznie wystrojoną młodą panienkę.

W hotelu dziewczyna rzuciła się wujkowi na szyję, by mu podziękować za wszystko. A gdy usiedli do podwieczorku, wręczyła mu zapieczętowaną kopertę z dziennikiem matki.

Schował ją w swoim kufrze.

— Nie rozpieczętuję jej, dopóki jesteśmy w Niemczech. Zacznę czytać ten dziennik dopiero na statku, boję się, bym jeszcze raz nie wrócił do Rainau szukać zemsty na tych, którzy ją tak gnębili. Musiałem i tak mocno trzymać się w ryzach.

Martina patrzyła na niego ze zrozumieniem.

— Doskonale pojmuję to, wujku. Gdy widziałam, jak dręczyli moją mamę, wydawało mi się, że mogłabym ich zabić.

— I musiałaś pozwolić, żeby cię tak upokarzali, Martino. Westchnęła.

— Dopóty mama żyła, stała mnie prosiła, bym była cicho i moim zachowaniem nie utrudniała jej życia jeszcze bardziej. A gdy mamy już nie było, wszystko stało mi się obojętne. Wtedy cieszyłam się nawet, że tak mnie gnębią, bo miałam nadzieję, że i ja od tego umrę.

Wzruszony głaskał jej głowę.

— Chciałaś umrzeć? Skinęła głową.

— Przecież tak bardzo tęskniłam za mamą. I byłam nawet niezadowolona, gdy spostrzegłam, że jestem coraz silniejsza. Ale teraz jestem szczęśliwa, że mam zdrowie i siłę, inaczej przecież nie zabrałbyś mnie na Sumatrę.

Uśmiechnął się z czułością.

— Ależ to byłoby dla mnie większą przykrością aniżeli dla ciebie.

— Doprawdy? Nie jestem ci ciężarem?

— Nie, z całą pewnością nie. Ale teraz sprawdź jeszcze raz, czy masz wszystko co potrzebujesz z nowych rzeczy. Taki stary wujek z tropikalnych krajów nie ma pojęcia, jakie potrzeby ma młoda dama.

Uśmiechnęła się zawstydzona.

— Ależ nie jestem jeszcze młodą damą, wujku. Przyjrzał się jej badawczo i uśmiechnął skrycie.

— Ale tak właśnie wyglądasz. No, to przejrzyj wszystko jeszcze raz, a jeśli czegoś brakuje, zanotuj. Ja muszę teraz napisać pilny list. Potem zjemy razem kolację i pójdziesz zaraz spać, żebyś była jutro wypoczęta i rześka.

— Wujku, czy jutro już odjeżdżamy?

— Tak, o jedenastej. Pojedziemy najpierw do Amsterdamu i będziemy tam mieszkać w domu mojego przyjaciela, Jana van Kossum.

— W Amsterdamie też ma dom?

— Tak, jest to dom jego rodziców, którego nie chce przekazać w obce ręce. Zawsze, gdy jest w Holandii, tam właśnie mieszka, a jeśli ja tam jestem, mogę z tego domu korzystać. Zatem — przejrzyj wszystko dokładnie i pamiętaj, że będziemy miesiącami całymi podróżowali i musisz być dobrze wyposażona, także na pierwszy okres na Sumatrze, gdzie za europejskie ubiory płaci się znacznie więcej niż tutaj.

Ujęła jego rękę i pocałowała.

— Dobry, kochany wujek Georg! Wzbraniał się zakłopotany.

— Ależ dziecko, co ty robisz? Jestem zażenowany! Masz teraz jeszcze jakieś życzenie?

Spojrzała na niego nieśmiało.

— Bardzo chciałabym napisać list pożegnalny do Gerda. Wiesz chyba, jaki był dla mnie zawsze dobry i miły. Nie chcę wyjechać z Niemiec bez napisania do niego kilku słów.

— Bardzo go lubisz? Przytaknęła.

— Zawsze był dobry dla mnie i dla mamy, zawsze stawał odważnie w naszej obronie, tak samo, jak i jego matka. Nie widziałam go od dawna, od moich jedenastych urodzin. Widzisz, wujku, przez całe te lata nie przyjeżdżał do Rainau. Jego stosunki z dziadkami i ciotkami nie układały się dobrze.

— To pozytywnie świadczy o tym młodym człowieku, napisz więc do niego.

Martina ucieszyła się.

— Zaraz to zrobię.

Przeglądając wszystkie nowo zakupione rzeczy stwierdziła, że potrzebny jej będzie jeszcze przyborek do szycia i nożyczki oraz chusteczki do nosa. Zanotowała wszystko skrętnie, po czym zabrała się do pisania listu przy małym biurczku, które stało pod oknem jej hotelowego pokoju.

Mój Kochany, Kochany Gerdzie!

Może już mnie dawno zapomniałeś, bo nie widzieliśmy się bardzo długo. Ale ja Ciebie nie zapomniałam i nigdy nie zapomnę. Teraz wyjeżdżam z moim kochanym wujkiem Georgiem, bratem mamy, bardzo daleko, na Sumatrę, i dlatego chcę Cię pożegnać. Ty i Twoja mama byliście zawsze tacy dobrzy dla nas. Dlatego też będę wspominała Was zawsze bardzo serdecznie.

Z radością wyjeżdżam z wujkiem Georgiem z Rainau. Wiesz przecież, że w Rainau było bardzo pięknie, ale tylko wtedy, gdy oboje mogliśmy być poza domem, z dala od dziadków i ciotek. Nie dziwisz się, że chętnie wyjeżdżam. Wujek Georg jest tak dobry i miły dla mnie, że czuję się jak w niebie. Żegnaj Cię więc, kochany, drogi Gerdzie. Niech Ci się dobrze wiedzie. Będę też nadal, tak jak dotychczas, modliła się za Ciebie. Nie zapomnisz mnie chyba całkiem? Ja Ciebie na pewno nie. Pozdrawiam Cię serdecznie. Chyba już nigdy się nie zobaczymy.

Twoja kuzynka Martina

PS. Byłam bardzo smutna, że nie mogłeś przyjechać na pogrzeb mamy. Czułam się taka osamotniona. Jeszcze raz Cię pozdrawiam, Martina.

Odetchnęła i przeczytała list raz jeszcze. Nie podobał jej się wcale, wydawał się jej sztywny, wymuszony, niezgodny z tym, co czuło jej serce. Ale w swym krótkim życiu niewiele zdążyła napisać listów. Mimo to włożyła go do koperty i zaadresowała. Gerd będzie przynajmniej wiedział, że wyjeżdża z wujkiem Georgiem na Sumatrę i że nie będzie jej już w Rainau. To było najważniejsze.

Z pewnością nie zobaczy go już nigdy, i tego było jej bardzo żal. Kochała go przecież bardzo. Obiecał nosić na sercu jej błękitną kokardę aż do czasu, gdy zostanie jego żoną.

Roześmiała się z zakłopotaniem. Jasne, że nie mówił tego serio, tak chyba tylko żartował sobie. I na pewno dawno o tym zapomniał. Był przecież dumnym oficerem, a ona niczym więcej jak małą, głupiutką dziewczynką.

Skromna, jak zwykle była przekonana o tym, że Gerd nie będzie miał czasu, by jej odpisać, więc nawet nie podała swego przyszłego adresu, tym bardziej, że sama go jeszcze nie znała.

Wuj Georg, napisawszy obszerny list do Jana van Kossum o śmierci Marii i o Martinie, przyszedł po siostrzenicę, by zabrać ją na kolację. Spytał, czy ma gotowy list, chciał go bowiem zaraz wysłać. Martina pokazała mu karteczkę z wykazem swych dodatkowych potrzeb. Uśmiechnął się i powiedział:

— Widzisz, o ilu rzeczach zapomnieliśmy! Ale nadrobimy to zaraz jutro rano.

Potem poprowadził ją do wielkiej sali jadalnej i zamówił kolację. Smakowała wszystkiego w skupieniu promieniejąca szczęściem. Georg był równie radosny. To było wspaniałe — móc opiekować się kochanym dzieckiem, chronić go. A Martina wyglądała uroczo w swej nowej sukieneczce. Z pewnością będzie z niej mała piękność, a on będzie dumny ze swej siostrzenicy.

Następnego ranka załatwili brakujące sprawunki, a poza tym Martina dostała jeszcze skórzaną torebkę z portmonetką, do której włożył różne monety.

— Na wszelki wypadek. Gdybyś miała jakieś wydatki, a mnie nie byłoby akurat przy tobie — powiedział wuj.

Dziewczynie wydawało się, że ktoś ją zaczarował. Czowała w sercu szaloną wdzięczność i szacunek dla wujka. „Gdybym tylko mogła kiedykolwiek odwzajemnić mu się za wszystko, co dla mnie robi” — pomyślała.

VI

Dla Martiny zaczęło się nowe życie. Najpierw pojechała z wujkiem na osiem tygodni do Amsterdamu, gdzie mieszkała z nim w pięknym, wygodnym, starym domu, własności rodziców Jana van Kossum. Opiekę nad domem sprawowała para dawnych służących.

Wuj Georg często wyjeżdżał w interesach i Martina przebywała z dwojgiem owych starych ludzi, co prawda z trudem się z nimi porozumiewając. Szybko jednak uczyła się niezbędnych zwrotów i słówek, by umieć wyrazić swe życzenia. Oboje służyli byli bardzo serdeczni. Pan Jan polecił im traktować rozkazy i życzenia Georga Feldnera jak jego własne. Taką samą serdeczność i oddanie okazywali także siostrzenicy pana Feldnera, pannie Martinie.

Któregoś dnia stara służąca oprowadziła Martinę po całym domu, nie pomijając pokoi nieżyjących właścicieli domu, które zwykle stały zamknięte. W tych pomieszczeniach wszystko zachowano bez zmian.

Z zapartym tchem szła Martina przez te wytworne pokoje i wydawało się jej, że kroczy po kościele.

Raz, gdy wuj Georg wrócił wcześniej niż zwykle, podekscytowana opowiedziała mu o wszystkim, co widziała. Tego dnia po raz pierwszy mówił długo i obszernie o swoim przyjacielu Janie van Kossum.

Po załatwieniu wszystkich interesów w Holandii, Georg Feldner zawiózł Martinę jeszcze na kilka tygodni do zimowego uzdrowiska, położonego w górach bawarskich.

Tam, wśród śnieżnej zimy, w samotności, spędzili Święta Bożego Narodzenia. Były to cudowne dni.

Martina przywiązywała się z dnia na dzień coraz bardziej do wujka, a i jemu ona stawała się coraz bliższa. W troskach i cierpieniu przedwcześnie dojrzała. Często zauważał ze zdziwieniem, jak rozbudzony jest jej umysł, ile wiedzy zdążyła sobie już przyswoić.

Kiedyś siedzieli w hotelu przy stole razem z pewnym Anglikiem, który nie miał pojęcia o języku niemieckim. Georg ulokowany naprzeciw Martiny usłyszał, jak Anglik zwraca się do niej w swym ojczystym języku. Zdziwienie jego było wielkie, gdy uświadomił sobie, że Martina odpowiedziała mu najlepszą angielszczyzną i prowadzi z nim dalszą rozmowę w tym języku swobodnie i płynnie.

Po posiłku, gdy byli już sami, Georg zapytał:

— Martino, ze zdziwieniem zauważyłem, że mówisz płynnie po angielsku, gdzie się tego nauczyłaś?

— Mama mnie nauczyła — odpowiedziała.

Georg wiedział, że jego siostra miała wybitne zdolności do nauki języków obcych i że biegle władała kilkoma. Uśmiechnął się zadowolony do Martiny.

— Widać pilnie się uczyłaś.

— Ach, to było takie przyjemne! Mama mówiła, że odziedziczyłam po niej talent do języków. Zresztą francuskiego też mnie nauczyła.

— A francuski znasz tak samo dobrze, jak angielski?

— Chyba tak. Mama uczyła mnie wszystkiego, co sama umiała, żebym zdobyła jak najwięcej wiedzy. Uczyła mnie w każdej wolnej godzinie, szczególnie tych dwóch języków. Mówiła często: „Wiedza czyni człowieka wolnym. Może kiedyś tą umiejętnością zarobisz sobie na chleb, gdy będzie taka potrzeba. Znajomość języków to cenna rzecz”. Dlatego tak łatwo mi to przyszło. Mama zaczęła mnie uczyć, nim poszłam do szkoły. I w domu rozmawialiśmy jeden tydzień po angielsku i jeden tydzień po francusku.

Georg wziął ją pod rękę. Był znów zdziwiony jej wiedzą i cieszył się, że przypominała mu z dnia na dzień coraz bardziej siostrę.

— Wiesz, Martino, będziemy to kontynuowali, abyś i ty i ja, abyśmy oboje ćwiczyli. Musisz nauczyć się także holenderskiego, to jest bardzo ważne z uwagi na Sumatrę. Początki masz już za sobą, próbowałaś przecież z tym dwojgiem starych sług w domu Jana van Kossum. Ostatnio było już całkiem nieźle. Dziwiłem się nawet, że tak łatwo ci idzie. Teraz dopiero rozumiem. Skoro znasz trzy języki, to czwarty przychodzi z łatwością. Nauczysz się jeszcze w Lahori rozmawiać ze służbą malajską w ich języku.

— O, to nie sprawi mi trudności. Mam, tak mi się wydaje, naprawdę talent do języków.

Dotrzymali słowa. Rozmawiali na zmianę to po francusku, to po angielsku, zawsze cały tydzień. Georgowi sprawiało radość, że ma tak pojętną uczennicę.

W zimowym uzdrowisku przebywali aż do początku lutego. Georg zawiadomił Jana, że wypływają z Bremerhaven w połowie miesiąca. Było to dnia 18 lutego 1914 roku.

Martina oswoiła się i zachowywała coraz pewniej, niczym prawdziwa mała dama. Nie patrzyła już, nieśmiała i wystraszona, gdzieś w bok w zetknięciu z obcymi ludźmi. Pomogła jej w tym zdolność dostosowania się do okoliczności. Wszystko co nowe wchłaniała natychmiast.

Rozkwitła w tych szczęśliwych dla niej miesiącach. Wypełniły się i zaróżowiły jej policzki, zaokrągliły kształty. Uroda jej zwracała uwagę, zauważano i podziwiano jasnozłote włosy, ciepłe, uduchowione oczy, ocienione ciemnymi rzęsami. Jeszcze dziewczęca, była jednak już małą piękną.

Wrodzony instynkt kobiecy podszeptał jej, jak z wdziękiem i smakiem nosić suknie. Wujek świadomie nie zakupił żadnych czarnych strojów.

— Ty i ja nie potrzebujemy żadnych zewnętrznych oznak żałoby, Martino. Żal po naszej drogiej zmarłej nosimy w sercu. Poza tym czarne ubiory na czas podróży a także na pobyt w tropiku są bardzo niepraktyczne — powiedział.

Martina była tego samego zdania. Nie potrzebowała czarnych sukien, by zachować pamięć o matce.

Bardzo interesowało ją życie na statku. Była w zupełnie nowym świecie i wuj Georg musiał jej ciągle coś wyjaśniać — co bardzo go radowało.

Gdy spacerowali po pokładzie lub wypoczywali na leżakach, opowiadał jej o życiu na Sumatrze. Potrafiła wyobrazić sobie egzotyczne Lahori. Widziała piękny, ozdobiony kolumnami dom, ogród na wyżynie, plantacje ryżu, kawy i bawełny, gaje palmowe i bogactwo kwiatów. Nakreślił jej okoliczności, w jakich się znajdzie, i opisał zalety Jana van Kossum. Nie było mu dość przedstawić Jana van Kossum w najpiękniejszych barwach, opowiedział też dokładnie, jak przyjaciel pomógł mu po bankructwie ojca i jak bardzo jest mu za to wdzięczny.

I powiedział jej jeszcze więcej. Patrząc w jej poważne, rozumne oczy wyznał, że Jan van Kossum pragnął pojąć jej matkę za żonę, lecz ona musiała mu odmówić, bowiem nie kochała go dostatecznie.

Jan van Kossum nigdy potem nie chciał ożenić się z inną kobietą, on nie mógł zapomnieć twej matki — dokończył.

Martina wpatrywała się rozmarzonym wzrokiem gdzieś w dal. Pierwszy raz słyszała o takiej wielkiej, świętej miłości i w jej dziecięcej wyobraźni Jan van Kossum wyrósł na bohatera.

— Pan van Kossum, sądząc po wszystkim, co mi opowiedziałeś, musi być szlachetnym człowiekiem — powiedziała któregoś dnia.

— Tak, Martino — przytaknął — najlepszy, najszlachetniejszy, najbardziej ofiarny przyjaciel, jakiego kiedykolwiek znałem. Znam go ponad dwadzieścia lat, a mieszkam z nim razem od piętnastu. W tym czasie rozstawaliśmy się jedynie na kilka miesięcy, gdy jego lub mnie

wzywały interesy od Europy. Można się było w ciągu tych lat wzajemnie dobrze poznać. Nie zmienił się, zawsze był i jest taki sam; jak wówczas, gdy ja byłem równie bogaty jak on. A później, gdy stałem się biedny, zawsze był moim wiernie oddanym przyjacielem. Jest bardzo zamożny; cały spadek po ojcu przeszedł na niego, a on go jeszcze własną pracą i zapobiegliwością pomnożył. Lecz nigdy nie podkreśla różnicy między sobą a mną, zubożałym przyjacielem, który ostatecznie swą niezłą egzystencję jemu zawdzięcza. Nigdy nie daje odczuć, że to on jest panem, a ja jego pracownikiem. Przeżywa wszystkie moje radości i smutki, jak i ja jego. Wkrótce go poznasz i bardzo bym chciał, abyś go z całego serca polubiła, tak jak na to zasługuje.

Zacisnęła dłonie.

— Kochany wujku, ile tylko miłości mam w sercu, podzielę między was obu. Może sprawię mu tym choć odrobinę radości.

— Zapewne tak, Martino, jesteś przecież dzieckiem kobiety, którą ze wszystkich ludzi najbardziej kochał. Mówi zawsze o tobie z serdecznym współczuciem i nazywa cię w swoim ojczystym języku „dat liefelijke blonde Kopjes!” Gdy pierwszy raz opowiadał mi o tobie, powiedział — ona jest najukochańszą małą dziewczyneczką.

Martina była zaskoczona.

— Czyżby mnie kiedykolwiek widział?

— Tak, gdy jeszcze leżałaś w wózek. Wówczas odwiedził raz twoją mamę w Rainau, by przekazać jej pozdrowienia ode mnie.

— Och! O tym nic mi mama nie mówiła. Wspominała co prawda, że masz na Sumatrze wiernego przyjaciela, ale zawsze nagle przerywała, jakby sprawiało jej to ból.

— I bolało ją to, gdyż wiedziała, jak zraniła kiedyś Jana van Kossum, i także dlatego, że zrozumiała, jakie wielkie szczęście odtrąciła.

Martina westchnęła głęboko.

— Biedna mama! Biedny Jan van Kossum! Ach, wujku Georgu, gdybym mogła sprawić mu dużo radości, tak bardzo bym tego chciała!

— Będiesz miała wystarczająco dużo okazji ku temu. On czeka już z niecierpliwością na ciebie. Rozumiesz zapewne, że raczej samotnie żyjemy w Lahori, choć mamy sporo służby, choć często jeździmy do Palembang a czasem też do Padangu na zachodnim wybrzeżu Sumatry, gdzie spotykamy Europejczyków. W większości przebywamy jednak z naszymi malajskimi poddanymi. I dobrze nam obojgu robi, że będziemy mieć w domu małą białą panią.

Uśmiechnęła się blado.

— Ja, panią? Przecież ja uczyłam się służyć.

— Nauczysz się teraz być panią dla naszej służby. Władania można nauczyć się łatwiej niż służenia.

Nastąpiło długie milczenie. Martina zatopiła się w marzeniach. Marzyła o miłości tak wielkiej, świętej jak ta, którą odczuwał Jan van Kossum do jej matki. Czy rzeczywiście istnieje tak wielka miłość? I nagle przypomniała sobie Gerda Volmara. Widziała go znów na łące w Rainau. Stał i pogwizdywał Menueta Boccheriniego. Siebie widziała tańczącą po łące w białej, przez mamę wyhaftowanej sukieneczce. A potem był jeszcze Gerd, który podbiegł do niej i poczuła jego usta na swoich. Patrzyła w jego dobre oczy, widziała jak wyciąga z jej warkocza błękitną wstążkę mówiąc — będę ją nosił na sercu, aż zostaniesz mą żoną. Każdy rycerz musi mieć coś, co jest własnością damy jego serca!

Ach, jakaż była wówczas zła, że jego gwałtowny pocałunek tak ją przestraszył i że on zabrał jej błękitną wstążkę. Właściwie dlaczego ją wtedy pocałował? Wspominała w rozmarzeniu tamtą chwilę i zastanawiała się nad zagadką, która pierwszy raz w życiu wprowadziła niepokój do jej serca.

Ocknęła się z zadumy i spojrzała badawczo na wujka. Był przystojnym i interesującym mężczyzną. Wszystkie damy chciały mu się podobać.

— Wujku, a dlaczego ty się nie ożeniłeś? — zapytała nieomal przez łzy. Przeraził się. Z wolna przejechał ręką po czole i cicho powiedział:

— Mnie zdarzyło się podobnie jak Janowi van Kossum. Jeszcze wtedy, gdy ojciec mój był bogatym człowiekiem, kochałem pewną piękną, młodą damę, którą chciałem pojąć za żonę. Nim zdążyłem jednak oficjalnie ogłosić nasze zaręczyny, nastąpiła katastrofa, ojciec zbankrutował, nie byłem już bogatym spadkobiercą a biedakiem, który nie mógł wprowadzić do domu kobiety, nim sam nie stworzy odpowiednich warunków do egzystencji. Prosiłem ową damę, by czekała na mnie, byłem gotów zabrać się wszystkimi siłami do pracy i jak najszybciej osiągnąć jakąś pozycję. Ona obiecała mi, wiernie na mnie czekać, ale nie byłem jeszcze ani pół roku na Sumatrze, a już napisała mi, że sprawa jest raczej beznadziejna, ona nie może przecież zostać żoną biednego człowieka i w tej sytuacji zaręczyła się z kimś innym. Ten drugi był — jak później się dowiedziałem — bardzo bogaty. Ciężko to przeżyłem, moja mała Martino, tyle że nie miałem wówczas czasu szczególnie zajmować się moim cierpieniem. I tak to się stało, że jestem kawalerem, podobnie jak i mój przyjaciel Jan. Ale trzeba ci wiedzieć, że pogodziliśmy się

z takim stanem rzeczy. Trochę brakowało nam kobiecego towarzystwa, mimo że tak w Palembang, jak i w Padang poznaliśmy niejedną białą damę. Teraz możesz sobie wyobrazić, jak bardzo cieszymy się na twój przyjazd. Wkrótce wyrośniesz na uroczą, młodą niewiastę i uczynisz nasze samotne życie pięknym.

— Oby mi się to udało. Będę się bardzo starała! Patrzył z uśmiechem w jej jasną, młodą buzię.

— Na pewno ci się to uda, Martino. Już teraz czuję, o ile bogatsze, piękniejsze jest życie, gdy ma się przy sobie takie kochane stworzenie, jak ty.

Zarumieniła się.

— Jeśli tak będziesz do mnie mówił, wujku Georgu, stanę się dumna i próżna!

Przyglądał jej się z uśmiechem, bo w oczach jej zauważył pierwsze oznaki kobiecej, niewinnej kokieterii.

Tak mijał dzień za dniem, w czasie których poznawali się oboje coraz lepiej. Dla Georga Feldnera nie było jednak łatwo wczuć się w duszę tak młodej istoty, i mimo iż postępował ostrożnie i delikatnie, zdarzało mu się popełniać błędy, szczególnie dlatego, że jej dojrzała postawa pozwalała zapomnieć, jak bardzo była młodziotka.

Martina była istotnie rozumna ponad wiek i dlatego coraz lepiej potrafiła dostosowywać się do osobowości wujka Georga, a niekiedy przyjmowała wobec niego już teraz ton pocieszenia opiekuńczego.

Podróż morską przebiegała więc dla obojga w pełnej harmonii. Georg Feldner czytał w czasie podróży dziennik swej siostry.

Czynił to zawsze wieczorem, gdy Martina już spała. Podczas tej smutnej lektury zdarzało mu się, że podrywał się w gniewie i musiał się uspokoić, nim zdolny był czytać dalej. Teraz dopiero poznał dokładnie męczeński los swej siostry. Zaczęła pisać dziennik na krótko przed zaręczynami. Już wtedy młoda kobieta miała świadomość, że skrzywdziła tak dobrego, szlachetnego człowieka, jakim był Jan van Kossum. Na następnych stronach Maria pisała o szczęśliwym okresie narzeczeństwa. Pobożne i skromne były jej życzenia — chciała być dla swego męża dobrą, wierną żoną.

Stopniowo upewniła się jednak, że została oszukana, że była niczym dla swego męża, znaczenie miały dla niego tylko jej pieniądze.

Przed oczyma Georga przesuwwały się kolejne dni ciężkiego życia siostry, cała jej bieda i walka, straszne poniżenia, nędza i cierpienie. Ale także wielkie, prawdziwe szczęście macie-

rzyństwa, które tej cierpiętnicy wynagradzało całe zło. Była też w tych zapiskach głęboka wdzięczność dla Elżbiety Volmar, jej męża i małego synka, a przede wszystkim dla niego, Georga i Jana van Kossum, którego spotkanie w parku Rainau uświadomiło Marii, o ileż bardziej szczęśliwa byłaby właśnie z nim. Jego dobroć robiła na niej tym większe wrażenie, że była przeciwieństwem całkowitej obojętności jej męża. I od dnia, w którym spotkała ponownie Jana van Kossum, widziała jasno, że u jego boku mogła prowadzić bogate, szczęśliwe życie, gdyby go w swym zaślepieniu nie odtrąciła kiedyś. Na kolejnych kartkach dziennika pojawiała się już stale jego nazwisko. Myśli jej wracały stale do spotkania z tym wielkodusznym człowiekiem, który znalazł tyle dobrych słów dla niej i dla jej dziecka, mimo że go tak skrzywdziła.

Swój dziennik kończyła Maria jakby testamentem:

Mam napady śmiertelnych dreszczy, wiem, że moje życie nie potrwa już długo. Ten dziennik pisałam dla mego dziecka, dla mego kochanego brata i dla Jana. Tak — Jan van Kossum niechaj go przeczyta również — w ten sposób chcę odpokutować za krzywdę, którą mu wyrządziłam. Żegnam Was, Moi najdrożsi.

Drogi Bracie, zaopiekuj się moją Martiną. Niech Bóg Was błogosławi.

Maria

Georg siedział jeszcze długo, trzymając głowę w rękach, i rozmyślał nad zwierzeniami siostry. Oczy miał pełne łez. Przypomniawszy sobie, że przyjaciel nazywał jego siostrę madonną z Rainau. Istotnie — wycierpiała wiele. Lecz Jan winien ten dziennik przeczytać. Znajdzie tam fragmenty, które go zabolą, lecz również takie, które przyniosą mu ulgę.

VII

Pod koniec marca parowiec zawinął do portu w Palembang. Kierownik filii mijnheer Haverkamp przybył na pokład i wręczył Georgowi list od Jana van Kossum, który pisał:

Mój Drogi Przyjacielu!

Celowo nie przybywam do Palembang, by przywitać Ciebie i Twą siostrzenicę. Czekają tu tyle nowego, że nie chcę jeszcze i ja zwiększać zamętu w jej główce. Lepiej, jeśli pierwsze zetknięcie z Sumatrą przeżyje będąc tylko z Tobą. Ale nie zwlekaj z przyjazdem razem z nią do mnie. Brakowało mi Ciebie niezmiernie w tym czasie, gdy dotarła tu wiadomość o śmierci Marii. Teraz całą moją nadzieją stała się jej córka. A więc spieszcie się z przyjazdem do mnie. Na przyjęcie Martiny wszystko jest przygotowane. Najserdeczniej ściskam.

Twój Jan

Georg uśmiechnął się wzruszony. Ten dobry, stary wierny Jan! Już nie może doczekać się chwili przyjazdu Martiny do Lahori.

Dziś oczywiście nie mogli podjąć dalszej podróży, ale zaraz jutro rano zamierzali wyruszyć parowcem w górę rzeki Moesi, by jeszcze przed wieczorem znaleźć się w Lahori.

Na razie zatrzymali się w hotelu „Królowa Emma”. Odświeżeni kąpielą, po posiłku wybrali się na przejażdżkę łodzią po Moesi i jej dopływach. W ten sposób wuj chciał pokazać Martinie miasto. Poszedł z nią także na rynek i bazar; pokazał wszystko, co w Palembang warte było obejrzenia.

Najbardziej zadziwiły ją domki na tratwach, najchętniej weszłyby do środka, by je poznać dokładnie. Ożywiony ruch na rynku i na bazarze, nieznanne owoce, rozłożone na matach i oferowane do sprzedaży przez tubylców, oczarowały Martinę. Przyglądała się najrozmaitszym wyrobom codziennego użytku, a także tutejszym artykułom luksusowym. Chcąc sprawić jej przyjemność, wuj Georg kupił różne błyskotki i fatalaszki, zapowiedział także, że w Lahori czeka na nią piękne sarong z prawdziwego jedwabiu i do tego zdobny pas.

— Będiesz je chętnie nosiła w upalne dni. Jest to dla kobiet w tym klimacie najwygodniejszy strój, i cieszę się bardzo, że kupiłem je jeszcze przed moim wyjazdem. To wyjątkowo piękne sarong — powiedział.

Zakupili jeszcze luźną kurteczkę, zwaną kabają, i wygodne, lekkie pantofelki ze słomy.

Martina nie mogła się napatrzeć na wszystkie te cudowności i dziwy. Przyglądała się pełnym gracji, smukłym Malajkom i beczynnym, siedzącym w kucki mężczyznom. I na nią patrzono z ciekawością, ale wszystkie twarze miały raczej życzliwy wyraz.

Gdy w końcu dziewczyna poczuła się zmęczona wrażeniami, pojechali do hotelu. Kolację zjedli w towarzystwie mijnheer Haverkampa, który miał mnóstwo spraw do omówienia z Georgiem. Rozmawiali jeszcze długo po udaniu się Martiny na spoczynek.

Wuj odprowadził ją do pokoju.

— Sądzę, że jak na jeden dzień widziałś wystarczająco dużo ciekawych i pięknych rzeczy, Martino? Obyś tylko nie czuła się samotna w Lahori po tych kilku miesiącach pełnych urozmaiceń — powiedział uśmiechając się.

Wzięła go za rękę.

— Przywykłam do samotności w Rainau, wujku. A tu mam przecież ciebie, jakżeż więc miałabym czuć się samotna, skoro jesteś przy mnie?

Wziął ją w ramiona.

— Cóż, zadbamy razem z Janem van Kossum o odrobinę urozmaicenia. Zatem dobranoc, Martino, niech ci się przyśni coś pięknego. Pierwszy sen w obcym kraju powinien się spełnić — zażartował jeszcze.

Popatrzyła na niego uśmiechając się filuternie.

— Dobrze, postaram się więc, aby przyśniło mi się, że zawsze jesteś ze mnie tak zadowolony, jak dotąd, i że Mijnheer van Kossum też będzie zadowolony.

— Tak będzie na pewno. Dobranoc, Martino, śpij dobrze. Jutro rano wcześnie wstajemy.

— Dobranoc, wujku!

Poszedł z powrotem do mijnheer Haverkampa, a Martina położyła się spać.

Spała mocno bez marzeń sennych aż do samego rana. Gdy ją zbudzono z głębokiego snu, poderwała się natychmiast, rozglądając się ze zdumieniem po pokoju hotelowym.

W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje. Świadomość rzeczywistości wróciła jej jednak natychmiast i spojrzawszy na piękny zegareczek — prezent od wujka Georga — zerwała się z łóżka.

Ubrała się szybko, jedynie z warkoczami nie poszło jej tak zręcznie. Mimo to zeszła punktualnie o umówionej godzinie na śniadanie.

Wuj oczekiwał jej na tarasie hotelowym.

— Byłabym się nieomal spóźniła, wujku. Wstałam dopiero, gdy mnie obudzono, a te głupie warkocze zajmują mi zawsze tyle czasu.

Uśmiechając się patrzył na te „głupie warkocze”, które tak uroczo zdobiły delikatną, dziewczęcą główkę. Jej włosy były już wielokrotnie przedmiotem podziwu, ale w tym względzie ona sama nie była nigdy zarozumiała.

— Gdyby te damy wiedziały, ile trudu i męki kosztują mnie te włosy, wcale by mi ich nie zazdrościły — powiedziała kiedyś.

Wuj i jego siostrzenica zjedli śniadanie i udali się, odprowadzani przez malajskich służących, którzy nieśli ich bagaże, na parowiec.

Martina przeżywała uroczą podróż w głąb Sumatry. Jej oczom ukazywały się cuda tropiku. Po obu brzegach Moesi widziała malajskie wioski, leżące między polami ryżowymi, i strzelające ku niebu wysmukłe palmy. Coraz to nowe widoki przykuwały jej wzrok, a wujek Georg tłumaczył jej wszystko, o co pytała.

Późnym popołudniem dotarli do przystani niedaleko od Lahori. Tu czekała na nich służba z dwoma wozami zaprzęgniętymi w woły, jeden do przewozu bagażu, drugi dla wujka i siostrzenicy. Ten drugi wyglądał znacznie porządniej i miał wyścielane siedzenia. Słudzy sprawnie załadowali bagaże i wyruszoło drogą w górę między polami ryżowymi, plantacjami kawy i bawełny, przez gaje palmowe. Martina podziwiała obfitość tropikalnych kwiatów, które wydzielają słodką woń i radowały wzrok jaskrawymi barwami.

Krajobraz zmieniał się w miarę, jak droga wznosiła się, wreszcie dotarli do wyżyny, na której w pięknym ogrodzie znajdował się dom Jana van Kossum.

Gospodarz stał na najwyższym stopniu schodów prowadzących do domu jedną ręką przesłaniając oczy. Wypatrywał nadjeżdżających i wybiegł im naprzeciw, gdy tylko ich dojrzał z daleka

Niczym malutką dziewczynkę uniósł Martinę do góry i patrzył promiennymi oczami w jej twarz.

— Serdecznie witamy w Lahori! Cóż za urocza „juffrouw” wyrosła z tej jasnowłosej dziecińcy. I — jakżeż podobna jest pani, panno Martino, do swej matki — powiedział głęboko poruszony, głaszcząc jej małe rączki.

Martina także przyglądała się temu wysokiemu, wytwornemu mężczyźnie. Wyobrażała sobie Jana van Kossum zupełnie inaczej, myślała, że powinien mieć piękną twarz, twarz bohatera. Wyobrażenie nie odpowiadało rzeczywistości. Van Kossum miał nieregularne rysy twa-

rzy. Nie, na pewno nie była to ładna twarz. Ale to stawało się nieważne, gdy się tylko spojrzęło w jego niebieskie oczy, lśniące serdeczną dobrocią.

Martina szybko pokonała rozczarowanie i nabrawszy odwagi, ścisnęła z całych sił jego rękę i popatrzyła mu z ufnością w oczy.

— Drogi mijnheer van Kossum, dziękuję panu za takie serdeczne powitanie. Mój wuj, Georg powiedział mi, że chce pan, by dom pański stał się moim rodzinnym domem. To dla mnie wielkie szczęście.

Patrzył na nią długo i badawczo. Potem zwrócił się do Georga i powiedział wzruszony:

— Podobna jest do swej matki w każdym calu, tylko jej oczy nie mają tego ogromnego smutku. I niechaj nigdy go nie będzie. Zapobiegniemy temu, Georg, jak myślisz?

Georg uścisnął mu rękę.

— Oby Bóg tak zdarzył, Janie. To jest dobre, kochane dziecko. Jan nie odrywając wzroku od Martiny, dodał jeszcze:

— Juffrouw Martino, gdy panią poznałem, była pani śliczną, małą istotką, upłynął czas, ale ja nie mogę pojąć, że to właśnie ta wysoka i smukła młoda dama. Pozwoli pani, wprowadzić się do mego domu.

Wziął ją pod rękę, a inni ruszyli za nimi.

W przedsionku zdjął z jej głowy kapelusz i teraz dopiero dostrzegł złoty przepych jej włosów.

— Ma też takie same złote włosy, jak twoja siostra, Georg! Mała „meisje”, cóż to za złotą koronę ma pani na głowie? Przybywa pani na Sumatrę z rzadkim skarbem. Malajskie służebnice będą patrzyły na to złoto na głowie jak na cud.

Uśmiechnęła się z zażenowaniem.

— Ja także patrzę na wszystko to, co mnie tu otacza jak na cud, a największym cudem wydaje mi się pańska dobroć, mijnheer van Kossum.

— Och, wprawia mnie pani w zakłopotanie, mała „juffrouw”. Teraz jednak pozwoli pani, że zaprowadzę ją do jej pokoi.

Weszli do dwóch dużych, widnych pomieszczeń, urządzonych całkiem po europejsku. Były to typowe pokoje panińskie, z białymi meblami i obiciami w barwne kwiatowe wzory.

Martina była uradowana.

— Tu mam mieszkać? — zapytała zdumiona. Zdziwił się nawet Georg.

— Ależ Janie, czyżbyś wszystko to urządził specjalnie dla Martiny?

Jan śmiał się zadowolony z ich zdziwienia

— Czyż tu nie jest naprawdę ładnie? Podoba się pani, Martino?

Oddychała szybko, w radosnym podekscytowaniu, obie ręce przyłożyła do serca i spoglądała na gospodarza swymi błyszczącymi jak gwiazdy oczami.

— Och, mijnheer van Kossum, to jest zbyt piękne dla mnie. Jak mam panu dziękować za tyle dobroci?

— Tylko tak, że będzie mnie pani nazywała wujkiem Janem. Żądam bowiem takich samych praw, jak Georg i będę zazdrośnie pilnował, by mi czegoś nie poskąpiono.

Popatrzyła na niego niepewnie, lecz jego pełne dobroci spojrzenie spowodowało, że pokonała nieśmiałość i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Ale będziesz musiał mówić mi „ty”, wujku Janie, i musisz też pozwolić, że cię za całą twą dobroć pocałuję!

Było to dla Jana niezwykle uczucie. Trzymał w ramionach córkę Marii, i czuł jej usta na swoich. Poruszyło go to do głębi. Uszczęśliwiony wiedział, że pozyskał pełne zaufanie Martiny zaraz w pierwszej godzinie. Głaskał jej włosy. Już dawno złożył sobie uroczyste ślubowanie, że będzie wiernym przyjacielem i opiekunem tego dziecka.

Georg Feldner przyglądał się wszystkiemu ze wzruszeniem. Milczał.

Jan opanował się i powiedział z uśmiechem:

— No cóż, przyjacielu, jestem teraz uprzywilejowanym wujkiem uroczej siostrzenicy, która w żadnym wypadku nie należy już wyłącznie do ciebie.

Georg ścisnął go za rękę.

— Zasłużyłeś na to.

Jan zrobił ruch, jakby się wzbraniał.

— Daj spokój, to ja mam za co dziękować. Ale teraz zostawmy nasze dziecko samo: Niech się odświeży i przebierze po podróży.

Klasnął dwa razy w dłonie i weszły dwie malajskie służebnice. Jan wydał polecenie, by przygotowały „młodej pani” kąpiel i były do jej usług. Potem zwrócił się do Martiny:

— Te dwie Malajki, Nuri i Jama, będą od dziś twymi służącymi, Martino. Będą utrzymywały porządek w twoich pokojach, pomagały ci przy ubieraniu i wykonywały wszystkie twoje rozkazy.

Martina patrzyła zakłopotana na obie Malajki, które uśmiechały się do niej przyjaźnie.

— Ależ wujku, ja doprawdy nie potrzebuję żadnych służących. Nie jestem do tego przyzwyczajona, dotychczas to właśnie ja usługiwałam innym.

— Tu będzie inaczej, Martino, będziesz musiała nauczyć się jeszcze mnóstwa rzeczy w tym kraju.

— Ale dwie służące naraz dla mnie jednej — to chyba za dużo! Roześmiał się serdecznie.

— Nie martw się, już one podzielią tę pracę między siebie. Każda ma swój zakres obowiązków. Do Nuri należeć będzie utrzymanie twych pokoi w porządku, a Jama zajmie się twoją garderobą i będzie spełniać twoje osobiste rozkazy. Zapewne wkrótce będziesz umiała porozumiewać się z nimi. Tymczasowe instrukcje już otrzymały.

— Och, Martina nauczyła się już sporo holenderskiego i malajskiego przy mnie i w niezbędnych sprawach porozumie się z Jamą i Nuri — wtrącił wuj Georg.

— Tym lepiej! Za pół godziny siądziemy do stołu, Martino. Zatem do zobaczenia!

Obaj panowie wyszli, zostawiając Martinę samą z Malajkami.

Popatrzyła nieco bezradnie na służące, lecz zaraz wyprostowała się, już zdecydowana. Musiała czynić, co wuj nakazał, inaczej nie będzie miała tu posłuchu.

Podąła Jamie kluczyki od walizy.

— Proszę rozpakować — wskazała na bagaże.

Jama wzięła kluczyki i otworzyła walizę. Nuri pomagała jej przy wkładaniu rzeczy do szaf. Obu służącym sprawiało widoczną radość oglądanie europejskich strojów.

Martina zdecydowała, co na siebie ubierze, i Jama zaprowadziła ją do pokoju kąpielowego. Po kąpeli, owinięta w coś przypominającego płaszcz kąpielowy, wróciła do swych pokoi. Teraz przyszła jednak kolej na fryzurę Martiny, z czym ani Jama, ani Nuri nie mogły sobie poradzić. Co prawda Jama rozplotła złote warkocze, ale potem przyglądała się bezradna tej fali włosów, które niczym płaszcz opadły na plecy Martiny.

— Co trzeba zrobić? — zapytała Nuri nieśmiało.

— Czesać, wyszczotkować i zapleść — odparła Martina wskazując na grzebień i szczotkę.

Jama zabrała się do dzieła; czesała, szczotkowała pilnie, lecz nie potrafiła zapleść warkocza. Śmiejąc się Martina wzięła grzebień i szczotkę sama w ręce.

— To nie jest takie proste, Jamo, patrz, pokażę ci, jak masz to robić. Szybko i zręcznie Martina dokończyła swoją fryzurę, a obie służące przyglądały się bacznie.

— Teraz już umiem — uśmiechnęła się Jama. Martina przytaknęła z zadowoleniem.

— Te głupie warkocze, z tym jest doprawdy kłopot — powiedziała.

Jama okazała się jednak bardzo pojętna i już na drugi dzień radziła sobie z warkoczem Martiny o wiele lepiej.

Podczas gdy Nuri porządkowała pokój, Jama pomagała swej nowej pani przebrać się do stołu.

Martina była gotowa; miała na sobie skromną białą suknię przewiązaną na biodrach niebieską wstążką. Wyglądała uroczo w tym prostym, a jakże pięknym stroju.

Tego samego zdania byli obaj panowie, gdy ujrzeli Martinę wchodzącą do jadalni, gdzie dziś, miast jak zwykle dwóch, przygotowane były na stole trzy nakrycia.

Zasiedli do posiłku. Wniesiono potrawy.

Jan van Kossum z podziwem patrzył na warkocze dziewczyny.

— Jestem pewien, Martino, że czegoś takiego nie ma w tym kraju.

Przy stole Martina przyjęła rolę małej pani domu — czyniła to z wprawą i wdziękiem. Obaj panowie chcieli jej usługiwać, lecz nie godziła się na to.

— Moi kochani wujkowie, muszę przecież mieć tu jakieś obowiązki, w przeciwnym razie czułabym się zupełnie zbędna.

Obaj zgodzili się więc, by podawała im półmiski, obierała owoce a potem przyrządziła kawę. Opowiadała przy tym miłym, miękkim głosem o swych nowych wrażeniach, których doznała w tym nieznanym kraju.

Panowie dali się oczywiście wciągnąć w tę miłą rozmowę, a po kolacji spacerowali jeszcze po oświetlonej werandzie wokół domu. Martina podziwiała piękno nocnego nieba, usianego gwiazdami, i nagle, może nieco pompatycznie, ale szczerze powiedziała:

— Mama jest z nami — czuję to! Och, jakżeż może być szczęśliwa wiedząc, że jestem pod waszą opieką. Tak bardzo martwiła się o mnie, a mnie jest teraz dobrze, tak bardzo dobrze!

W przypływie wielkiej wdzięczności chwyciła rękę wuja Georga i rękę wuja Jana i ucałowała. Wzbraniali się, lecz ona w wielkim wzruszeniu mówiła:

— Pozwólcie mi, proszę! Jesteście obaj tacy dobrzy, kochani, mama wyprosi dla was wszystkie łaski niebios.

Gawędzono jeszcze z godzinę, wreszcie panowie posłali Martinę spać, gdyż była bardzo zmęczona.

Jan i Georg pozostali na tarasie. Chwilę patrzyli w milczeniu za Martiną i nagle Jan, upewniwszy się, że Martina nie słyszy, zwrócił się do przyjaciela:

— Opowiedz mi teraz, co jeszcze wiesz o twojej siostrze. Śmierć Marii wstrząsnęła mną. Czuję się opuszczony i samotny na świecie. Dzięki Bogu mam ciebie teraz znów przy sobie, no i Martinę, żywe odbicie Marii. Ale opowiedz, co się jeszcze wydarzyło.

Georg popatrzył na niego poważnie.

— Ja nie będę mówił nic więcej, sam przeczytasz. Jan zdumiał się.

— Jak mam to rozumieć?

— Siostra zostawiła dla mnie swój dziennik. Przeczytaj go, będziesz w ten sposób uczestniczył w jej życiu.

Jan wstał i z niedowierzaniem spojrział na Georga.

— Chcesz mi na to pozwolić? Na poznanie największych tajemnic jej serca? Sądzisz, że to byłoby po jej myśli?

Georg ujął go za rękę.

— Moja siostra tak zdecydowała, Janie. Przeczytasz sam, że dziennik ten pisała dla swojej córki, dla ciebie i dla mnie. Martina pozna go dopiero, gdy ukończy osiemnaście lat. Właściwie mogłaby go już przeczytać, jest zadziwiająco dojrzała i poważna. Przyczyniła się do tego oczywiście niedola jej matki.

— A mimo to jest słodkim, niewinnym dzieckiem.

— Tak — dzięki Bogu — a charakteru swego ojca na szczęście nie odziedziczyła. Jest wyłącznie podobna do Marii.

Dziękować Bogu! Cóż, będziemy jej strzec i chronić jak własne dziecko.

Podali sobie ręce, wzajemnie zapewniając się o zgodności swych intencji.

W milczeniu wpatrywali się jeszcze jakiś czas w smugę dymu uchodzącego z cygar. Bez słów wiedzieli, co czują. Rozstając się, Georg dał Janowi dziennik siostry, a ten w milczeniu podziękował mu uściskiem ręki.

Van Kossum jeszcze tej nocy postanowił przeczytać zwierzenia Marii. Odesłał sługę i gdy był już sam, usiadł w fotelu i rozpoczął lekturę. Nie ruszył się, nim nie dotarł do ostatniej stronicy.

Był zgnębiony. Rękami ścisnął głowę, a dziennik osunął się na podłogę.

— Mario, i tak to się stało, że z powodu tej jednej pomyłki oboje zmarnieliśmy. Gdybym był ci nie pozwolił... gdybym starał się zatrzymać cię przy sobie wszelkimi sposobami.

Załamany, siedział jeszcze długo i rozpamiętywał przeszłość. To, co go najbardziej bolało a jednocześnie uszczęśliwiało, było uświadomienie sobie, że po wszystkich upokorzeniach doznanych od męża Maria tęskniła do niego. Jej dusza szukała u niego schronienia w tej wielkiej niedoli. Wzruszyło go to głęboko. Próbował przywołać w pamięci jej obraz z czasów, gdy starał się o jej rękę. Ale obraz rozmywał się, a na jego miejscu powstawał obraz Martiny. Widział ją w białej sukni, z niebieską wstążką wokół szczupłych bioder i koroną złotych włosów na głowie. Obie te postacie nakładały się na siebie, tworzyły nową całość — jedną istotę ludzką.

VIII

Mijały lata. Juffrouw Martina była w domu Jana van Kossum promykiem słońca. Rozwinięła się, rozkwitła i jako śliczna panienska, stała się — wcale tego nie chcąc — postacią, wokół której kręciło się życie w tym domu.

Tymczasem w Europie szalała I wojna światowa i nawet w domu Jana czekano z niepokojem na świeże gazety przynoszące wiadomości o wojnie. W owym czasie ani Jan, ani Georg nie wyjeżdżali do Europy. Dom w Amsterdamie stał pusty, strzeżony jedynie przez dwoje starych sług. Wszelkie interesy załatwiano listownie. Georg był szczęśliwy, że zdążył wraz z siostrzenicą umknąć z Niemiec na Sumatrę, gdyż wieści dochodzące z kraju były rozpaczliwe.

Wiadomość o wojnie Martina przyjęła z wielkim niepokojem. Zbladła i wyraźnie była bardzo zgnębiona. Wróciwszy wieczorem do swego pokoju, stała długo w oknie i ściskając dłonie, zalękniona szeptała raz po raz to samo imię:

— Gerd! Drogi Gerd!

Wiedziała, że jako młody porucznik znajdzie się między pierwszymi, którzy zostaną powołani do wojska. Czowała, jak strach szarpie jej serce.

Ze swego biureczka wyjęła szkatułkę z pamiątkami i drżącymi dłońmi dotknęła błękitnej wstążki. Wpatrywała się w nią tak długo, aż poczuła w oczach ogień... a na błękitnej wstążce zaczęły tańczyć czerwone plamy i krążki.

Zadrżała. Czyż nie wygląda tak, jakby była to krew? W nagłym porywie złożyła rękę.

— Gerd, kochany Gerd!

Kierując się nowym, nieznanym uczuciem, bezwiednie osunęła się na kolana i modliła w intencji Gerda tak żarliwie, jak nigdy dotąd jeszcze nie modliła się za nikogo.

Postanowiła także wieczór w wieczór modlić się w intencji Gerda. Ta modlitwa wyzwała miłe wspomnienia o ukochanym przyjacielu z lat dziecięcych. Przecież z nim wiązały się te nieliczne godziny szczęścia z tamtych lat. W marzeniach przeżywała stale jeszcze owo zdarzenie na łące i związane z nim przerażenie, które ogarnęło ją, gdy ją pocałował. Słyszała menueta, którego pogwizdywał, a ona tańczyła... To wszystko powodowało, że tęsknota za spotkaniem z Gerdem nigdy jej nie opuszczała. Przez cały czas trwania wojny modliła się gorąco do Boga, by zachował go w zdrowiu.

Obu wujom zdawało się, że znają Martinę tak dobrze, iż w jej sercu czytać mogą jak w otwartej księdze. Nie domyślali się jednak, że jest w jej duszy maleńki zakamarek, w którym miejsce mają tylko wspomnienia o Gerdzie.

Życie Martiny w domu van Kossuma było urozmaicone i pełne ciepła. Stąd też rzadko zdarzało się, by nawiedzały ją smutne myśli, a jeśli — to tylko wtedy, gdy była sama. Obaj mężczyźni dotrzymywali słowa — opiekowali się Martiną jak własnym dzieckiem.

I tak nadszedł dzień jej osiemnastych urodzin. Jak co roku, tak i tym razem leżały na urodzinowym stoliczku pięknie zapakowane prezenty. Obaj wujkowie spełniali wszystkie jej życzenia, których tylko mogli się domyśleć. Na stoliczku leżał także dziennik jej matki.

Wzruszona Martina ścisłała na przemian to jednego to drugiego wujka, gdyż obaj byli jej jednakowo bliscy. Ta radość była dla nich największą nagrodą. Trzymając obu pod rękę, szła z nimi do stołu nakrytego do śniadania.

Po śniadaniu, jak każdego dnia, obaj panowie poszli doglądać pracy na plantacjach. Wracali stamtąd zazwyczaj dopiero po kilku godzinach, więc Martina miała czas tylko dla siebie.

Gdy byli już w ogrodzie, jeden z nich krzyknął:

— Idź do swojego pokoju i wtedy o nas pomyśl.

Zaintrygowana, skierowała się ku swoim pokojom. Stała w progu jak zaczarowana. Gdzie nie spojrziała, wszędzie stały olbrzymie wazon z kwiatami, na toaletce i na dywanie. Intensywny zapach unosił się w całym pomieszczeniu, a przed nią stały Nuri i Jama radośnie uśmiechnięte. Uroczyście podeszły do niej i nieco zniekształcając wyrazy, ale jednak zrozumiale, powiedziały po niemiecku:

— Wiele szczęścia w dniu urodzin życzymy naszej młodej pani, Martinie!

Uśmiechnięta i wzruszona Martina uściśnęła je obie i zapytała niepewnym głosem:

— A kto kazał moje pokoje tak przyozdobić?

— Mijanheer van Kossum, proszę pani.

— A kto nauczył was tych życzeń po niemiecku?

— Też mijnheer van Kossum. To było bardzo trudne dla nas, pani. Martina ukryła twarz w kwiatach.

— Wuj Jan, dobry, kochany wuj Jan — powiedziała cicho i czule, a zwracając się do sług, rzekła: — Bardzo pięknie to wypadło, dziękuję wam.

Gdy van Kossum wrócił do domu, rzuciła mu się na szyję. Całowała go raz po raz i dziękowała za niespodziankę. Był to bardzo radosny dzień i dla Martiny, i dla wszystkich domowników.

W saloniku wuja Jana stał piękny stary fortepian. Gospodarz domu, bardzo muzykalny, grał po mistrzowsku na tym instrumencie. Martina nie brała nigdy lekcji gry, aczkolwiek było to zawsze jej wielkim pragnieniem. Matka miała zamiar uczyć ją muzyki, lecz ciotki narzekały na takie marnotrawstwo czasu. Jedyne Gerd nie przejmował się tym, a jego gra na fortepianie była jedyną muzyką, którą Martina słyszała w Rainau.

W Lahori często słuchała, cichutka i skupiona, jak wuj Jan grał. Miała niewątpliwie zdolności muzyczne, z czego nie zdawała sobie sprawy. Siadała często do fortepianu, gdy tylko była sama, i ze słuchu grała poznane melodie. Któregoś dnia zaskoczył ją przy tym wuj Jan, przysłuchiwał się dobrą chwilę, po czym położył rękę na jej ramieniu, a gdy przerażona podniosła na niego wzrok, spytał:

— Kto cię tego nauczył?

— Nikt, próbowałam zagrać to, co znam ze słyszenia. Proszę, nie gniewaj się, że gram bez pozwolenia na twoim fortepianie.

Pogłaskał ją po głowie.

— Chciałbym, abys się uczyła grać. Jesteś muzykalna i szkoda byłoby zmarnować twój talent.

Od tego dnia odbywał z nią regularne lekcje i zadziwiające było, jak szybko robiła postępy.

Okazało się także, że Martina ma piękny głos, głęboki, miękki mezzosopran. A zaczęła od śpiewania prostych, ludowych piosenek, stopniowo przechodząc do bardziej trudnych utworów. Wuj Jan sprowadził stopy nut i niebawem prawie każdy wieczór upływał w Lahori na muzykowaniu. Miękki, słodki głos Martiny rozlegał się daleko w czasie tych tropikalnych nocy. Wuj Jan akompaniował, Martina śpiewała, a wuj Georg przysłuchiwał się, dumny ze swej siostrzenicy.

Ale nie tylko on był tak uważnym słuchaczem. Obok w westybulu w wielkim zasłuchaniu przystawali służący.

Jednak największym wielbicielem jej śpiewu był Jan van Kossum. On najlepiej rozumiał muzykę, słyszał wszystkie barwy i odcienie głosu, w którym pobrzmiwały radości i smutki, skargi i triumfy. W dniu swych urodzin Martina wyraziła swą wdzięczność za miłość i dobroć, którą jej okazywano, śpiewem. Potajemnie przygotowała pieśń Beethovena, o której często mówił wuj Jan. Wuj uwielbiał tego kompozytora i sam grał wspaniale jego „Sonatę Księżycową”. Nuty do owej pieśni sprowadził Georg, by zrobić przyjacielowi niespodziankę. Tego wieczoru dziewczyna położyła te nuty na fortepianie.

— Zaśpiewam to dla ciebie, wujku — powiedziała tuląc się do niego.

Spojrzał na nuty a potem na nią ze zdziwieniem. Jego oczy miały wyraz zdumienia i radości. Nie powiedział nic. Przed wieloma laty usłyszał pierwszy raz tę pieśń, śpiewaną przez Marię Feldner i od tego dnia zrozumiał, że Marię kocha. A teraz, tutaj, stała przy nim jej córka i chciała zaśpiewać mu tę samą pieśń.

Otworzył nuty, zaczął grać, a po chwili popłynął słodki głos Martiny:

Ja kocham cię tak jak ty mnie

W dzień, w nocy, w każdej chwili

Nie było dnia, abyśmy my

Trosk z sobą nie dzielili.

I było nam na pewno lżej

Pospołu nieść te znoje.

Tyś mnie krzepiła w trosce mej.

Ja łzy suszyłem twoje.

I za to śle ci dobra swe

Wszchemocny Bóg na niebie.

Niech w każdy czas moc

Jego łask Zachowa nas dla siebie.

Obaj panowie słuchali uważnie. Wuj Jan miał łzy w oczach. Akompaniując Martinie, spoglądał na nią raz po raz. Miał dziwne uczucie — nagle pojął, że Martina nie jest już dzieckiem, brzmienie jej głosu powiedziało mu, że przeistoczyła się w młodą kobietę, która śpiewa o własnej miłości.

W jego świadomości matka i córka stanowiły jedną postać, już nie mógł tych dwóch istot w swym sercu rozdzielić. Poczł wielki ból, że w jego życiu zabrakło czegoś najszczytniejszego i najwspanialszego — głębokiej wspólnoty z kochaną i kochającą kobietą.

Tego dnia nastąpiła całkowita odmiana jego stosunku do Martiny.

Nie było to wprawdzie uczucie gwałtowne, namiętne, ale nie było to także owo wolne od pragnień, ojcowskie przywiązanie. Nie pragnął być dla niej czymś więcej, niż dotychczas, ale naszedł go pełen lęku niepokój, że któregoś dnia straci Martinę, że ona odda swe serce innemu mężczyźnie.

Nie do pomyślenia było, wiedział o tym, by to młode stworzenie mieć u swego boku jako żonę. Na to był zbyt bezinteresowny i rozumny. Było to jednak uczucie tak silne i głębokie, że aż bolesne. Człł, że nie mógłby życzyć innemu mężczyźnie posiadania Martiny. Była dla niego świętością, powierzonym w opiekę dzieckiem, i dlatego wszelkie żądze jej nie dotyczyły. Jego uczucie od początku było pełne rezygnacji; ale było to jednak uczucie miłości. Tę samą miłość, którą miał kiedyś do jej matki, żywił teraz do niej. Wiedział, że nigdy nie będzie jej posiadał, tak samo jak nigdy nie posiadał jej matki, a więc uczuciu miłości towarzyszyło także uczucie lęku, że Martina opuści go któregoś dnia i pozostawi w osamotnieniu. Czy mógłby to znieść? Czy powtórnie przeżyłby daremne nasłuchiwanie na lekki krok, miękki, czuły głos? Nie widzieć jej codziennie, czy to by wytrzymał? Życie bez jej uszczęśliwiającej bliskości wydawało mu się być życiem bez słońca. Ona nie może ode mnie odejść, nigdy, myślał.

Pieśń już się dawno skończyła. Zamyślony, zapatrzony siedział milcząc przy fortepianie. Martina popatrzyła na niego z niepokojem, podeszła bliżej.

— Wujku Janie, dlaczego jesteś taki smutny? Czy sprawiłam ci przykrość moją pieśnią?

Uniósł się lekko i spojrzał na nią.

— Nie, Martino. Obudziłaś we mnie tylko wspomnienia. Tę pieśń śpiewała mi kiedyś twoja matka.

Założyła mu ręce na szyję i przytuliła się do jego policzka.

— No widzisz, od razu czułam, że coś cię zasmuca.

Siedział nieruchomo i z bolesną świadomością pojmował, jak wiele dla niej znaczy... jako wuj Jan. I to się nigdy nie zmieni! Dzięki Bogu, Martina była jeszcze dość dziecinna — a tu, do tej samotni, raczej nieprędko zabłąka się jakiś Europejczyk, by ją uprowadzić. Nim zdążył to do końca pomyśleć, już złorzeczył sam sobie.

Chcesz, by to cudne dziewczę zwiędło tu niedocenione? Chcesz zazdrośnie sam tylko radować się jego pięknnością? Czy twoje uczucie dla niej jest tak małe, marne, tak egoistyczne, że odmawiasz jej największego szczęścia, tylko dlatego, że to nie ty do tego szczęścia możesz ją doprowadzić? Jesteś starzejącym się człowiekiem, ona jest samą młodością. Ileż warte będzie twoje życie, jeśli miałyby zazdrośnie stać na jej drodze? — pytał samego siebie.

Wstał, i delikatnie zdjął jej obejmujące go ręce.

— Mimo to zrobiłaś mi wielką radość tą pieśnią. Śpiewałaś przepięknie, jasnowłosa dziecinko — i za to będziesz miała jeszcze jedną niespodziankę, szczególną niespodziankę.

Patrzała na niego pytająco swymi oczami wielkimi jak gwiazdy.

— Jeszcze jedną niespodziankę? Udawał wesołość.

— Tak, nasz słowiczku. Trzeba byś wyfrunęła z Lahori, byś nie myślała, że jesteś tu przykuta łańcuchami.

Roześmiała się radośnie.

Och, takie łańcuchy to sobie chwale... Całe życie mogę być tak przykuta.

Wziął ją za rękę.

— A nie jesteś ciekawa, dokąd masz pofrunąć?

— Do Palembang, wujku Janie. Zaprzeczył ruchem głowy.

— To nie byłoby nic nadzwyczajnego. Nie, dalej jeszcze niż do Padang. Tam w Europie znajdziesz rozrywki i urozmaicenie, będziesz tańczyła, chodziła na koncerty, do teatru, będą cię adorowali, starali się o twe względy, mała juffrouw.

Roześmiała się zalotnie.

— A któż to ma mnie adorować?

— Młodzi panowie.

— Ależ oni są mi zupełnie obojętni!

— Cóż, to się dopiero okaże. Musisz zacząć bywać w towarzystwie, byś mi nie wpadła w smętny nastrój.

Rzuciła mu się na szyję.

— Wujku Janie, tam gdzie ty jesteś i wuj Georg, nigdy nie będę w smutnym nastroju.

— Tak, ale tutaj nie ma dżentelmenów, którzy potrafiliby adorować młode damy.

Popatrzała na niego filuternie.

— Och, w Padang z pewnością nie ma bardziej interesujących i wytwornych dżentelmenów niż wy obaj. Ale mimo to pojedę tam chętnie, ale z wami!

— A więc bez nas obu nie chcesz jechać do Padang?

— Ani do Padang, ani gdziekolwiek indziej. Zawsze chcę być razem z wami, zawsze.

Jan van Kossum poczuł ulgę. Z uśmiechem spojrział na Georga.

— Zatem, drogi przyjacielu, jedziemy jutro do Padang i wprowadzimy nasze dziecko w świat.

Martina klaskała w dłonie.

— Och, jakże ja się cieszę! Aż mi się gorąco zrobiło z tej radości. Przepraszam was na chwilkę, jest mi nieznośnie gorąco, muszę ubrać coś lżejszego.

Poszła do siebie i, jak już nieraz w tych upalnych dniach, zdjęła europejską suknię i założyła sarong. Obaj patrzyli za nią.

— W sposobie bycia jest jeszcze dzieckiem, ale z wyglądu to już młoda kobieta — powiedział Jan.

Georg zdziwił się.

— Tak sądzisz? Ja tego nie zauważyłem.

— Ale ja tak. I dlatego musimy od czasu do czasu bywać z nią w jakimś towarzystwie. Musi stykać się z ludźmi.

Georg zaprzeczył.

— Ma dopiero osiemnaście lat, Janie, i jest tu szczęśliwa i zadowolona. Dajmy jej cieszyć się spokojem, który tutaj niechże ma możliwie najdłużej. Wszystko inne nastąpi i tak wcześniej czy później.

— Uważasz, że nie zawinimy wobec niej, trzymając ją tak egoistycznie w tej naszej samotni?

Georg roześmiał się.

— Na pewno nie. Mamy jeszcze całe lata czasu, nim będziemy musieli zaprzętać sobie tym głowę. Szczerze mówiąc, Janie, moim życzeniem jest, by zbyt rychło nie nadarzył się mężczyzna, który by ją nam zabrał. Musiałby zresztą poddać się dokładnym „ogłędzinom”. Na razie możemy jeszcze spokojnie pojechać z nią do Padang. Martina to jeszcze dziecko. Ale wierz mi, im dłużej zachowa pokój serca, tym lepiej dla niej. — Georg nie przypuszczał, jak bardzo jego słowa uszczęśliwiły Jana.

Obaj wyszli na werandę i paląc cygara przechadzali się w zamyśleniu. Gdy wrócili do pokoju, zastali Martinę ubraną w sarong i kabaję, w wygodnej pozie na bujanym fotelu. Jej stopy tkwiły w słomianych pantofelkach, a złotą nicią przetykane jedwabne sarong kryło jej smu-

kłą postać. Ramiona osłaniała luźno narzucona kabaja. Długie jasne warkocze sięgały bioder. Z uwagą patrzyła na wujków.

Tak, te oczy pełne były spokoju i radości, trudno byłoby dopatrzeć się w ich wyrazie świadomej kokieterii.

— Jest mi tak dobrze, że na niczym mi nie zależy, najchętniej chodziłabym całymi dniami tylko w sarongu i kabaji — powiedziała.

— To dlaczego tak nie chodzisz, Martino? — spytał wuj Jan, patrząc na nią z zachwytem.

— Co to, to nie! Przecież chcieliście, abym wam przypominała choć trochę strony ojczy-
ste, i dlatego noszę europejskie suknie. Tylko od czasu do czasu zakładam sarong — ten cu-
downie lekki strój — gdy już nie mogę wytrzymać upału.

— I dobrze robisz, Martino. A więc jutro rano w drogę do Padang!

— Pojedziemy koleją? — zapytała.

— Oczywiście, tak będzie najszybciej.

— A jak długo tam zostaniemy?

— Jak długo będziesz chciała.

Śmiała się radośnie. — Ależ jesteś lekkomyślny w twych obietnicach, wujku Janie. A je-
śli zechcę zostać tam cały rok?

Popatrzył na nią z zakłopotaniem, wreszcie powiedział:

— W takim razie musiałabyś zostać tam sama, na tak długi czas nie możemy, wuj Georg
i ja, oderwać się od interesów.

— To był tylko żart, wiesz przecież dobrze, że jestem rozsądna i nie oderwałabym moich
drogich wujków na tak długo od ważnych spraw, jak również nie pozwoliłabym im beze mnie
wracać do Lahori. A czy zamieszkamy jak przed dwoma laty w tym pięknym hotelu, w „Oran-
je”?

— Oczywiście, możemy tam się zatrzymać, jeśli tylko chcesz.

Wszystko ma być wedle twoich *życzeń*, przecież to jeszcze jeden prezent urodzinowy.

Przytuliła się do jego ręki.

— Dobry wujku Janie, rozpieszczasz mnie, jakbym była królową Sumatry.

— Królową może nie, ale jesteś na pewno księżniczką z Lahori — przekomarzał się z
nią, przesuwając w dłoniach jej złote warkocze.

Roześmiana wzięła do ręki wachlarz palmowy i idąc wyprostowana dostojnym krokiem przez pokój, powiedziała żartobliwie:

— Jej Wysokość, księżniczka Lahori, przechadza się po swym królestwie.

Czy Jej Wysokość nie raczyłaby udać się na spoczynek? Jutro rano wcześniej wstajemy — roześmiał się wuj Georg. Nie zmieszana, podała mu usta do pocałunku.

— Dobranoc, wujku Georgu. I jeszcze jeden całus za wszystkie te wspianiałe prezenty. — I bez wahania przeszła także do wuja Jana, pocałowała go i wyszła z pokoju. Nie przypuszczała, co czuł wuj Jan odprowadzając ją wzrokiem.

On sam też nie bardzo wiedział, jaką miłością ją kochał.

IX

Martina weszła do pokoju, gdzie czekała na nią pokojówka, która pomogła jej przy rozbieraniu. Młoda pani nie wzbraniała się jak dawniej; przywykła do tego tak, jak do całego swego odmienionego życia. Położyła się szybko i odesłała Jamę. Nie zasnęła jednak; chciała poczytać trochę dziennik matki.

W miarę jak czytała, odżywały w niej wszystkie wspomnienia z dzieciństwa. Raz jeszcze przeżywała z matką wszystkie cierpienia, a jej młode serce przepełnione było współczuciem. Odżyło także wspomnienie o Gerdzie Volmarze. Widziała jego smukłą postać, młodą, radosną twarz, słyszała chłopięcy śmiech. Jakiż on był dobry, rycerski dla jej matki! Jak potrafił nawiązywać ciotkom, jeśli był świadkiem złości wobec niej.

— Dręczycie ciocię Marię, dlatego was nie kocham. Nie dręczcie cioci Marii, ona jest dobra, a wy jesteście źli — powiedział im któregoś dnia.

Matka Martiny opisała wiele miłych i dobrych cech Gerda w swoim dzienniku. Jego postać ożyła w pamięci dziewczyny tak, że nagle poczuła wielką tęsknotę za nim.

— Dobry, kochany Gerdzie, gdybym tylko wiedziała, czy żyjesz, czy dobrze ci się wszystko układa. Jesteś tak daleko! Tęsknię za tobą, kochany Gerdzie, za tobą i za grobem mamy. — Nieoczekiwanie zaczęła płakać, zaraz jednak opanowała się. Jakżeż mogła przyjść jej do głowy taka myśl? Jakżeż mogła zamarzyć o opuszczeniu Lahori, gdzie żyło jej się tak dobrze, gdzie wszyscy byli dla niej tak serdeczni! Najbardziej wuj Georg — ale jeszcze bardziej, najbardziej wuj Jan. Wyczuwała instynktownie, że dla wujka Jana znaczyła jeszcze wię-

cej aniżeli wuj Georg, jego najbliższy przyjaciel. Gdyby wuj Jan wiedział, jak bardzo tęskniła za Gerdem, pomyślałby, że jest niewdzięczna.

Energicznym ruchem otarła łzy i uniosła głowę.

— Nigdy, nigdy nie opuszczę swoich opiekunów. A gdy skończy się ta okropna wojna, pojedę z wujkiem Janem i wujkiem Georgiem do Niemiec i będę mogła odwiedzić grób mamy. I być może spotkam się znów z Gerdem. O, na pewno spotkam się z nim, czuję to — pocieszała się.

Wreszcie schowała dziennik pod poduszkę. Jak na ten dzień było dość czytania, musiała się wyspać przed podróżą. Odwróciła się na bok, zgasiła światło i usnęła.

Śniło jej się, że Gerd Volmar wyłania się z chmur i kroczy po niezwykłym błękitnym moście wprost ku niej. Gdy był już całkiem blisko, okazało się, że ów dziwny most jest błękitną, jedwabną wstążką. Chciała ją uchwycić, ale poczuła, że Gerd bierze ją w ramiona i całuje. „Teraz jesteś wreszcie moją żoną”, powiedział, a potem pograżyli się w błękitnym bezmiarze chmur i nie czuła niczego więcej, prócz wielkiej szczęśliwości. Miała jeszcze tylko tę świadomość, że musi szukać błękitnej wstążki. Nim ją znalazła, zbudzono ją, a Jama stała przy jej łóżku:

— Pani musi wstać, mijnheer van Kossum przysłała mnie po ciebie.

Martina poderwała się i patrzyła ze zdziwieniem. Oprzytomniała widząc roześmianą twarz pokojówki.

— Ach, Jamo, jaki miałam dziś głupi sen! Szybko, szybko daj mi ubranie. — Wykąpała się i ubrała pośpiesznie.

Obaj panowie czekali już na nią, gotowi do podróży. Wyruszyli też zaraz wozem na dworzec kolejowy.

Pociąg wspinał się pod górę. Martina siedziała razem z wujkami w odkrytym wagonie i podziwiała bajeczną panoramę górską. Widziała szczyt góry Singalang wynurzający się z chmur i spoglądała na doliny z ich bogactwem tropikalnej flory.

Widziała to wszystko przed dwoma laty. Wówczas odbywała tę podróż po raz pierwszy, ale dziś rozkoszowała się tym pięknem bardziej, z większym rozumieniem i wewnętrznym spokojem.

Tu, wysoko w górach powietrze było znacznie świeższe i czystsze niż w Lahori, wdychała je więc, oddychając głęboko.

Podróż trwała cały dzień, gdy dotarli do Padang, stolicy zachodniej Sumatry, udali się do hotelu „Oranje”. Był to uroczy, obszerny obiekt, stojący pod palmami, otoczony werandami z białą, drewnianą balustradą. Pięknie utrzymany park otaczał budynek główny i pomniejsze parterowe budowle, a całość okalał płaski, niski mur, który służył jednak raczej jako ozdoba niż ochrona.

Martina i jej towarzysze udali się najpierw do swych łazienek, a po przebraniu zasiedli do kolacji w sali jadalnianej hotelu.

Było tam liczne grono Europejczyków, w tym kilka ładnych Holenderek, a także bogatsi Malajczycy. Martina w towarzystwie swych opiekunów wzbudziła ogólne zainteresowanie. Nie można było nie zauważyć dwóch przystojnych i eleganckich dżentelmenów i złotowłosej piękności. Kilku Holendrów znało się z Janem van Kossum i Georgiem Feldnerem, poprosili więc, by przedstawić ich Martinie. Sami zapoznali z kolei przybyszy z Lahori ze swoim towarzystwem. Już pierwszego wieczoru różni młodzi panowie poczęli adorować Martinę.

Jan van Kossum obserwował dziewczynę z tajnym zdenerwowaniem. Ona jednak nie dawała mu żadnych powodów do niepokoju. Zachowywała się swobodnie i nie brała poważnie tych umizgów. Widoczne było, że w głębi duszy nieco ją to śmieszy, chociaż i bawi. Później, gdy byli sami, spytała figlarnie:

— Wujku Janie, czyżby ci panowie mnie adorowali?

— Bardzo, bardzo adorowali — odparł z uśmiechem.

— Było zabawnie, choć straszne głupstwa wygadywali. Czy z tymi panami można porozmawiać o czymś sensownym? To byłoby o wiele miłsze.

Odetchnął głęboko.

— Cóż, spróbuj. Ale — jak mi się zdaje — nie powinnaś wówczas patrzeć im w oczy.

— Dlaczego nie? — spytała niewinnie.

— Bo... wówczas straciliby koncept. Z całą pewnością.

Następnego ranka wybrali się wszyscy troje na przejażdżkę po mieście. Pojechali w dół do portu, potem kawałek wzdłuż brzegu zatoki, wreszcie przez dzielnicę europejską, gdzie było mnóstwo przepięknych willi z jeszcze piękniejszymi ogrodami. Objazd zakończyła przejażdżka po dzielnicy chińskiej, już nie tak eleganckiej, ale za to bardziej malowniczej i tętniącej życiem.

Zwiedzanie zmęczyło Martinę tak, że wrócili do hotelu. Czekał tam na nich lekki obiad, na który, jak zazwyczaj, składały się potrawy z ryżu. Główny posiłek podawano wieczorem. Prosto z jadalni udali się na sjęstę na werandę przed pokojem Martiny.

Jan van Kossum miał na ten wieczór zaproszenie od pewnej holenderskiej rodziny dla siebie i towarzyszących mu osób. Zastali tam licznie zgromadzone towarzystwo. Pani domu, mevrouw Gould, polubiła Martinę i nalegała na Jana van Kossum, by zezwolił zostać dziewczynie kilka tygodni w Padang. Gospodyni zapewniała, że w jej domu Martina będzie mile widzianym gościem. Jan był zaskoczony.

— W tej sprawie będzie pani musiała zwrócić się do mojego przyjaciela Feldnera, o tym on decyduje — odparł.

Pani Gould zwróciła się z tą samą prośbą do Georga, a Jan patrzył z niepokojem, gdy Georg przywołał Martinę.

— Chciałabyś pozostać u mevrouw Gould w gościnie, gdy my, wuj Jan i ja, odjedziemy? Pani zaprasza cię serdecznie.

Martina zarumieniła się. Odruchowo podeszła do Jana van Kossum i ujęła go za rękę a patrząc na wujka Georga powiedziała pośpiesznie:

— Jeśli wujowie odjeżdżają, to i ja nie mogę tu zostać. Nie zostawiajcie mnie tu samej.

Jan van Kossum ścisnął mocno jej rękę.

— Jeśli nie chcesz tego, Martino, to oczywiście nie zostawimy cię tu samej.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

— Jakże mogłabym tego chcieć, wujku Janie?

— A więc, dostałam od pani kosza, juffrouw Dornberg? — spytała z wyrzutem mevrouw Gould.

Martina chwyciła ją za rękę.

— Proszę, bardzo proszę, niech się pani nie gniewa, wuj Jan i wuj Georg potrzebują mnie tak bardzo. Nie mogę ich opuszczać. W pani domu jest naprawdę bardzo uroczo, mevrouw Gould, ale ja nie mogę pozostać tu bez nich. Nie gniewa się pani na mnie, prawda? Mówiąc to, Martina trzymała cały czas rękę wujka Jana, jakby obawiała się, że mógłby zostawić ją samą.

Pani domu pogłaskała ją po włosach.

— Nie, nie gniewam się. Jakże można się gniewać na panią? Ale mam nadzieję, że odwiedzi nas pani wkrótce z mijnheer van Kossum i pani wujkiem Georgiem. Odczuwamy tu wielki brak młodych dam — w dodatku tak uroczych, jak pani.

Martinę oblał rumieniec.

Jest pani bardzo łaskawa, mevrouw Gould. Bardzo chętnie przyjadę kiedyś znów, jeśli będzie taka możliwość. W Padang jest naprawdę wspaniale. Ale najpiękniej jest w Lahori, na całym świecie nie ma tak pięknego miejsca. Prawda, wujku Janie?"

Z przyjemnością słuchał tego, co mówiła. Trzymał mocno małą, drobną rękę i z uśmiechem wtrącił:

Powinna się pani o tym kiedyś przekonać, mevrouw Gould. Zechce pani kiedyś wyświadczyć mi ten zaszczyt i spędzić jakiś czas w Lahori.

— Tak, być może skorzystam kiedyś z zaproszenia, będzie pan musiał wówczas dotrzymać słowa. Słyszałam już wiele zachwytów na temat pańskiej posiadłości.

— Proszę przyjechać, rad będę gościć panią.

Wieczór w domu Gouldów upłynął bardzo przyjemnie. Pod koniec były nawet tańce. Martina musiała wziąć w nich udział, aczkolwiek twierdziła, że nie umie tańczyć. Wbrew obawom udawało jej się to doskonale.

— Kobiety mają taniec we krwi. Patrz, Janie, jak nasze dziecko fruwa, jakby się tego uczyło — komentował wuj Georg.

Jan śledził Martinę rozmarzonym wzrokiem. Jest stworzona do muzyki! Lubisz tańczyć, Martino, prawda? Sprawia ci to dużą przyjemność? — spytał z uśmiechem, gdy wróciła do nich.

Przytaknęła radośnie.

— Tak, tak, tylko że trzeba dopasować się do partnera, a ja wolałabym tańczyć sama.

Czuł, jak mu kamień z serca spada.

— Całkiem sama? Przytaknęła.

— A próbowałaś już?

— Oczywiście, bardzo często, gdy jestem sama. A dawniej, gdy byłam jeszcze dzieckiem, tańczyłam zawsze sama na łące w Rainau. Gerd pogwizdywał przy tym jakąś melodię... to było wspaniale, bo tak się kręcić, jak dyryguje nieznany mężczyzna, to przecież nie jest żaden taniec.

Właściwie masz rację. W takim razie nie będzie ci brakowało tańca nawet w Lahori? Roześmiała się.

— Na pewno nie. Jeśli mam ochotę potańczyć, nie potrzebuję do tego nikogo. Brakuje mi tylko muzyki.

— Będiesz ją miała! Kiedykolwiek zechcesz, będę ci przygrywał do tańca i z wujem Georgiem podziwiał.

Zaklaskała w dłonie. — Już się na to cieszę, wujku! Taniec bez muzyki to połowa przyjemności.

Tego wieczoru wrócili dość późno do hotelu i dlatego następnego dnia niewiele zwiedzali. Ale w dzień później urządzili wycieczkę nad brzeg morza, gdzie strome zbocze góry łączyło się z wodą. Była to skała magmowa, na której szczycie znajdowała się latarnia morska. Z tej skały roztaczał się piękny widok na morze i miasto, więc Martina była prawdziwie zachwycona i w świetnym nastroju.

Następnego wieczoru poszli do miejscowego klubu, położonego w samym środku pięknego ogrodu. Odbywał się tam właśnie koncert, na którym zgromadziło się całe europejskie towarzystwo z Padang. Obecność nowej, nieznanej tu, urodziwej panny budziła powszechne zainteresowanie. Mevrouw Gould wzięła Martinę pod swą osobistą opiekę i zaznajamiała ją z wieloma obecnymi osobami. Przedstawiła jej także pewnego młodego, holenderskiego kapita-
na, przybyłego niedawno z Holandii. Od niego dowiedziała się wielu szczegółów sytuacji w Niemczech. Kapitan ów miał przy sobie niemieckie gazety i utrzymywał, że koniec wojny jest bliski. Potwierdziło to także kilka innych, zorientowanych w sytuacji, osobistości.

Martina słuchała z wielką ciekawością wieści z kraju. Nie przestawała wypytywać kapita-
na. Potem nagle zamilkła i posmutniała.

Wuj Georg był również w ponurym nastroju.

Dowiedział się wielu rzeczy, które zasmuciły go głęboko.

Opuszczali spotkanie milczący i zafrasowani. Wuj Jan zauważał ich przygnębienie i próbował jakoś ich rozweselić, więc Martina spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

— Ależ, wujku Janie, pomyśl tylko, w Niemczech ludzie skazani są na głód, a to są nasi rodacy — powiedziała.

Wziął ją za rękę.

— To wszystko na pewno groźniej brzmi aniżeli jest w rzeczywistości. Nie myśl o tym, i tak nie zmienisz niczego, ciesz się tylko, że wojna wkrótce się skończy.

Odetchnęła głęboko. W jej oczach był smutek.

— Gdzie był Gerd? Co się z nim działo i co się z nim stanie? A co z dziadkami i ciotkami? Czy i oni głodują? Czy dziadek zdołał utrzymać Rainau? Czy w ogóle jeszcze żyją? Co

prawda byli niedobrzy dla niej i dla mamy, ale głodować? Nie, nie powinni głodować. — Wy-
powiedziała swoje myśli na głos.

Popatrzał wzruszony w jej bladą twarzyczkę:

— Maleńka Martino, to ty się teraz martwisz o ludzi, którzy niczym sobie na to nie za-
służyli?

Odetchnęła cała drżąca.

— Ach, wujku Janie, jednak to moi krewni i... i Gerd też do nich należy. Głaskał jej rękę.

— Racja. Gerd też do nich należy. Ale nie martw się niepotrzebnie, Martino. Wkrótce
nadejdą bliższe wiadomości. A gdy tylko wojna się skończy i zapanuje pokój, pojedziemy do
Europy i także do Niemiec. Będziemy się o niego dowiadywać i z pewnością się z nim zoba-
czysz.

Jej oczy rozpromieniły się. Przyłożyła policzek do jego ręki.

— Mój dobry wujku Janie, ty na wszystko masz jakieś pocieszenie. Ależ będę szczęśli-
wa, gdy zobaczę znów Gerda!

Wuj Jan uspokoił się, gdy oczy Martiny rozbłysły znów radośnie. Nie przychodziło mu
na myśl, że w sercu dziewczyny rozwijało się nie uświadomione przez nią samą uczucie miło-
ści do kuzyna Gerda.

Także Georg szybko otrząsnął się z przygnębienia. Cóż za sens miałoby rozmyślanie nad
nieodwracalnym losem. Wszystko i tak potoczy się swoją drogą.

W pogodnym nastroju wrócili wszyscy troje do domu. Jama i Nuri witały radośnie swą
młodą panią. Brakowało im juffrouw Martiny, a wieczorem nadaremnie czekały, by usłyszeć
jej śpiew. Muzykowano dopiero następnego dnia i przeciągnęło się to daleko w noc. Wuj Georg
siedział wygodnie w bujaku i w zamyśleniu słuchał:

— *A w moim kraju kwitnie teraz bez* — śpiewała tym razem Martina, a zaraz potem ulu-
biona pieśń Schumanna:

Słoneczny blasku, jasność twa

Przenika serce me do dna.

Na zakończenie musiała jeszcze tradycyjnie już zaśpiewać piosenkę dla wujka Georga:

Przy furtce lipa stoi

Na studnię kładzie cień

Miał łzy w oczach, jak zwykle, gdy tego słuchał. Jak w każdym zacnym sercu, tak i w jego, żyła ustawiczna tęsknota za ojczystym krajem. Najbardziej wzruszała go właśnie pieśń o lipie. Nucił po cichu melodię, a gdy skończyło się muzykowanie, myślał:

Kiedy zobaczymy znów ojczyznę i jaką ją zastaniemy? Nie powiedział tego jednak głośno, nie chciał zasmucić Martiny.

Jan siedział wciąż jeszcze rozmarzony przy fortepianie, gdy Martina składała już nuty. Bezwiednie nuciła przy tym jakąś frazę z menueta Boccheriniego. Jan nasłuchiwał przez moment, po czym położył ręce na klawiaturze i zagrał jak prawdziwy mistrz. Martina przez chwilę słuchała i zaraz z gracją ujęła rąb sukni, uniosła ją i przetańczyła w rytmie menueta przez pokój aż po werandę. Poruszała się z wdziękiem, pełna uroku. Obaj panowie wodzili za nią wzrokiem z zachwytem. Jan grał menueta kilkakrotnie, a Martina tańczyła, teraz już w oddaleniu, na werandzie rozświetlonej blaskiem księżyca. Jej jasne włosy lśniły, biel sukni podkreślała smukłą sylwetkę a drobne stopy zdawały się nie dotykać podłogi, oczy błyszczwały a usta rozchyłały się lekko w półuśmiechu... nadobny był to widok.

Kiedyś, dawno temu, jej taniec zauroczył Gerda Volmara tak, że musiał ją pocałować. Była wówczas dzieckiem, lecz wdzięk miała ten sam i tak samo, jak wówczas owego młodzieńca, teraz zachwycił dwóch dojrzałych w trudach życia mężczyzn.

Jan van Kossum oderwał wreszcie ręce od klawiatury. Martina znieruchomiała i patrzyła, jakby przebudzona ze snu. Wróciła do pokoju i uśmiechała się z zażenowaniem.

— Zdawało mi się, że jestem znów dzieckiem i tańczę na łące w Rainau. Gerd pogwizdywał zawsze tego menueta, a teraz, gdy wuj Jan grał, nie mogłam inaczej, musiałam tańczyć.

Jan i Georg nie chcieli peszyć dziewczyny pochwałami. Pierwszy z nich powiedział tylko:

— Teraz rozumiem, Martino, że wolisz tańczyć sama. Będę ci grał do tańca tak często, jak tylko będziesz chciała.

Opadła na fotel i uśmiechnęła się do niego.

— Kochany wujku, zawsze myślisz o tym, jak mi sprawić radość. Nawet się nie domyślała, jak gotów się poświęcić, by widzieć jej uśmiech.

Ale przygrywanie jej do tańca, nie było niewątpliwie żadnym poświęceniem.

Gawędzili wszyscy troje o wrażeniach z pobytu w Padang, gdy Martina nagle zapytała:

— Przypomniało mi się właśnie, że jeden z tych młodych panów twierdził, jakoby niedaleko Lahori była dżungla, w której żyją tygrysy. Czy to prawda, wujku Janie?

Wzruszył ramionami.

— W odległości kilku godzin drogi, w pobliżu wioski położonej na północny zachód od Lahori, są dżungle. Jest tam wielki, dziewiczy las. Przypominam sobie, że przed laty jakiś oficer holenderski upolował tam tygrysię. Od tego czasu nie słyszałem nic o śladach tygrysów. Jednak nie jest wykluczone, że tam są. Cóż, bylibyśmy zadowoleni, no i dumni, gdybyśmy mogli upolować choćby jednego jedyne takiego drapieżnika.

Georg przytaknął. I ja nie miałbym nic przeciw, gdybyśmy urządzili raz polowanie na tygrysa.

— A czy nie jest to zbyt niebezpieczne? — spytała Martina.

— Niebezpieczne może być również polowanie na zająca, jeśli ma się pecha. Ale teraz proponuję, abyśmy poszli spać — odparł Jan.

I tak się rozstali.

X

Po wycieczce do Padang życie w Lahori płynęło dalej ustalonym trybem. Martina była promykiem słońca w domu dla obu panów, a gdy któryś z nich wyjeżdżał do Palembang, spieszył się z powrotem, by jak najszybciej wrócić do pełnej ciepła atmosfery. Niekiedy musieli jechać obaj w interesach i wówczas Martina mogła im towarzyszyć. Zawsze zdarzało się coś ciekawego w czasie takiej podróży i Martina cieszyła się ogromnie, gdy ją zabierano ze sobą. Któregoś dnia, gdy właśnie dotarła ze swymi wujkami do Palembang, wpłynął do portu duży parowiec, z którego przekazano wiadomość, że wojna się skończyła a Niemcy stały się republiką. To wydarzenie ich cieszyło, ale i martwiło. Wuj Georg nie mógł się uspokoić. Załamała go wiadomość, że w jego ojczyźnie po przegranej wojnie panuje nędza — i w dodatku... republika. Tego nie mógł pojąć. Jan przekonywał go, że Niemcy dźwigną się nawet z największego upadku, a wszystko się z czasem ułoży pomyślnie.

Wracali do Lahori w milczeniu. Nawet Martina była poważna i zamyślona. Myślami była, podobnie jak jej wuj, w dalekiej Europie. Ale dla niej uosobieniem ojczyzny był jeden jedyny człowiek — Gerd.

Wieczorem, gdy Martina poszła spać, obaj panowie zasiedli na werandzie, by porozmawiać.

— Wkrótce będzie można spokojnie udać się w podróż przez morze. Chciałbym się tam znowu trochę rozejrzeć, a wreszcie i zmiana klimatu byłaby potrzebna. Co sądzisz, Georg, gdybym tak zabrał ze sobą Martinę? Dla niej zmiana klimatu też byłaby korzystna — zaczął Jan.

Georg zastanawiał się. Wreszcie powiedział z wahaniem:

— Byłoby chyba lepiej, gdyby Martina na razie została tutaj. Jeszcze miną miesiące, a wojenne niepokoje będą trwać, szczególnie w miastach portowych. W takich warunkach nie wskazane są podróże dla dam. A poza tym, nie zapominaj, że Martina nie jest już dzieckiem. Nie sądzę, by wypadało, abyście podróżowali sami we dwoje.

Jan podniósł na niego wzrok. Poczzerwieniał nagle.

— Jaki jest nasz stosunek, Martiny i mój? Przecież ona jest dla mnie tak, jakby własne moje dziecko.

— Tego jestem pewien, Janie. Ale pomyśl, jak układałaby się wasza podróż po Europie. Nie jesteście w żaden sposób spowinowaceni. Martina mogłaby znaleźć się w bardzo przykrej sytuacji.

Jan przesuwiał nerwowo rękę po czole.

— Prawdę mówiąc nigdy jeszcze o tym nie pomyślałem.

— Nie wątpię. Jesteśmy tak związani z Martina, że obaj uważamy ją za nasze dziecko. Ale w oczach świata jest ona moją tylko siostrzenicą. W moim towarzystwie mogłaby wybrać się w podróż, lecz sama z tobą nie. Mogłyby zdarzyć się nieprzyjemne sytuacje dla was obojga, i dlatego lepiej będzie, jeśli ze zmianą klimatu dla Martiny zaczekamy, aż ja będę mógł z nią pojechać. Na szczęście wygląda świeżo i zdrowo. Mamy tu przecież najlepsze powietrze.

Jan van Kossum nieomal zazdrościł przyjacielowi, że ten ma więcej praw do Martiny niż on sam. Ale rozsądek wziął górę. Nie wracali więc na razie do tematu podróży. Postanowili obserwować dalszy ciąg wydarzeń. Mijał miesiąc za miesiącem a z Niemiec wciąż nie nadchodziły żadne uspokajające wieści. Pogłoski o niepokojach wewnętrznych w nowej republice przytłaczały Georga Feldnera. W miarę możliwości ukrywał takie informacje przed Martina. Tak minęły dwa lata od czasu podróży do Padang, a Jan van Kossum wciąż nie mógł wybrać się z Martina i Georgiem w podróż do Holandii i Niemiec.

Któregoś poranka podczas śniadania spożywanego na werandzie Jan van Kossum wyjawiał Martinie, że w przyszłym miesiącu wreszcie wybiorą się w podróż do Europy. Martina nagle poczerwieniała, potem zbladła z podniecenia.

Przycisnęła ręce do piersi i wyszeptała

— Doprawdy, wujku Janie?

Zauważył, jak ekscytowała ją perspektywa takiej podróży.

— Tak bardzo ci na tym zależy, Martino? — spytał.

Przytaknęła i poderwała się, by zarzucić mu rękę na szyję.

— Tak, wujku Janie, nie chciałam was tylko dręczyć moją tęsknotą albo też okazać się niewdzięczną, ale od czasu jak nastał pokój, nie mogłam przestać myśleć o tym, kiedy pojedziemy do Niemiec.

Głaskał ją po głowie.

— A więc mój skowroneczek jednak tęsknił za ojczyzną?

Przytuliła się do niego z zaufaniem.

— Trochę chyba tak, wujku. Ale teraz jest już wszystko dobrze. — Podbiegła do Georga i ucałowała w oba policzki. — Słyszałeś, wujku, w przyszłym miesiącu jedziemy do Niemiec! Cieszysz się tak jak ja, powiedz?

Wuj Georg przytaknął z uśmiechem.

— Nieprawdopodobnie, Martino. Nieraz już myślałem, że to nie stanie się nigdy. Często wydawało mi się, że już nigdy nie zobaczę ojczystego kraju.

Jan patrzył na nich dziwnym wzrokiem.

— A więc oboje dręczyliście się w skrytości tęsknotą, a ja nic o tym nie wiedziałem — powiedział z wyrzutem.

Martina wzięła go za rękę.

— Dobry, kochany wujku Janie, przecież wiedzieliśmy, że nie możesz nam pomóc. Po co więc mielibyśmy zasmucać cię naszą nostalgią? Wiesz dobrze, że mówię ci o wszystkich moich życzeniach, ale jeśli wiem, że jakiegoś życzenia nie możesz spełnić, to ci go nie wyjawiam, by cię nie smucić.

Z uśmiechem, lecz badawczo patrzył jej w oczy.

— A nie ukrywasz ty przypadkiem jeszcze jakichś życzeń, które wydają ci się nieziszczalne?

Zarumieniła się i uśmiechnęła.

— Takie czy inne, ale one spełnią się właśnie przez podróż do Europy.

— No, to już, mów wszystko!

Westchnęła głęboko.

— Chciałabym się dowiedzieć o Gerdzie, czy żyje, czy zdrow, jak mu się wiedzie. I chciałabym pomodlić się na grobie mamy, przystroić go kwiatami. Na pewno nikt tego nie robił. Jeszcze chciałabym wiedzieć co u dziadków i ciotek, jak żyją.

— I to byłyby wszystkie życzenia? — spytał uśmiechając się. Roześmiała się.

— Mam jeszcze jedno, głupie, nierozumne życzenie.

— A mógłbym dowiedzieć się jakie?

— Oczywiście, tylko nie śmieć się ze mnie. Widzisz, w ogrodzie w Rainau rośnie krzak derenia. Ma dziwne, małe, podłużne, bardzo czerwone owoce, z podłużnymi pestkami, prawie takie, jak ma figa. Wydaje mi się, że te owoce nie rosną na żadnym skrawku ziemi poza Rainau. Mają smak słodkawo-kwaśny, coś pośredniego między wiśnią a porzeczką. Gerd i ja lubiliśmy te owoce bardziej niż jakiegokolwiek inne, aczkolwiek nikt inny ich nigdy nie zbierał. I teraz już wiesz — właśnie te owoce pragnę jeszcze raz jeść. Jeśli chcesz możesz się teraz ze mnie śmiać.

Obaj wujkowie pośmiali się trochę, a wuj Georg wtrącił przekornie:

— Ależ te owoce nie będą ci już smakowały. Dobrze, są z kraju twej młodości, i przyznaję, że takie owoce wydają się nam we wspomnieniach wyśmienitsze niż wszelkie inne. Moją pasją były z kolei niedojrzałe jabłka. Uwielbiałem je, bo były mi zakazane. Powinienem być za to teraz wdzięczny. Ale co to za ludzie podchodzą tu pod górę?

Wskazał na grupkę kilku Malajów, którzy podchodzili pod górę, lecz nie od strony brzegu Moesi, a z przeciwnej.

Martina i Jan odwrócili się i przyglądali mężczyznom, z których większość miała na sobie stroje malajskie. Niektórzy z nich mieli na głowie miast turbana, europejski kapelusz i spodnie, przy czym górna połowa ciała była nie osłonięta. Szło z nimi kilkoro dzieci w wieku od dziesięciu do dwunastu lat; były prawie całkiem nagie.

— To ludzie z kambong (wioski) leżącego tuż przy dżungli, znam ich przywódcę — powiedział Jan ze zdziwieniem. — Mają, jak widać, jakąś sprawę. Wysłuchajmy ich.

Ludzie byli coraz bliżej, a ich przywódca, widząc obu panów obok młodej damy, poprowadził ich wprost do nich. Przystanęli przed werandą i unieśli ręce w błagającym geście, mówiąc jeden przez drugiego w wielkim podenerwowaniu.

Jan van Kossum stanął przed nimi w całej swej okazałości i klasnął w dłonie.

— Ludzie, spokój! Jeśli będziecie nawzajem się przekrzykiwać, nie zrozumieć, czego od nas chcecie. Niech mówi wasz przywódca. Reszta ma milczeć — powiedział twardo i zdecydowanie.

Przywódca, jak się wydawało najstarszy spośród mężczyzn, skłonił się głęboko i dotknął lewą ręką czoła i piersi na znak pozdrowienia.

— Panie, w dżungli blisko naszego kambong żyje tygrys. Ostatnich nocy podchodzi aż pod kambong, wywleka nasze bydło, przeraża nas. Nikt nie ma odwagi wyjść na pola ryżowe. Nastawiliśmy sidła, ale on je omija, a my nie możemy go zabić. Przedostatniej nocy rozszarpał jednego człowieka, kiedy ten chciał dojrzeć swego bydła. Przychodzimy do ciebie, panie, jesteś odważny i silny i masz dobrą broń. Wiemy wszyscy w kambong, że ty i twój biały przyjaciel jesteście dobrymi myśliwymi. Wielu z nas pracuje na twoich polach — ratuj nas! Zabij tygrysa i wróć nam nasz pokój, będziemy cię wychwalać jako naszego wybawiciela!

Jan van Kossum i Georg Feldner słuchali z zaangażowaniem. W ich oczach widoczne było wielkie zainteresowanie. Zapalili się do tej sprawy natychmiast.

— Tej okazji nie przepuścimy, co Georg?

— Z pewnością nie, Janie.

Jan zadał przybyłym kilka pytań, by dowiedzieć się szczegółów o zwyczajach dzikiej bestii. Potem rzekł zdecydowanym głosem:

— Nie przyszlście do nas na próżno. Przyjdziemy wam z pomocą i da Bóg upolujemy zwierza. Idźcie przodem i bądźcie gotowi do pomocy. My się tymczasem przygotowujemy i jak najszybciej podążymy za wami.

Wielka wrzawa miała wyrazić wdzięczność przybyłych, którzy ze słowami podziękowań wycofali się. Jan van Kossum rozglądał się za Martiłą.

— Jak będziemy mieli szczęście, przyniesiemy ci, Martino, skórę z tygrysa.

Popatrzyła na niego z niepokojem w oczach. — Ach, wujku Janie, chętnie zrezygnowałabym ze skóry tygrysa, gdybyście tylko nie musieli wyprawiać się na to polowanie.

Obaj panowie śmiali się i żartowali z jej obaw i poszli zajrzeć do szafy, w której przechowywano broń Jana. Radowała ich wiadomość, że w dżungli jest tygrys. Ich ożywienie podziałało w końcu także i na Martiłę, która przestała się obawiać i wzięła czynny udział w przygotowaniach do polowania na tygrysa. Razem z Nuri i Jamą ładowała różne smakołyki do kosza, który potem służba ustawiała na wozie zaprzężonym w woły. Nabrała w końcu takiej odwagi, że zażądała od wujów, by zabrali ją ze sobą. Było to wynikiem ich opowieści o polowa-

niu na tygrysy jako czymś ogromnie przyjemnym, a mało ryzykownym. Wyperswadowano jej wreszcie, że takie trudy są nie dla niej.

Zostań w domu, skowroneczku, to nie jest przygoda dla młodej damy — tłumaczył Georg.

I tak, dobrze przygotowani do polowania, w towarzystwie tylko kilku sług wyruszyli obaj panowie sami.

Martina pożegnała się z nimi czule — wracajcie szybko i zdrowo do domu. Bóg z wami! — wołała jeszcze za nimi. A oni obaj pomachali jej jeszcze z uśmiechem, pewni siebie, i wyruszyli na polowanie jak na jakieś wielkie święto.

Martina odprowadzała ich wzrokiem, aż zniknęli z pola widzenia. Ale potem zrobiło jej się nagle zimno, mimo że siedziała w pełnym słońcu. Czowała się zupełnie sama i opuszczona w obcym kraju. Jama i Nuri przyszły do niej podekscytowane i ciekawe, z mnóstwem pytań. Czyżby było prawdą, że panowie wybrali się na tygrysa? Tygrysy są złe, to zaczarowani ludzie, którzy za karę muszą stale czynić zło. Opowiadały Martinie okropne historie o tygrysach, węzach i dzikich słoniach. Przesadzały w tych pełnych grozy bajkach, prześcigały się w opisywaniu okrucieństw, że wreszcie Martina pozbyła się strachu i śmiejąc się pogroziła im palcem.

— Pleciecie bzdury jedna przez drugą, w które same nie wierzycie; jak na razie nie widziałam jeszcze ani jednego węża olbrzyma, ani też dzikiego słonia. A może wcale nie ma tam, w kambong, żadnego tygrysa, może ci ludzie widzieli jakieś zjawy. Jeśli jednak istnieje, to mijnheer van Kossum i mijnheer Feldner ustrzelą go, a ja dostanę jego skórę i będę miała narzutę na otomanę. A teraz opowiadajcie o czymś innym, aby nam przyszły przyjemniejsze myśli do głowy.

Chciała sama siebie uspokoić, więc usiadła do fortepianu. Cicho grała Menueta Boccheriniego i patrzyła rozmarzona w dal.

Niedługo, już niedługo będę w ojczyźnie i wtedy znów się zobaczymy z Gerdem, myślała.

Tubylcy oczekiwali obu panów na skraju wioski, leżącej tuż przy wielkim dziewiczym lesie. Część lasu była już wykarczowana i przekształcona w ziemię orną. Wioska składała się z około dwudziestu chat; wiodła przez nią droga, przy której rosła olbrzymia palma. Obok jej pnia leżał przewrócony wóz, stare kosze i sterta śmieci. Na tym wysypisku bawiły się dzieci. Niektóre chaty składały się jedynie z plecionego z liści palmowych dachu, przymocowanego do pnia drzewa i ściany tylnej z tego samego materiału. Pod tym prymitywnym zadaszeniem to-

czyło się życie wielu rodzin. Nie marzli nocami, bo od tego chroniły ich suszone liście palmowe zmieszane ze słomą ryżową, które służyły im i za materac i za przykrycie. Rozniecany na noc ogień odstraszał dzikie zwierzęta. Teraz jednak panował lęk przed tygrysem.

Widząc nadciągający zaprzęg myśliwski, z krzykiem i wrzawą rozbiegły się dzieciaki.

Mieszkańcy kambongu otoczyli myśliwych, zaciekawieni, ale życzliwi. Przybysze natomiast zatrzymali się na razie, by trochę odpocząć i solidnie posilić się wiezionymi w koszach wiktuałami.

Jan wszczął rozmowę z mieszkańcami wioski. Cierpliwy i spokojny potrafił wywiedzieć się od nich wszystkiego, co go interesowało. Potem kazał zapędzić do dżungli młodego wołu, który miał zwabić tygrysa. Wybrał też mężczyzn, którzy mieli mu towarzyszyć i służyć jako naganiacze.

Po krótkim odpoczynku myśliwi ruszyli ponownie brzegiem wielkiego lasu. Wkrótce znaleźli młodego wołu; leżał rozszarpany.

— Musi to być duże, silne zwierzę albo też takie, któremu od dawna nie zdarzyła się taka zdobycz — orzekł Jan.

Wiedzieli, że tygrys wróci na to samo miejsce na dalszą ucztę. Musiał spłoszyć go jakiś hałas. Pośpiesznie czynili więc przygotowania. Umocowali coś w rodzaju ambony, wykonanej z palmowej plecionki pomiędzy gałęziami dwóch potężnych drzew. Naganiaczom i służbie wskazano bezpieczne miejsca, by tygrys nie mógł ich zwietrzyć, a obaj myśliwi wspięli się na ambony. Zaczęło się czatowanie. Niestety tygrys nie pojawił się już tego dnia przy zdobyczy. Wypadało spędzić tu noc.

W lesie zapanowała cisza. Obaj mężczyźni trwali bez ruchu na swych pozycjach. Liczyli na pojawienie się drapieżnika dopiero przed świtem; wyczuć ich nie mógł, bo kierunek wiatru był dla nich korzystny.

Noc zdawała się nie kończyć, ale wreszcie zaczęło świtać. Wyraźnie rysowały się już kontury drzew i krzewów. Obaj przeszukiwali wzrokiem najbliższy obszar. Wreszcie spostrzegli pręgowane cielsko wielkiego kota, bezszelestnie zbliżającego się w ich stronę. Myśliwych opuściła senność. Zastygli w oczekiwaniu. Sylwetka wspaniałego drapieżnika odbijała wyraźnie od tła dżungli. Jan miał go na muszce. Nacisnął spust. Trafił. Strzał był śmiertelny; ponieważ zwierzę wydało z siebie charakterystyczny ryk i znieruchomiało.

Przez ułamek sekundy było cicho. Jan rzucił kamieniem w powalone ciało tygrysa — nie poruszył się. Był martwy.

Zachowując ostrożność, obaj myśliwi zeszli ze swych stanowisk.

Jan trzymając fuzję gotową do strzału, podchodził do martwego drapieżnika. Nagle Georg, który stał za nim, krzyknął: — tygrysica!

Jan stęzał z przerażenia. Nie miał pojęcia, z której strony jest zagrożony. Jego przyjaciel, stojąc trochę dalej i nieco z boku, spostrzegł potężne zwierzę — niewątpliwie tygrysicę. Nie mógł jednak do niej celować, gdyż Jan stał na linii strzału. Nikt wcześniej nie miał pojęcia, że poluje tu para drapieżników, wszyscy mówili tylko o jednym tygrysie. Ani Jan, ani Georg nie byli przygotowani na pojawienie się jeszcze jednej bestii.

— Za tobą z prawej! — krzyknął Georg w największej obawie o przyjaciela i przyłożył fuzję do strzału na wypadek ostatecznej konieczności.

Jan odwrócił się i zobaczył zaledwie kilka kroków od siebie tygrysicę gotową do skoku.

Nie było czasu, by rozważnie celować, nacisnął spust. W wielkim zdenerwowaniu strzelił niecelnie. Kula prześlizgnęła się zaledwie po ciele tygrysy, a ona, tym bardziej rozjuszona skoczyła na niego, powaliła go i uderzyła swą wielką łapą wprost w pierś.

Georg zamarł z przerażenia, lecz wiedział, że życie przyjaciela może uratować jedynie zachowując zimną krew. Łeb trafionej, ale żywej jeszcze bestii leżał teraz tuż obok głowy przyjaciela. Mógł strzelić, gdyby podszedł najbliżej. Był gotów to zrobić.

— Spokojnie, Janie, spokojnie! — krzyknął ochryłym głosem i nacisnął spust, mierząc w miejsce między szyją i głową wielkiego kota. Strzał był trafny, ale nie śmiertelny. Nieoczekiwanie tygrysica zwróciła się w kierunku nowego napastnika i wykonała w jego kierunku ostatni skok. Georg z rozdartą szyją padł.

To było ostatnie wydarzenie, które Jan van Kossum, mimo bólu i mimo grożącego mu niebezpieczeństwa, odebrał świadomie. Potem popadł w omdlenie.

Zapanowała pełna grozy cisza. Towarzyszący wyprawie ludzie, stojący na wyznaczonych im pozycjach, słyszeli strzały i krzyk Georga. Pierwszy na miejsce tragedii dotarł służący van Kossuma. Zamarł w bezruchu zobaczywszy, co się stało. Jego oczom ukazały się dwa olbrzymie, powalone ciała tygrysy, ale i jego pan leżał tam cały we krwi. Jak się zdawało — bez życia. Obok leżał mijnheer Feldner, nie dający znaku życia.

Sługa krzykiem przywoływał pozostałych uczestników wyprawy. Powstał niesamowity tumult. Ludzie w przerażeniu krzyczeli, biadali, płakali.

Sytuacja była rzeczywiście straszna. Było pewne, że drapieżniki są martwe, ale wkrótce przekonano się, że martwy jest niewątpliwie jeden z białych myśliwych. Georg leżał bez życia, przywalony cielskiem zabitej tygrysicy.

Zająto się Janem van Kossum. Krew płynęła mu z rany w klatce piersiowej, ale wydawał się żywy, choć nieprzytomny.

Przyniesiono wody, obmyto mu twarz, a jeden z Malajów przyłożył na ranę zioła wstrzymujące krwawienie. Po tych zabiegach ranny na chwilę odzyskał świadomość, a nawet spróbował się unieść i rozejrzeć wokół. Wzrok jego trafił na zwłoki Georga. Ze straszliwym jękiem opadł z powrotem na ziemię.

— Nie żyje? — wyszeptał.

— Były dwa tygrysy, mijnheer. Oba są nieżywe. Ale dobry mijnheer Feldner też nie żyje i mój dobry mijnheer ciężko ranny — tłumaczył blady z przerażenia służący.

Jan zamknął oczy.

— Georg! — Więcej nie mógł powiedzieć, znowu stracił przytomność.

Kilku mężczyzn przygotowało tymczasem nosze ze sznurów i liści palmowych. Położyli na nich Jana van Kossum i nieśli go do kambongu. Drugie nosze wykonano dla Georga Feldnera, by jego ciało także przenieść do wioski. Reszta mężczyzn pozostała. Ich zadaniem było ściągnąć skóry z tygrysów i zabrać je ze sobą. Zaraz po przybyciu do wioski rany Jana opatrzył stary Malajczyk, który leczył chorych. Skropił ranę Jana jakimś tajemniczym wyciągiem z ziół i natychmiast zahamował dalsze krwawienie.

W czasie tych zabiegów ranny odzyskał przytomność. Jego silna, krzepka natura pozwoliła mu przemóc na krótki chociaż czas ból i słabość. Natychmiast pomyślał o Martinie. Przywołał sługę.

— Jedź do domu! Przygotuj juffrouw Martinę, ale bardzo ostrożnie.

Miał wrażenie, że jego życie wisi na włosku, a nie chciał umierać, nie zobaczywszy Marty raz jeszcze, więc zwracając się do lekarza, zażądał:

— Zanieście mnie do domu, szybko, najszybciej jak tylko można.

W tej pełnej cierpienia godzinie, kiedy większy ból sprawiała mu utrata przyjaciela aniżeli jego własny stan, kiedy wszystkie uczucia mieszały się ze sobą, doznał jakby olśnienia — tak, przecież kocha Martinę nie jak ojciec córkę, kocha ją tak, jak kiedyś kochał jej matkę, miłością pełną wielkiej czułości, miłością dojrzałego mężczyzny, dla którego rozkoszą jest strzec i opiekować się ukochaną kobietą. Leżał obezwładniony potwornym bólem, lecz myśl jego po-

śpiesznie i niespokojnie biegła dalej. Co będzie z Martiną, jeśli teraz umrze? Po Georgu został niewielki kapitał. To przypadłoby oczywiście Martinie jako spadkobierczyni, ale nie wystarczy, by uchronić ją przed biedą.

Cóż stanie się z jego jasnowłosą dziewczynką, cudowną, małą Martiną? Sama i opuszczona pozostałaby w tym obcym kraju. A jego kuzyni i kuzynki, małoduszni i pożądlivi ludzie, rzuciliby się na spadek po nim, nie pozostawiając dla Martiny nic, nic a nic. Nie, nie wolno mu umrzeć, nie wolno, nim zabezpieczy jej przyszłość. Nie umrzeć! Tylko teraz nie umrzeć!

Wyrzucał sobie, że wcześniej nie sporządził testamentu na korzyść Martiny — dobrze przemyślanego, obwarowanego odpowiednią klauzulą; testamentu, który byłby nie do podważenia. Spieszno mu było do domu. Niecierpliwił się. Miał wrażenie, że uspokoi się dopiero, gdy zobaczy znów Martinę.

Spełniono jego życzenie, wyruszono w drogę. Niesiono go ostrożnie i troskliwie.

Po drodze tracił kilkakrotnie przytomność, mimo ziół, którymi poił go malajski lekarz. Na końcu niesiono ciało martwego Georga. Pochód zamykało kilku Malajczyków dźwigających skóry zdjęte z tygrysów. Droga prowadziła przez pola ryżowe i plantacje kawy stale pod górę do stojącego w pełnym słońcu domu Jana van Kossum.

Wierny sługa pobiegł był przodem. Miał uprzedzić młodą panią o wydarzeniu.

XI

Martina wypoczywała w leżaku na zacienionej werandzie. Przed nią stała filiżanka z kawą. Właśnie napiła się trochę aromatycznego napoju i schrupała kilka ryżowych ciasteczek.

Przeglądała przyniesione dopiero co przez służbę gazety.

Ze smutkiem przeczytała artykuł wstępny. Była tam mowa o upadku Niemiec, konfliktach partyjnych i niepokojach społecznych. Było jej ciężko na sercu, tęskniła za wujem Janem i wujem Georgiem, bo chciała o tym wszystkim z nimi pomówić. Od dawna już nie czuła się tak przygnębiona, właściwie nie wiedzieć dlaczego. Przez cały dzień miała wewnętrzny niepokój, także w nocy nachodziły ją lęki, bowiem nie nawykła do przebywania w wielkim domu sama z służbą. A fatalnego dnia od rana myśli jej biegły ku dwóm myśliwym. Oby nic złego im się nie przytrafiło! Oby byli już z powrotem w domu! Co chwilę ganiła samą siebie za czarne myśli i próbowała zająć się czymkolwiek. Dlatego właśnie sięgnęła po niemieckie gazety, lecz i tam były ponure wieści. Z westchnieniem opuściła gazetę, ale dla zabicia czasu przeglądała jeszcze

dział ogłoszeń. Rzuciło się jej w oczy jedno, wydrukowane tłustym drukiem słowo: „Rainau”. Zaniepokojona przeczytała całe ogłoszenie. Wynikało z niego, że posiadłość „Rainau” wystawiona została po śmierci dotychczasowego właściciela, Teodora Dornberga, na sprzedaż wskutek działań wierzycieli. U dołu ogłoszenia znajdowała się jeszcze mała informacja, która spowodowała, że Martinie krew uderzyła do głowy:

Zainteresowani proszeni są o kierowanie ofert i wszelkich zapytań do dotychczasowego zarządcy Rainau, pana Gerda Volmara, który chętnie udzieli wyczerpujących informacji.

Martina kilkakrotnie przeczytała owo ogłoszenie. Nagle odżyło wszystko, co dotychczas było uśpione w jej sercu. Gerd był w Rainau, Gerd był zatrudniony jako zarządca Rainau prawdopodobnie przez wierzycieli dziadka. Gerd żyje — dzięki Bogu — ach, dzięki Bogu. On żyje! Zatem nie służył już w wojsku. Czyżby należał do tych, którzy po wojnie stracili zatrudnienie? Widocznie z tego powodu udał się do Rainau, by pomagać dziadkowi w zarządzaniu majątkiem. A teraz, skoro dziadek umarł, Rainau ma być sprzedane, razem z grobem matki, z łąką w parku, ze wszystkim, co stanowiło jej ubogie dzieciństwo. Co stanie się potem z babcią, z obiema ciotkami, co stanie się z Gerdem?

Jej młodziutkie serce ścisnęło się z bólu. Gerd! Próbowała wyobrazić sobie, jak wygląda Gerd. Nie widziała go tak długo. Ostatnio był w Rainau na jej jedenaste urodziny, właśnie w tym samym czasie otrzymał nominację na oficera. Był odważnym, silnym młodzieńcem. Żadne drzewo nie było mu za wysokie, żaden rów za szeroki, żaden koń zbyt narowisty. Potrafił pokonać wszelkie przeciwności, a jego żywiołowa radość pomagała jej wytrwać mimo wszelkich cierpień i niedoli. Wystarczyło spojrzeć w jego stalowoniebieskie oczy, by czuć się szczęśliwą. A jak wyśmienicie znał się na wszystkich sprawach gospodarskich! Nie było niczego, o czym nie wiedziałby pierwszy, ani w lesie, ani w polu, ani w stodołach i stajniach. Często przecież mówił jej, że wolałby zostać rolnikiem aniżeli oficerem. Ale cóż, takie było życzenie jego ojca. A może wcale nie martwiło go to, że przestał być oficerem? Może z radością zabrał się do pracy, zostawszy zarządcą Rainau. Tak czy inaczej, pewne było, że Gerd nie będzie czuł się niešťęśliwy w nowym zawodzie. Przypomniała sobie, jak kiedyś powiedział do niej: — Wiesz, Martino, jako oficer nigdy nie będę na właściwym miejscu, tam ma się zawsze kogoś nad sobą i jednocześnie kogoś pod sobą. Nie odpowiada mi ani to, ani tamto. Nie chcę być zawsze w takiej zależności uwikłany. Jako rolnik jestem o wiele bardziej niezależny i mam bliski kontakt z naturą, a nad sobą tylko jednego zwierzchnika — pana Boga.

— Dlaczego więc nie poprosisz ojca, by pozwolił ci zostać rolnikiem? — zapytała wówczas.

— Byłoby to bardzo nierozsądne życzenie, a nie powinno się własnym rodzicom kazać realizować niemożliwe marzenia. Pomyśl tylko, nigdy nie będę miał dość pieniędzy, by kupić majątek ziemski. Niewielki kapitał mego ojca da w przyszłości zaledwie tyle dochodu, że będzie to mogło stanowić dodatek do mojego żołdu. Tyle, by żyć. A Rainau jest już tak zadłużone, że trudno będzie uratować je dla naszej rodziny. Prawdę mówiąc, do dziadka nie należy już ani jeden kamień, który tu się znajduje. Nie ma dla mnie zatem żadnej nadziei na utrzymanie majątku i dlatego postępuję zgodnie z życzeniem mego ojca.

Taki rozsądek wykazywał Gerd jako młody chłopak, a teraz jednak wdał się w całą tą sprawę z majątkiem ziemskim.

Ale co się z nim stanie, gdy Rainau jednak sprzedadzą? — rozmyślała Martina i była swymi myślami tak bardzo przy Gerdzie, że zapomniała o wszystkim wokół. Niecierpliwiła się tym bardziej, że czekała na powrót obu wujków, by z nimi pomówić o ogłoszeniu w gazecie. Wstała i powoli przechadzała się po werandzie wokół domu. Przystanęła i rozglądała się, czy myśliwi nie nadciągają z wyprawy. Jeszcze ich nie widać — pomyślała.

Spoglądając z wyżyny w dół, dostrzegła zbliżającego się malajskiego sługę. Wysiliła wzrok i rozpoznała najbliższego służącego wuja Jana, który uczestniczył w wyprawie. Zdumiała się. Dlaczego przybywał do domu sam? Nagły niepokój ścisnął jej serce, biegła mu naprzeciw w pełnym żarze słońca, nie pomyślawszy o kapeluszu.

— Kimloh, dlaczego wracasz sam, gdzie jest twój pan, gdzie jest mijnheer Feldner? Dlaczego nie wracają? — wołała do sługi, który biegł ku niej ciężko dysząc.

— Pani, mijnheer van Kossum przysyła mnie do ciebie. Masz się, pani, nie przerażać. Ja... ja mam ci ostrożnie powiedzieć, że on nie przybędzie o własnych siłach — powiedział zdyszany, niepewnie i z lękiem.

Patrzała na niego pobladła.

— Nie o własnych siłach? Kimloh! Co się stało? Jesteś taki przerażony. Mówże! Natknęliście się na tygrysa?

Kimloh oddychał z trudem i targał na sobie koszulę.

— Pani, były dwa tygrysy, samiec i samica. Oba zabite. Jednego ustrzelił mijnheer van Kossum z miejsca... ale tygryś... Na to mój pan nie był przygotowany i... i ona wyrządziło to całe zło. Och, moja biedna pani!

Martina chwyciła go za rękę i patrzyła z przerażeniem. Mówże! Mów, co się stało?

Sługa przestępował z nogi na nogę, trzymał się za brzuch, jakby ze strachu dostał mdłości.

— Biedna pani, musisz być gotowa na najgorsze. Kimloh ma cię ostrożnie przygotować. Mijnheer van Kossum powiedział do Kimloh: Bądź ostrożny, powiedz juffrouw Martinie delikatnie, oszczędzaj ją, jak możesz, aby się nie przerażyła za bardzo. Sam nie mógł przyjść, by ci powiedzieć, pani.

Chwyciła go za ramiona i potrząsała z całych sił, jakby postradała zmysły.

— Mów wreszcie, nie dręcz mnie dłużej! Mów bez żadnych ceregieli, co się stało!?

Kimloh nabrał odwagi.

— Pani, mijnheer van Kossum jest ciężko ranny, niosą go tutaj. Mijnheer Feldnera też niosą, ale on jest... on jest... — Ostatnie słowo nie mogło przejść mu przez usta.

Zdrętwiała czytała mu słowa z twarzy.

— Co? Co jest z mijnheer Feldnerem, Kimloh? — spytała zmartwiała. Kimloh zaczerpnął powietrza.

— Pani, biedna pani, on nie żyje.

Resztką sił wyciągnęła rękę i bez słowa upadła zemdlona. Kimloh zaczął krzyczeć, chwycił swą panią i niósł lamentując i płacząc do domu. Nadbiegła reszta służby, a Jama i Nuri pomagały ułożyć Martinę na otomanie. Kimloh opowiedział wszystkim, co się wydarzyło, i teraz cała służba domowa podniosła płacz i lament. Jama i Nuri pochyliły się nad swą panią i nacierały jej skronie wodą i trzeźwiącymi wonnościami.

Wreszcie Martina otworzyła oczy. Przesunęła wzrokiem po zgromadzonej służbie, dostrzegła załamanego Kimloha i przypomniała sobie, co się wydarzyło. Zachryplym z podniecenia głosem krzyknęła:

— Kimloh, opowiedz mi jeszcze raz wszystko! Ja... ja nie mogę tego pojąć! — załkała.

Kimloh padł przed nią na kolana. Zaczął mówić.

Martina ukryła twarz w dłoniach i zmagiła się z kolejnym omdleniem.

— Pani — zakończył swą opowieść Kimloh — zganisz mnie i mijnheer van Kossum też mnie zgani, że nie przygotowałem cię ostrożniej na te wiadomości. Ale to było bardzo trudne, a nie miałem też dużo czasu, bo chciałaś wiedzieć wszystko zaraz. Wybacz mi, pani.

Martina lekko skinęła głową.

— Wstań, Kimloh, taka wieść powaliłaby mnie z nóg, choćby nie wiem jak ostrożnie była mi przekazana. Powiedz mi, gdzie jest teraz mijnheer van Kossum... i gdzie mój wujek Georg?

— Niosą ich tutaj, pani.

Martina przyciskała ręce do skroni. Była jak sparaliżowana. Łzy, które mogłyby usunąć odrętwienie, nie przychodziły. Gardło miała ściśnięte. Walczyła ze słabością i powiadała sobie, że nie wolno jej teraz myśleć o sobie. Musi się skupić, pomyśleć, co może zrobić, by pomóc wujowi Janowi.

Przede wszystkim łoże, wygodne łoże dla rannego, a zaraz też lekarz. Tak, koniecznie trzeba posłać po lekarza.

Drżała, chwiała się na nogach, lecz pozbierała się w sobie. Przerosła samą siebie w tej ciężkiej godzinie, pokonała niemoc, bo chciała pomóc, musiała pomóc.

— Jamo, Nuri, przygotujcie posłanie dla mijnheer van Kossuma. Ty Haijoh wyruszysz niezwłocznie do Palembang i sprowadzisz lekarza. Dam ci adres. Powiadomisz również mijnheer Haverkampa, co się wydarzyło. Niech przybywa natychmiast. Obaj niech wynajmą łódź motorową, by mogli wyruszyć zaraz. Spiesz się, musisz zdążyć na parowiec, nie zapomnij, że lekarz musi być tu jak najszybciej.

Potem zwróciła się do Kimloha.

— Prowadź, chcę wyjść twemu panu naprzeciw.

Jama przyniosła swej pani kapelusz z wielkim szerokim rondem, Martina wydała jeszcze kilka poleceń, po czym wyruszyła razem z Kimlohem.

Nogi się pod nią uginały, kolana drżały, lecz starała się wszystkimi siłami przemóc słabość. Lęk o wuja Jana, który przecież jeszcze żył, któremu można było jeszcze pomóc, dodawał jej sił. Powtarzała sobie raz po raz: Musisz być silna, bardzo silna.

Już z daleka zobaczyła pochód z noszami. Kimloh chciał ją podtrzymać, jednak wyrwała mu się i podbiegła do pierwszych noszy, na których leżał wuj Jan. Tu jednak nogi odmówiły jej posłuszeństwa i upadła, ale szybko się podniosła.

Obudzony wołaniem i krzykiem służących, wyrwany nagle ze stanu półsnu Jan zobaczył Martinę leżącą na ziemi. Nakazał służbie zatrzymać się. Postawiono nosze, a Martina pochyliła się nad rannym.

Jan leżał przykryty lekką tkaniną. Nad głową dwa liście palmowe tworzyły coś w rodzaju daszku chroniącego przed słońcem.

— Wuju Janie! Wuju Janie! — szeptała Martina, ściskając rękę rannego, nie mogła powiedzieć nic więcej.

Popatrzył przytomnie, a nawet z wyrazem troski i czułości. Jakżeż podobna była teraz do swej matki, kiedy spotkał ją w parku w Rainau. W jej twarzy było podobne cierpienie, w tej twarzy zawsze promieniejącej szczęściem. Pomimo słabości wyciągnął do niej drugą rękę.

— Moje biedne dziecko, jest to doprawdy smutny powrót. Że też nie mogłem ci tego zaoszczędzić. Bądź mocna i dzielna — moje kochanie — ja, ja jestem zbyt słaby, by być ci podporą — powiedział cicho.

Przyłożyła usta do jego ręki.

— Gdybyś mógł wiedzieć, co czuję — jęknęła.

Wyczerpany przymknął oczy.

— Mogę... — wyszeptał wzruszony.

Przeraziła się i zmusiła natychmiast do opanowania. Wstała i delikatnie przesunęła ręką po jego czole.

— Nie mów już dłużej. Będę dzielna. Nie myśl o niczym innym, jak o tym tylko, że musisz wyzdrowieć. Przecież nie mogę utracić także i ciebie — powiedziała cicho.

— Nie — nie możesz mnie utracić, jeszcze nie teraz — odrzekł i zaraz po tych słowach, jakby zmęczony nadmiernym wysiłkiem, zemdlął.

Martina wstała.

— Prędko do domu! — Rozkazała sługom, sama zaś podeszła do drugich noszy, na których niesiono zwłoki Georga Feldnera. Zdjęła tkaninę, którą przykryto ciało. Ukazała się blada, ale nie zraniona głowa Georga. Majestat śmierci wyostrzył rysy jego twarzy. Ranę, którą zadała tygrysica, opatrzył malajski lekarz tak, że była niewidoczna. Widok spokojnej twarzy zmarłego poruszył Martinę do głębi.

Pochyliła się nad tą pobladłą twarzą.

— Wujku Georgu, mój kochany wujku Georgu, dlaczego musiało się to stać? Czy byliśmy może zbyt szczęśliwi w naszym Lahori? — wyszeptała i pocałowała jego blade czoło.

I teraz dopiero na wspomnienie przeżytych razem dni popłynęły z jej oczu łzy, które niosły ulgę. Potok łez przeszedł w gwałtowne łkanie. Nie mogła i nie chciała się bronić przed nim. Wuj Jan wymagał natychmiastowej pomocy. Myśl o nim spowodowała, że wstała już opanowana. Nagle zobaczyła ludzi niosących tygrysie skóry na palach. Zadrżała ze zgrozy. Pobladła zwróciła się do tragarzy:

— Wasza prośba o pomoc drogo kosztowała dwóch najdroższych mi ludzi, nie mogliście przyjść im z pomocą!? — wybuchnęła w niepohamowanej rozpacz.

Ludzie patrzyli na nią bladzi i speszeni.

— Pani, byliśmy bezsilni. Nieszczęście już się stało, gdy przybiegliśmy. Jesteśmy tak samo smutni, jak ty, pani, oplakujemy naszych dobroczyńców, którzy chcieli nam pomóc. Rozkazuj, co mamy robić, stanie się wszystko, co tylko złagodzi twój ból.

Zrobiła słaby, przeczący ruch. Cóż mogli uczynić ci ubodzy, bezradni tubylcy, by ulżyć jej w bólu? Pośpieszyła, jak szybko mogła, za noszami Jana. Wujek Georg już nie żył, cała jej siła miała zatem przyczynić się do tego, by pomóc wujowi Janowi. Z największą troskliwością ułożono van Kossuma w jego sypialni. Stary Malajczyk z wioski był cały czas przy nim. Teraz założył nowy opatrunek. Martina powiedziała mu, że posłała do Palembang po holenderskiego lekarza. Kiwnął poważnie głową:

— Słusznie postąpiłaś, pani. Pozostanę przy drogim ci chorym tak długo, jak długo będzie mnie potrzebował. Gdy przybędzie biały lekarz, on zdecyduje, co trzeba robić. Do tego czasu ja będę się nim zajmował, zaufaj mi. Zrobię wszystko, by zapobiec złej gorączce — powiedział z godnością.

Martina usiadła przy łożu wujka Jana. Czekwała, pełna obaw, by otworzył znów oczy. Stało się to pod wieczór, gdy słońce już zachodziło. Oddech rannego był już mniej rzęzący i wreszcie chory przebudził się w pełnej przytomności.

Martina pochyliła się nad nim i ku swemu zdumieniu usłyszała:

— Martino, daj pióro i papier muszę coś napisać.

Kazała Kimlohowi przynieść potrzebne przedmioty. Stary Malajczyk pomógł jej unieść rannego, podczas gdy Kimloh trzymał przed nim podkładkę do pisania i przybory.

Jan van Kossum chwycił za pióro. Na jego twarzy widać było skrajne napięcie, ale pisał, tak jak mógł w tym stanie:

Ustanawiam Martine Dornberg moją jedyną spadkobierczynią

Jan van Kossum

Potem osunął się na poduszki.

— Przechowaj ten dokument, na wszelki najgorszy wypadek. Jeśli będę jeszcze żył, lepiej zadbam o twoją przyszłość. To tylko na wypadek, gdybym nic więcej już nie mógł. Czytaj!

Odczytała tych kilka słów i upadła załamana przy jego łożu.

— Nie opuszczaj mnie! Nie opuszczaj mnie, wujku Janie. Jeśli i ty masz mnie opuścić, chcę też umrzeć — wykrztusiła z płaczem.

Pokonując słabość pogłaskał ją po głowie. — Moja złota dziewczynka — szeptał czule.

Ujęła jego rękę i pocałowała, a on ponownie wskazał na arkusz papieru i powtórzył:

— Przechowaj dobrze, Martino. Przytaknęła.

— Nie zostawiaj mnie — prosiła czule.

— Niech mi Bóg pomoże, bym mógł być pewien, że jesteś całkowicie zabezpieczona — wyszeptał chory.

— Panie, nie wolno ci tak dużo mówić — upomniał Malajczyk.

Jan van Kossum posłusznie zamilkł.

Martina usiadła ponownie przy nim i trzymała jego rękę, aż zasnęła. Zapadł w niespokojny, ciężki sen.

Była to dla Martiny straszna noc. Nie opuszczała chorego. Wychodziła do przyległego pokoju tylko wówczas, gdy stary Malajczyk w asyście Kimloha poprawiał opatrunek. Szła wtedy do wuja Georga, głaskała jego bladą, martwą twarz i całowała złożone dłonie zmarłego.

Jama i Nuri ustawiły na polecenie Martiny przy katafalku, na którym spoczęło ciało Georga Feldnera, kosze kwiatów. Zwyczaj ten wydał się obu służącym dziwny, ale zrobiły, jak im ich pani kazała. Teraz, w tę gorącą tropikalną noc, kwiaty wędły i wydzielały silną woń. Martina modliła się przy katafalku i szła znów do wujka Jana.

Noc wlokła się w nieskończoność. Martina niecierpliwie oczekiwała, kiedy wreszcie przybędzie lekarz z Palembang. Wiedziała jednak, że przy największym pośpiechu Haijoha i nawet jeśli lekarz całą noc będzie płynął najszybszą motorówką, może być na miejscu w Lahori nie wcześniej, jak następnego dnia przed południem. Co za szczęście, że jest przynajmniej stary Malajczyk ze swymi cudownymi kroplami, które pozwalają rannemu na zaśnięcie.

Gdy nie spał, to drzemał, a gdy tylko otwierał oczy napotykał bladą twarz Martiny. Cierpiała z jego powodu, ale mimo to widok ten przynosił mu ukojenie.

Krótko przed południem następnego dnia przybył holenderski lekarz, doktor Swarts. Martina wybiegła mu naprzeciw, by przedstawić stan rannego.

Doktor Swarts przystąpił zaraz do oględzin i badania rannego. Asystował mu stary Malajczyk, którego zabiegi zyskały pochwałę.

— Czym bylibyśmy my, lekarze, gdyby nie takie cuda natury. Udało się zapobiec gorączce przyrannej, a co najmniej pomniejszyć jej skutki. Szkoda, że tutejsze zioła lecznicze są tak rzadkie, a nam Europejczykom nieomal niedostępne.

Malajczyk skinął z godnością.

Fakt, że ranny nie wykrwawił się z powodu tej szkaradnej rany, należało zawdzięczać jedynie Malajczykowi. Inna sprawa, że rana i teraz jeszcze wyglądała bardzo niepokojąco. Wewnętrzne obrażenia, których Jan doznał, były tak poważne, że w tym przypadku nawet sztuka medyczna Holendra była bezsilna.

Jan van Kossum pojękiwał kilkakrotnie w czasie badania, ale był przytomny, a gdy lekarz skończył, popatrzał na niego poważnie i badawczo. Znał doktora Swartsa osobiście.

— Niech mi pan powie, doktorze, czy przyjdzie mi umrzeć? Ale prawdę, doktorze, tylko prawdę. Mam ważne sprawy do uregulowania — pytał chory, a ponieważ lekarz unikał jego wzroku, potraktował to jak wyrok.

— A więc muszę umrzeć? Kiedy? Dzisiaj, jutro? Kiedy? Lekarz pocierał czoło w zakłopotaniu.

Mijnheer van Kossum — jak długo człowiek żyje, istnieje nadzieja. Niech pan jej nie traci, ale jeśli ma pan ważne sprawy do uporządkowania, niech pan to zrobi jak najszybciej. Być może ma pan jeszcze dużo czasu przed sobą, bo zioła tutejszego lekarza odsunęły bezpośrednio zagrożenie. Ma pan silny organizm, inaczej nie przeżyłby pan podróży. Jeśli zachowa pan spokój i będzie przestrzegał zaleceń, mogę panu gwarantować kilka tygodni życia. Ale pańskie płuca są uszkodzone i nie mogę przyrzec, że pana na pewno wyleczę.

Jan zamknął oczy.

— Zatem dwa tygodnie mam pewne?

— Co najmniej. Może być i więcej.

— Dziękuję panu, doktorze. Dwa tygodnie wystarczą. Teraz jest wszystko jasne. Proszę, niech pan pomoże juffrouw Dornberg pochować jej wujka. Ja... ja w tym pomóc nie mogę — dodał wzruszony.

Lekarz położył mu rękę na czole.

— Tylko się nie denerwować, taki stawiam warunek. Wszystko załatwimy jak najlepiej, to niech pana już nie trapi.

Jan opanował się i poprosił, by przywołano Martinę.

— Proszę, panie doktorze, niech mnie pan zostawi z juffrouw Martiną samego, mam jej coś do powiedzenia. Potem chciałbym mówić jeszcze raz z panem. Może mi pan podać jakiś środek, bym nie stracił przytomności przez następne pół godziny?

Lekarz pochylił się nad nim.

— Nie wolno panu jednak tak dużo mówić.

— Tyle, ile niezbędne — zapewnił chory.

— Zgoda. A tu są krople, wzmocnią pana.

— Dziękuję.

W sąsiednim pokoju czekała Martina.

— Doktorze? — W jej słowach wyczuwało się wielki lęk, a oczy patrzyły błagająco.

Wziął ją za rękę. — Spokojnie, juffrouw Dornberg! On chce z panią mówić. Niech mu pani oszczędzi jakiegokolwiek niepokoju, niech pani możliwie zgodzi się z wszystkimi jego życzeniami. Jego stan jest bardzo, bardzo poważny.

Przycisnęła obie dłonie do ust, jakby chciała stłumić krzyk, ale opanowała się w sposób, o który nie można było posądzić tak młodej osoby.

— Będę spokojna i uczynię dla niego wszystko co w mojej mocy.

— Dobrze, proszę tam wejść. Zostanę tu do jutra rana i porozmawiam z mijnheer Harerkampem, jest tu, czeka na zewnątrz, aż go zawołam, zajmiemy się pogrzebem pani wujka. Pomówimy jeszcze o tym.

— Wuj Georg chciał być pochowany na stromym zboczu skały, pod wielkimi palmami. Wiem, że było to jego życzeniem na wypadek, gdyby zmarł w tym kraju.

— I będzie tak, jak sobie tego życzył — potwierdził. Powiadomiłem już pastora, jeszcze nim wyjechałem z Palembang. Będzie tu najpóźniej po południu.

— Dziękuję panu, doktorze. W całym zdenerwowaniu zapomniałam o tym zupełnie.

— To zrozumiałe. Teraz niech pani już tam idzie — i — tylko spokój! Skinęła głową i opuściła pokój, opanowana już całkiem.

XII

Gdy Martina weszła do pokoju Jana, stary Malajczyk wycofał się. Przedtem siedział u drzwi do pokoju chorego, bo ten prosił go o to. Dziewczyna zbliżyła się do łóżka.

— Chciałeś mnie widzieć, wujku, więc jestem. Ujął jej rękę.

— Martino, lekarz powiedział, że pozostało mi niewiele czasu. Musze coś postanowić w sprawach domu i majątku.

Ukryła zapłakaną twarz w dłoniach.

— Nie zostawiaj mnie samej, wujku Janie — szeptała załamującym się głosem.

Na chwilę zaniemówił. Uniósł się z trudem na posłaniu i ciągnął dalej:

— Wysłuchaj mnie, nie mam wiele sił.

— Nie powinienesz dużo mówić, kochany wujku — prosiła z lękiem.

— Tylko najważniejsze, Martino. Spisałem moje ostatnie życzenie na papierze. Ale mam w Holandii krewnych, którzy mogliby mój testament zakwestionować. Do tego nie można dopuścić. Martino. Odzyskam spokój dopiero wtedy, gdy będę miał pewność, że twoja przyszłość jest zabezpieczona. A na to jest teraz, w tym krótkim czasie, który mi pozostał, tylko jeden sposób. Nie przeraż się, gdy ci go wyjawię. Tylko z uwagi na ciebie, musi tak się stać, tylko po to, by twoja przyszłość była pewna i nie do zakwestionowania. Martino, widzisz... ty, ty musisz zostać moją żoną, byś zgodnie z literą prawa była prawowitą spadkobierczynią. Chcesz?

Przeraziła się i patrzyła na niego wielkimi oczami. Oblał ją purpurowy rumieniec.

— Wujku Janie... twoją żoną? Przecież to niemożliwe. Ty... kochany wujku, jesteś dla mnie jak ojciec, jak kochany, bardzo kochany ojciec, ale twoją żoną? Nie, twoją żoną być nie mogę.

Przymknął oczy.

— Dziecko, chodzi tylko o sprawy formalne, które nic, ale to nic nie zmieniają w naszym stosunku. Jesteś i pozostaniesz moją ukochaną córką. Mógłbym cię adoptować, na to trzeba by jednak dużo czasu. Jeśli jednak zostaniesz wobec prawa moją żoną, można wszystko szybko załatwić i nikt nie będzie mógł mieć zastrzeżeń co do twoich praw spadkowych. Nie każ mi długo mówić, kochanie, zaufaj mi, chcę tylko twego dobra. Twój wuj Georg zginął przeze mnie. Chciał mnie ratować i sam zginął. Niechaj choć tak mu podziękuję, że zabezpieczę twoją przyszłość. A to mogę zrobić tylko, jeśli zostaniesz moją żoną. Będzie to przecież tylko formalność. Chcesz spełnić to moje życzenie?

Martina nie mogła się dłużej opierać. Lekarz nakazał przecież, by stworzyć wujkowi Janowi atmosferę spokoju, by spełnić każde jego życzenie. Czy miała się wahać? Patrzyła na niego oczami pełnymi troski.

— Mój kochany, mój dobry, w tym twoim wielkim cierpieniu troszczysz się jeszcze o mnie? A ja mam tylko jedno życzenie — nie chcę jeszcze i ciebie też stracić.

— Więc spraw, bym był znów spokojny. Nie każ mi dużo mówić. Popatrz, jako moja żona możesz zostać przy mnie aż do mojej śmierci. W przeciwnym wypadku mógłby mi cię ktoś zabrać. Nie mam przecież żadnego prawa do ciebie, a ty nie jesteś jeszcze pełnoletnia. Jak miałbym to przeżyć, gdyby nas rozdzielono?

Wzięła go za rękę i przyłożyła ją do swego policzka patrząc na chorego z pełną ufnością rzekła:

— Drogi wujku, chcę zostać z tobą i wszystko niech tak będzie, jak ty chcesz.

— Uspokoiłś mnie, dziecko. Dziękuję ci.

— To przecież ja powinnam dziękować, stale i wciąż mam za co dziękować. Tyle dobrego już dla mnie zrobiłeś. I teraz w całym tym bólu i cierpieniu też jeszcze o mnie myślisz.

— Nie zapominaj, że twój wuj, Georg poświęcił dla mnie życie.

— Ty dla niego też byś swoje poświęcił. Ale teraz już więcej nic nie mów.

— Teraz idź, Martino, poproś tu doktora.

Martina zawołała lekarza, a gdy ten wszedł, Jan van Kossum powiedział jasno i spokojnie:

— Juffrouw Dornberg jest moją narzeczoną, panie doktorze. Chcę, aby została jak najszybciej moją żoną. Proszę zaraz posłać gońca nad Moesi, do Konsulatu Holenderskiego. Niech przybędzie urzędnik. Wszystkie papiery mamy. Oboje jesteśmy tam znani.

Lekarz popatrzał na bladą twarz Martiny.

— Wszystko będzie zgodnie z pana życzeniem, mijnheer van Kossum. Pastor przybędzie jeszcze dzisiaj, by pochować mijnheer Feldnera. Jest tu także mijnheer Haverkamp, gdyby pan go potrzebował. W tej sytuacji zaślubiny mogą odbyć się nawet dzisiaj. Nie musi pan nic więcej tłumaczyć, wszystko będzie załatwione jak najlepiej. Teraz niech pan postara się usnąć. Na rozmowę z mijnheer Haverkampem nie mogę panu na razie pozwolić, musi pan najpierw wypocząć, nadwerężył pan swe siły.

Jan skinął głową z zadowoleniem. Ujął rękę Martiny, siedzącej przy nim, i zamknął oczy. Zdawało się, że śpi, ale trzymał mocno drobną dziewczęcą rękę w swojej. Chciał ją czuć, była ciepłym, pulsującym życiem, które w ten sposób zatrzymywał.

— Zostań przy mnie — powiedział jeszcze.

Nie ruszała się z miejsca, nawet wtedy, gdy zauważyła, że zasnął. Wolno mijały godziny. Ich ciężar przytłaczał Martinę. Wciąż myślała o tym, że ma zostać żoną wujka Jana. Sprawiało jej ból, że tak musi się stać, że musi zmienić się ich wzajemny stosunek. Coś było niepokojącego w tym projekcie, ale nie wiedziała co to takiego. Mimo to nie mogła się bronić przeciw temu — on musi teraz mieć spokój, to jest najważniejsze, wszystko inne to rzeczy uboczne. W końcu sama siebie zaczęła ganić. Dlaczego właściwie jest przygnębiona jego życzeniem? Przecież to tylko sprawa formalna. Nic przecież się nie zmieni. Będzie na zawsze z nim związana i nikt nie ma prawa wypędzić jej od niego.

Mimo że Martina wkroczyła w dwudziesty rok życia i że w swych poglądach była bardzo dojrzała, niejasne było dla niej właściwe znaczenie takiego kroku. Nie wahałaby się przed tym jednak nawet wtedy, gdyby miała pewność, że wuj Jan będzie żył, że wyzdrowieje. Miała do niego bezgraniczne zaufanie, a przy tym nie domyślała się, że jego uczucie do niej jest nie tylko ojcowskie. Mimo tego instynktownie broniła się przed myślą o związku małżeńskim, choćby tylko formalnym, z jej dobroczyńcą i opiekunem.

Słońce zachodziło, gdy Martina poślubiona została ciężko choremu Janowi van Kossum. Związek zawarty został według holenderskiego prawa i fakt ten był niepodważalny. Zaraz po ślubie Jan podpisał nowy, prawomocny testament, według którego cały jego majątek, po odliczeniu pewnych zapisów na rzecz oddanych mu sług i urzędników, po jego śmierci przypaść miał żonie. Jednocześnie Martina stała się spadkobierczynią swego wujka Feldnera. W ten sposób — zgodnie ze zdrowym rozsądkiem — przyszłość dziewczyny była zapewniona.

Pogrzeb doczesnych szczątków Georga Feldnera odbył się jeszcze przed ślubem. Pocho-
wano go — zgodnie z życzeniem — na stromym zboczu, pod palmami. Nie mówiono o tym z Janem van Kossum, by go dodatkowo nie niepokoić. Martina zostawiła przy łożu chorego staro-
go Malajczyka, by samej móc oddać ostatnią przysługę ukochanemu wujkowi Georgowi. Po pogrzebie chłodziła zapłakaną twarz zimną wodą i zasiadła, cicha i spokojna, przy łożu wujka Jana. Teraz, gdy została mu już poślubiona a on zapadł w głęboki sen, mogła i ona przespać się kilka godzin. Była śmiertelnie zmęczona. Jan spał całą noc, więc i Martiny nie budzono ze snu.

Następnego ranka zdawało się, jakby stan Jana uległ poprawie. Widoczne było, że uregulowanie spraw spadkowych korzystnie wpłynęło na jego samopoczucie. Z dnia na dzień następowała poprawa jego zdrowia. Rana goiła się pozornie bez żadnych komplikacji, a gorączka występowała tylko w godzinach wieczornych. Jedynie doświadczonemu oku lekarza nie mogło umknąć, że proces zdrowienia jest tylko zewnętrzny i że rozkład płuc następuje powoli, lecz niepowstrzymanie. Troskliwa opieka, jaką otaczano chorego, czyniła też swoje. Martina odchodziła od jego łóżka tylko wówczas, gdy spał. On sam nalegał stale, by i Martina miała swoje godziny odpoczynku. Jama i Nuri dbały o swoją panią, którą teraz nazywały mevrouw van Kossum.

Młoda mevrouw odwiedzała codziennie grób wujka Georga i składała na nim świeże kwiaty. Za każdym razem myśli jej biegly ku innemu grobowi, usypanemu pod rozłożystymi kasztanowcami, w parku w Rainau — ku grobowi jej matki. W takich chwilach natychmiast przypominała jej się postać Gerda Volmara, obecnego zarządcy majątku w Rainau. To zapomnienie na moment o Lahori i wujku Janie powodowało, że natychmiast wracała pełna pokory myślami do rzeczywistości. Spiesznie wracała wówczas do łóżka chorego wuja, by po przebudzeniu zastał ją przy sobie. Co prawda czuwał przy nim stale wierny Malajczyk, lecz gdy Jan budził się i nie widział przy sobie Martiny, nachodził go lęk i niepokój, a oczy jego wypatrywały jej z takim utęsknieniem, że z trudem odważała się opuścić go, choćby na krótki czas.

Poprawa stanu zdrowia pozwalała stopniowo wynosić chorego na werandę, spożywał także lekkie, posilne potrawy i słuchał, gdy mu Martina czytała na głos. Były to jego najszcześniejsze godziny. Mógł wówczas wpatrywać się w nią nie odrywając wzroku. Korzystał z każdej takiej chwili z wielką wdzięcznością, że los mu ją darowuje. A wystarczyło, by Martina spojrzała na niego od czasu do czasu swymi szarymi oczyma, aby czuł się nieomal szczęśliwy.

Dwa razy w tygodniu przybywał do Lahori mijnheer Haverkamp, z którym Jan odbywał krótkie narady. Mijnheer Haverkamp napisał też pod dyktando Jana list do mijnheer Goulda do Padang. List brzmiał:

Drogi Mijnheer Gould!

W czasie mego pobytu w Padang przed dwoma laty wspomniał Pan, iż chciałby być powiadomiony, gdybym kiedykolwiek gotów był sprzedać moje posiadłości na Sumatrze. Wówczas decyzja ta wydawała mi się bardzo odległa w czasie. Byłem wtedy zdrowym, przedsiębiorczym człowiekiem i miałem przyjaciela, który pełnił funkcję pierwszego zarządcy, a ponadto był mi najbardziej oddaną osobą. Przyjaciel ten już nie żyje. W czasie polowania ratując mnie, sam

zginął. Dzięki jego poświęceniu ja żyję. Lecz to, co ze mnie zostało, to marne szczątki. Jednak wdzięczny jestem losowi, że darował mi tyle sił, iż mogę zadysponować moim majątkiem a także spłacić dług wdzięczności. W obliczu zbliżającej się mojej śmierci uczyniłem siostrzenicę mego przyjaciela, *juffrouw Dornberg*, moją żoną. Ponieważ nie będzie ona w stanie kierować nadal moim majątkiem, a ja życzyłbym sobie, by po mojej śmierci wróciła do Europy, podjąłem decyzję o odsprzedaniu Pańskiej spółce moich posiadłości i filii handlowej wraz z całym inwentarzem. Kierownik filii, *mijnheer Haverkamp*, któremu pismo to dyktuję, przedłoży Panu spis tego, co tu posiadam. Znajdzie się tam także kwota, którą za mój majątek chciałbym uzyskać. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał Pan mnie wkrótce odwiedzić w celu dokonania transakcji.

Gdyby nie zastał mnie Pan przy życiu, wszystko dalsze wyjaśni Panu *mijnheer Haverkamp*. Życzeniem moim jest, by ten solidny pracownik pozostał nadal na swym stanowisku. Jest to zresztą jeden z podanych przeze mnie warunków. Mój dom w Lahori mógłby może służyć jako mieszkanie dyrektorowi Pańskiej spółki, który będzie zarządzać posiadłością. A może Pan sam zechce przejąć to stanowisko, co bardzo by mnie cieszyło. Mam nadzieję jeszcze Pana zobaczyć, a gdyby zechciał Pan spełnić moje życzenie, prosiłbym, by Pańska małżonka towarzyszyła Panu do Lahori. Moja młoda żona ogromnie potrzebuje przyjaciółki, która obdarzyłaby ją macierzyńskim uczuciem.

W oczekiwaniu szybkiej odpowiedzi
oddany Panu *Jan van Kossum*

Mijnheer Gould wstrząśnięty tym listem odpowiedział telegraficznie:

Przyjazd jutro wieczór. Proszę o powóz na przystań.

Z poważaniem Gould

Państwo *Gould* przybyli następnego wieczoru. *Martina* w milczeniu padła w ramiona *mevrouw Gould*.

— Moje biedne, kochane dziecko, jakżeż ciężki los dotknął panią — z czułością powiedziała starsza dama.

Martina spojrzała na nią z wyrazem bólu w oczach.

— Och, droga pani, byłam przez wiele, wiele lat bardzo szczęśliwa. A teraz to się skończyło: dwóch najdroższych mi ludzi dotknęło nieszczęście, jeden nie żyje, drugi ciężko chory, a ja i o jego życie drzę bez ustanku.

Obydwoje państwo Gould szczerze współczuli Martinie i starali się jej to okazywać. Ona zaś otrząsnęła się ze wzruszenia i powiedziała już w pełni opanowana:

— Proszę mi wybaczyć, że przyjmuję państwa wyżalaniem się. Proszę, niech państwo wejdą do domu, proszę się rozgościć. Potem poproszę pana, mijnheer Gould, do wujka Jana, byście panowie mogli pomówić o interesach, my tymczasem z panią napijemy się herbaty.

I tak też było. Podczas gdy Jan van Kossum omawiał z mijnheer Gouldem warunki sprzedaży majątku i ostatecznie podpisał akt prawny, Martina mogła szczerze wyżalić się przed mevrouw Gould. Po raz pierwszy odważyła się zrzucić wielki ciężar z serca. Ta starsza dama wysłuchiwała jej z całą serdecznością i zrozumieniem, co przyniosło Martinie wielką ulgę.

Późnym wieczorem, gdy goście udali się do swych pokoi na spoczynek, Martina siedziała jeszcze przy swym mężu. Nie mógł zasnąć. Bardziej niż przypuszczał, wzruszyło go to, że musiał wszystkie swe dobra — wynik pracy najlepszych lat życia — przekazać w obce ręce. Nie napomknął jednak Martinie o tym; poprosił, by mu poczytała gazetę.

Czytała mu najpierw gazety holenderskie, potem niemieckie. Przy tej okazji zauważyła znów w dziale ogłoszeń niemieckiej gazety anons o wystawieniu na sprzedaż majątku ziemskiego Rainau. Minione niespokojne, pełne cierpień dni, nie pozwoliły na to, by pomówiła z Janem na ten temat. Tego wieczoru przeczytała mu jednak treść ogłoszenia i powiedziała, że znała ją już w dniu, gdy przyniesiono go rannego do domu. Wyznała też, że bardzo martwi się o to, co teraz stanie się z babką i ciotkami, przede wszystkim jednak, co będzie z Gerdem. Jan patrzył na nią z czułością.

— Co się stanie z twoją babką i ciotkami nie obchodzi mnie. Zasłużyły sobie na ciężki los przez złe traktowanie twej matki i ciebie. Ale jak chodzi o kuzyna Gerda, to chętnie bym mu pomógł, bo był dla ciebie dobry.

Z wielką wdzięcznością przybliżyła swój policzek do jego.

— Dobry, kochany wujku, i ja bym tego chciała, gdybym tylko mogła. Ach, gdybym była bogata, wiedziałabym, co robić!

— I co byś zrobiła, Martino?

Wyprostowała się we fotelu i odgarnęła włosy z czoła.

— Och, po prostu kupiłabym Rainau. Wówczas do mnie należałoby miejsce pod kasztanami, gdzie spoczywa mama. Nikt obcy nie miałby prawa chodzić po tym miejscu. I do mnie należałaby łąka w parku, na której bawiłam się z Gerdem i tańczyłam. Gerd mógłby zostać

nadal zarządcą Rainau. Dbałby o grób mamy. Ach, wiem, on i teraz o ten grób na pewno dba, jest przecież taki dobry.

Jan wstrzymał oddech. Patrzył wielkimi oczami w jej pełną podniecenia twarzyczkę, w jej roziskrzzone oczy.

— Tak, i krzak dereniu też należałby do ciebie, ten krzak z czerwonymi owocami. A kiedyś przeniosłabyś się do majątku Rainau, tańczyłabyś na łące menueta, a Gerd gwizdałby tę melodię Boccheriniego — powiedział cicho.

Swym policzkiem dotykała jego i już nie myśląc o sobie mówiła:

— Gdy wyzdrowiejesz, wujku Janie, pojedziemy do Niemiec i do Rainau też, tam wszystko ci pokażę. Musisz wyzdrowieć, wujku, i wyzdrowiejesz! Lekarz mówi, że twoja rana już się zagoiła. Modliłam się prosząc o cud, Bóg może dokonać cudu i zachować cię dla mnie.

Oddychał z trudem — on sam wiedział najlepiej. Nie poruszył się. Tak miłe było dotknięcie jej policzka.

Błogie uczucie wypełniało jego duszę i radował się nim jakby jakąś świętością.

— Nad czym tak rozmyślasz, wujku? — spytała, gdy milczał. Głaskał jej rękę i uśmiechał się.

— Wymyśliłem coś, Martino.

— A co takiego?

Wpatrywał się w jej oczy w oczekiwaniu na wrażenie.

— Kupię Rainau dla ciebie, Martino, niech będzie to mój podarek ślubny.

Była zdumiona i uradowana zarazem.

— Ależ wujku... to... ty tego nie mówisz poważnie?

— Moje kochane dziecko, mówię całkiem poważnie. Jeśli Rainau jest jeszcze do nabycia, kupię je dla ciebie. A twój kuzyn Gerd może zostać nadal zarządcą, jeśli tylko zechce. Będzie miał wówczas zapewniony byt i nie będziesz musiała się o niego martwić. A twoja babka i ciotka mogą, jak o mnie chodzi, pozostać w Rainau nadal. Ty im nie uprzykrzysz życia, tak jak one czyniły to tobie i twojej mamie.

Martina była do głębi wzruszona.

— Wujku, dobry kochany wujku, twoja szlachetność nie ma granic — powiedziała nie panując już nad łzami.

Głaskał ją po głowie.

— Moja złotowłosa dziecino, chcę ci jedynie sprawić radość. A pomyślałem właśnie, że kiedyś, gdy mnie już nie będzie...

Zakryła mu usta drżącą ręką.

— Nie mów o tym — prosiła płacząc.

— A jednak, moje dziecko, trzeba i o tym mówić. Musimy prawdzie spojrzeć w oczy, dzielnie i odważnie. Musisz dać mi to pocieszenie, że to co nieodwracalne zniesiesz i pogodzisz się z tym godnie.

Rozszlochała się jak małe dziecko.

— Mój kochany, drogi wujku, trzeba mieć nadzieję — powiedziała z wielką czułością.

Uśmiechnął się blado. — Pomyśl tylko, jak to dobrze, że starczyło mi życia, by zabezpieczyć ci przyszłość. A gdyby i mnie, tak jak wujka Georga, nieżywego wniesiono do domu, co stałoby się z tobą? Powinniśmy być wdzięczni losowi, że mogę jeszcze wszystko uregulować i rozporządzić wszystkim. Gdy mnie już nie będzie, nie wolno ci zostać na Sumatrze. To nie jest odpowiednie miejsce dla samotnych kobiet. Chcę byś najpierw udała się do Holandii, gdzie osiedlisz się na stałe w domu moich rodziców. Znasz przecież ten dom, prawda? Kiedykolwiek tam przybędziesz, zawsze wszystko zastaniesz przygotowane. A z Amsterdamu możesz przecież jeździć do Niemiec. Jeśli uda mi się zakupić dla ciebie Rainau — zresztą zaraz jutro nadam telegram w tej sprawie — możesz lato spędzać w Rainau. A gdy w Niemczech zapanuje stabilizacja, będziesz mogła tam przenieść się na stałe. Poza tym nie martw się o majątek, który odziedziczysz po mojej śmierci — jest pod skrupulatnym zarządem Banku Holenderskiego. Polecę cię memu przyjacielowi, dyrektorowi banku Boolkmanowi, w Amsterdamie. Zawsze załatwiał moje sprawy finansowe i będzie to w przyszłości nadal robił dla ciebie. Będzie ci zawsze służył radą. Już poleciłem, by napisano do niego stosowny list.

Z wdzięcznością i czułością pocałowała jego rękę.

— Tak bardzo troszczysz się o mnie i o wszystkim myślisz. Jesteś takim dobrym człowiekiem.

Przyglądał jej się uważnie. Nie pierwszy raz w tych dniach zauważył, jak bardzo spoważniała i dojrzała, chociaż w stosunku do niego nadal była tym dawnym przymilnym dzieckiem. Cechowała ją wzruszająca troskliwość.

— Wcale nie jestem taki dobry, Martino. Kocham cię po prostu — powiedział ukrywając czułość.

Pogłaskała go po głowie. — Nieprawda, właśnie że jesteś niezwykle dobry. Jesteś najlepszym człowiekiem ze wszystkich, których znam. Przecież nie tylko dla mnie jesteś taki, dla innych też, ale dla mnie szczególnie, i dlatego nigdy nie przestanę ci być wdzięczna.

— Zatem obiecujesz postąpić po mojej śmierci tak, jak sobie tego życzę?

— Obiecuję! Wiem, że zarządziłeś wszystko dla mnie najlepiej. Ale nie zabieraj mi nadziei, wierzę, że będziesz żył!

— Kto wie, czy to byłoby dobre dla ciebie — powiedział zagadkowo.

— Czy to byłoby dobre dla mnie? Ależ, wujku Janie, czyż możesz wątpić?

Oddychał ciężko. — Wiem, że moje życie długo nie potrwa i tylko dlatego odważyłem się poślubić cię. Gdy któregoś dnia pokochasz innego mężczyznę, musisz przecież być wolna.

Przeraziła się, nieśmiało spojrzała mu w oczy. Naszło ją dziwne uczucie, nieomal uczucie lęku.

— Wujku, nie chcę nigdy, przenigdy być wolna. Ty... ty jesteś dla mnie najukochańszym człowiekiem na świecie — powiedziała szybko, jakby przed czymś uciekała. I widziała, jak rozbłysły mu oczy wyrazem szczęśliwości, jakiego nigdy u niego nie widziała.

Nagle, jak rażona piorunem, uświadomiła sobie, że Jan van Kossum nie był już tylko jej wujem, jej opiekunem i przyjacielem. Nie była już aż tak naiwna, by uciec od tej świadomości. I przeraziło ją to odkrycie. W tej samej chwili pojęła, że nigdy nie odwzajemni jego miłości w sposób, o którym on skrycie marzył. Ale, dzięki Bogu, wyznała przecież, że wuj jest jej najukochańszym człowiekiem na świecie. Czyżby to była nieprawda?

Gdy badając samą siebie postawiła sobie to pytanie, pojawił się przed nią obraz młodzieńca z ciemną czupryną. Zdawał się patrzeć na nią stalowoniebieskimi oczami w wielkim podnieceniu. I znów słyszała, jak zwykle gdy pozwalała sobie trochę pomarzyć, Gerda Volmara: „Będę ją nosił na sercu, aż zostaniesz moją żoną. Każdy rycerz musi nosić barwę swej damy serca”. I widziała, jak chowa błękitną wstążkę z jej warkocza na sercu.

Przestraszyła się, jakby ktoś przyłapał ją na niegodnym uczynku, lecz wróciła natychmiast do rzeczywistości. Nie miała teraz odwagi spojrzeć wujkowi Janowi w oczy. On jednak niczego nie zauważył, bo leżał z zamkniętymi oczami rozpamiętując słowa, które tak go uszczęśliwiły: „Nie chcę nigdy, przenigdy być wolna. Ty... ty jesteś dla mnie najukochańszym człowiekiem na świecie”. Tak — o tym wiedział — jest dla niej jeszcze najukochańszym człowiekiem — teraz jeszcze tak. I tym musiał się zadowolić. Jeśli kiedyś pojawi się w jej życiu inny, którego pokocha bardziej, on nie będzie o tym wiedział. A jeśli przeżyje? Zacisnął zęby.

Starał się unieścić pragnienia, które w nim narastały i trzymały go przy życiu. Nie, nie — precz z tymi pragnieniami! Przecież nie dla własnej korzyści poślubił Martinę, uczynił ją swoją żoną, by mieć prawo chronić ją i zabezpieczyć jej przyszłość. To, że mógł to zrobić, że wolno mu było, powinno być dla niego wystarczającym szczęściem. Spojrzał na nią uspokojony.

— A więc mogę kupić dla ciebie Rainau, Martino. Daj mi kartkę i pióro, chcę zaraz zatelegrafować do mojego bankiera w Amsterdamie. Niech kupi Rainau dla ciebie i zatrudni Gerda Volmara jako zarządcę. Jutro rano Haverkamp zabierze ten telegram do Palembang. Bankier Boolkman kupi Rainau dla mnie i mojej żony. Co prawda powiadomiłem go o moim ożenku, lecz nie będzie wiedział, co cię łączy z Rainau. I na razie nie ma potrzeby, by wiedział. W Rainau też nie powinni wiedzieć, że będziesz przyszłą właścicielką majątku. Sądzę, że sprawi ci przyjemność, gdy któregoś dnia pojawisz się przed twymi krewnymi jako pani majątku Rainau. Może nie?

Uśmiechnęła się rozmarzona.

— Ach, wujku, o wszystkim myślisz! Oczywiście, byłaby to niespodzianka, gdybym tak któregoś dnia pokazała się nie rozpoznana w Rainau, wybadala najpierw, jak się tam rzeczy mają, wreszcie powiedziała, kim jestem. Ależ minę miałby Gerd!

— On będzie zapewne uradowany, gdy cię znów zobaczy — powiedział, patrząc na nią z zachwytem.

To zdanie wyrwało ją z marzeń.

— Mam nadzieję, że będziesz wówczas przy mnie — odparła.

— Nie będę przy tobie, Martino, ale cokolwiek miałyby ci się w życiu zdarzyć, pamiętaj zawsze o tym, że powinnością twoją wobec mnie jest, byś była szczęśliwa. Dopiero gdy to się stanie, spełnisz wszystkie moje życzenia.

Patrzyła na jego bladą, lecz rozpromienioną twarz i spostrzegła ile samozaparcia było w jego słowach. Ciężko jej było, gdyż czuła, jak musiał cierpieć. Zapragnęła powiedzieć mu coś pocieszającego: — Wujku, nie ma dla mnie większego szczęścia jak być przy tobie. — Były to słowa współczucia, nie miłości. „Ojciec nasz w niebiosach, pomóż mi, bym temu najlepszemu z ludzi nigdy, nigdy nie musiała wyrządzić krzywdy” — modliła się w duchu.

Jan van Kossum zredagował telegram do Boolkmana i podał Martinie. — Daj to Kimlowi, a ten niech zaniesie to do mijnheer Haverkampa, który odpływa rannym statkiem. A teraz chciałbym spać, Martino, jestem zmęczony a i ty potrzebujesz spokoju.

XIII

Od czasu gdy Martina wraz z wujkiem Georgiem opuściła Rainau, wiele się tam zmieniło. Wojna miała na to istotny wpływ. Teodorowi Dornbergowi coraz trudniej było zdobyć pieniądze, a wierzyciele zajęliby niewątpliwie cały majątek jeszcze przed jego śmiercią, gdyby nie uznali, że nie jest to zbyt dobry czas na sprzedaż majątku ziemskiego. Co prawda nadeszły w końcu lepsze czasy. Zboża drożały, a Rainau miało żyzną glebę, która, mimo wieloletnich zaniedbań, wciąż dawała bogate plony. Tak więc trzymał się jeszcze Teodor Dornberg na swych włościach, podczas gdy wierzyciele wykalkulowali że sprzedaż majątku lepiej im się opłaci, jeśli jakiś czas jeszcze poczekają. Gdy po przegranej wojnie Niemcy stały się republiką, wielu oficerów straciło zatrudnienie, wśród nich był Gerd Volmar. Wówczas właśnie Teodor Dornberg wezwał swego wnuka do Rainau, by ten pomagał mu przy zarządzaniu gospodarstwem. W tych niekorzystnych warunkach Gerd nie mógł nawet marzyć o usamodzielnieniu się. Należało być zadowolonym, że trafia się jakieś możliwe do zaakceptowania zajęcie. By sprawnie kierować majątkiem ziemskim, musiał się jednak jeszcze dużo nauczyć.

Energicznie i nie szczędząc wysiłku zabrał się do nauki. Sprawiało mu to przyjemność. Dzięki zamięłowaniu i zapałowi robił szybkie postępy i z radosną ufnością obserwował, jak pod jego kierownictwem majątek odzyskuje dawną wydajność.

W krótkim czasie stał się dzięki pilności, solidności i zamięłowaniu tak sprawny w nowym fachu, że właściwie mógłby starać się o bardziej intratną posadę, gdyby nie umarł dziadek. Wierzyciele dziadka uprosili Gerda, by zarządzał majątkiem do czasu, aż znajdzie się nabywca.

Stosunki Gerda z krewnymi były chłodne. Kontakty z nimi ograniczał wyłącznie do spraw związanych z zarządzaniem posiadłością. Gdy jednak zmarł dziadek, a jego trzy ciotki z lękiem oczekiwały chwili, kiedy będą musiały opuścić Rainau, zrobiło mu się ich żal. Pomyślał, że zostając w Rainau do czasu sprzedaży majątku, będzie mógł jakoś zabezpieczyć ich byt.

Od chwili gdy Gerd zamieszkał na stałe w Rainau, odżyły w nim dawne wspomnienia. Często myślał o ciotce Marii, pięknej i nieszczęśliwej kobiecie, którą po cichu wielbił i podziwiał. Myślał też o małej, pełnej wdzięku Martinie, z którą bawił się w parku. Błękitną wstążkę, którą od niej dostał, znalazł przy rozpakowywaniu swych rzeczy w jednym z tomów Homera. Leżała tam równiutko wygładzona między stronicami. Spojrzał na nią z uśmiechem. Przypomniał mu się ów radosny dzień. Tak, były to czasy beztroski i szczęścia, gdy bawił się w ryce-

rza Martiny, gdy płatał figle rodzinie, bo dręczyła drogą mu ciocię Marię. Przypomnił sobie też, że tego dnia, gdy porwał błękitną wstążkę, poznał co to gwałtowna namiętność. Martina tańcząca menueta na łące wyglądała tak uroczo i wdzięcznie, że musiał ją pocałować. Potem długo nosił błękitną wstążkę na sercu. Z czasem zapomniał o niej, a także poniekąd o Martinie. Były to lata, gdy został młodym porucznikiem, czuł się całkiem dojrzały, a kuzyneczka wydała mu się dzieckiem.

Ale teraz gdy tak trzymał w ręku błękitną wstążkę, obraz tańczącej dziewczyny powrócił. Czas sprawił, że nie był to wizerunek wyrazisty. Nie mógł przypomnieć sobie jej twarzyczki, lecz doskonale pamiętał jasnozłote włosy. Głaskał wstążkę i myślał o obietnicy związanej z tamtą sceną.

Mała Martina zniknęła z jego życia jak piękny sen, jak jej kochana, piękna matka, której grób zastał całkiem opuszczony i zaniedbany. Zaraz też kazał doprowadzić go do porządku, obsadzić bluszczem, a kamień nagrobny ustawić na solidnym cokole. Pod wrytym napisem: *śp. Maria Dornberg* składał co dzień świeże kwiaty, jak długo tylko kwitły w Rainau, a zimą przynosił gałązki jodły. Błękitną wstążkę zarzucił na szpadę, która wraz z inną bronią zdobiła ścianę nad otomaną. W chwilach wolnych, gdy odpoczywał na otomanie, widział tę wstążkę i myśli jego biegły ku Martinie.

Gdzie mogła teraz być? Z pewnością wyrosła na młodą damę i przebywa gdzieś daleko ze swym wujkiem. Chyba jest jeszcze na Sumatrze. Często żałował, że zniknęła z jego życia, chociaż wtedy, gdy otrzymał od niej krótki pożegnalny list, przeżywał właśnie gorycz zawiedzionej miłości. Ból tamtej zdrady był powodem, że nic innego nie mogło go specjalnie przejąć. — Jeśli wyjedzie — powiedział sobie wówczas — to będzie jej przynajmniej lepiej aniżeli mogłoby być w Rainau.

I tak stało się, że zupełnie o niej zapomniał. Ale teraz, tutaj w Rainau każde drzewo, każdy zakątek w parku przypominał mu ją, a gdy przechodził koło krzaka derenia, i skubał jego owoce, myślał z uśmiechem o tym, jak bardzo Martina je lubiła i że razem często je wprost z krzaka zajadali.

Kłopoty bytowe i wytężona praca nie pozostawiały jednak czasu na rozmyślenia o Martinie. W rok po śmierci dziadka zmarła także babka. Obok grobu Marii były teraz już trzy inne. Spoczywała tu w otoczeniu ludzi, którzy za życia nie okazywali jej życzliwości. Zaś żyjące obie ciotki nie potrafiły darować sobie złośliwych uwag z powodu kwiatów, które Gerd składał

na grobie Marii. Rozgniewany tym, pewnego razu krzyknął: — Robię tylko to, co same zaniedbujecie, bo opuszczony grób ciotki Marii jest dowodem waszej bezduszności!

Ciotka Melania spojrzała ponuro:

— Dlaczego mamy dbać o jej grób? To ona była winna całego naszego nędznego życia i także tego, że będziemy musiały wynieść się z Rainau.

— Gdyby wuj Rupert powiedział wtedy, gdy starał się o rękę Marii Feldner, że chce się z nią ożenić wyłącznie dla pieniędzy, z pewnością by dostał kosza. Wuj Rupert powinien był postąpić uczciwie, nic więcej. On natomiast udawał, że ją kocha, a ona zaufała mu i tak wpadła sama w nędzę. Ja nie mam żadnych wątpliwości, kto tu był winien. Maria z pewnością nie! Dręczyliście istotę całkowicie niewinną! — Krzyknął oburzony Gerd.

Melania patrzyła ze złością.

— Ty i twoje rodzice zawsze staliście po stronie Marii zamiast po stronie własnej rodziny. — Odrzekła ze złością Melania.

— Staliśmy po stronie zacnej kobiety i jeśli mam powód, by z czegoś być zadowolony, to z tego, że już jako mały chłopiec odczuwałem oburzenie obserwując wasze postępowanie. Prześladowaliście nawet jej niewinne dziecko. Ale nie mówmy więcej o tym, lepiej będzie, gdy zapomnimy o tej sprawie, bowiem musimy czas jakiś jeszcze żyć obok siebie — zakończył gorzko.

— I to jest ci niewątpliwie bardzo niemiłe? — drwiła ciotka Helena, przysłuchująca się całej rozmowie.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. — Skłamałbym, gdybym powiedział, że wspólne życie z wami jest mi miłe.

— Cóż, my nie prosiłyśmy, byś przyjechał do Rainau.

— Nie, ani ty, ani ciotka Melania. W tej sprawie jesteśmy zgodni. To dziadek mnie tu wzywał, bo Rainau podupadło w czasie jego choroby. A ja przyjechałem, tak, bo chciałem się tu uczyć gospodarki. Teraz zostałem, by jak najdłużej utrzymać dla was ojcowiznę a może nawet u przyszłego właściciela uzyskać jakieś korzyści dla was. Jest mi was po prostu żal, mimo że uczucia dla was nie mam żadnego. Trzeba będzie więc jakiś czas wytrzymać jeszcze ze sobą. Gdy Rainau zostanie sprzedane, będę tu już zbędny.

— A my? Co stanie się z nami? — zaszlochała Melania.

Mimo całej złości odezwało się w nim współczucie dla tych kobiet, które za całe swoje zmarnowane życie obwinały innych. Które zatraciły poczucie różnicy między szlachetnością i podłością.

— Będę was wspomagał, bo tak nakazuje mi przyzwoitość. Może uda mi się przy sprzedaży Rainau uzyskać dla was jakiś mały kapitał.

Spojrzały po sobie nieśmiało. Nie mogły pojąć, że ktoś chce się nimi bezinteresownie zaopiekować. One myślały przecież zawsze tylko o sobie, nigdy o innych.

— Gdybyś mógł przynajmniej uzgodnić, abyśmy w Rainau miały kilka pokoi dla siebie i mogły pozostać tu do końca. Chętnie będziemy pomocne w pracach domowych, tak jak do tychczas. Inaczej nie mamy gdzie się podziać. — Odezwała się nieśmiało Helena.

Płakały teraz obie ze strachu i zmartwienia, a Gerd nie mógł na to patrzeć. Nagle całą urazę zastąpiła litość. Zawsze miał dobre serce.

— Nie ma co płakać — rzekł łagodnie — jak długo mam dwie zdrowe ręce i mogę zarabiać, gotów jestem to robić. A przy sprzedaży Rainau zadbam o wasze sprawy.

Chciały mu dziękować, lecz pośpiesznie wyszedł z pokoju.

Po tej rozmowie wyruszył konno w pole. Łamał sobie głowę, tyle było problemów a możliwości niewiele. Czasy nie sprzyjały temu, by z nadzieją patrzeć w przyszłość. Nawet jemu samemu trudno było przeżyć, miał wystarczająco dużo zmartwień z utrzymaniem siebie. Lecz jego dobre serce i szlachetny charakter nie pozwalały mu być obojętnym na nędzę ciotek.

Minęły miesiące od czasu, gdy Gerd rozmówił się z ciotkami. Któregoś dnia wrócił wyczerpany po wielogodzinnym doglądaniu prac polowych i długim siedzeniu na grzbiecie konia. Marzył o zasłużonym wypoczynku. Chciał trochę wyprostować kości, by potem móc zabrać się do rachunków, które zwykł robić wieczorami. Ale tego właśnie dnia stajenny przytrzymując mu konia przy zsiadaniu powiedział:

— Panie rządco, w domu czeka jakiś pan. Przyjechał po południu i nie chciał odjechać bez rozmowy z panem.

Gerd opanował zmęczenie i wyprostował się. Jego szczupła, opalona twarz przybrała wyraz napięcia i zaciekawienia. Zmęczonymi oczyma przyglądał się ciotce Helenie, która szła mu naprzeciw. Wyglądała na podenerwowaną i wystraszoną zarazem.

— Gerd, jest nabywca na Rainau. Chce z tobą mówić. Gerd zmarszczył czoło.

— Cóż, muszę go wysłuchać. Gdzie jest?

— Zaprowadziłam go do gabinetu ojca. Kazał już sobie pokazać stajnie i stodoły oraz cały dom. Oglądał też park i ogród. Ale trudno wyczuć, czy jest zainteresowany kupnem, czy nie. Jest nie do przeniknięcia. Poza tym, z akcentu, chyba cudzoziemiec. Czeka teraz na ciebie.

— Dobrze, dobrze, już do niego idę. — Nie przebierał się, wszedł do pokoju trzymając w ręku czapkę i szpicrutę.

W fotelu przy oknie siedział wysoki, postawny mężczyzna. Był wytwornie ubrany, wiekiem zdawał się zbliżać do pięćdziesiątki. Sprawiał wrażenie człowieka solidnego i godnego zaufania. Gdy Gerd wszedł do pokoju, wstał.

— Pan chciał ze mną rozmawiać, czy tak? Proszę wybaczyć, że musiał pan czekać. Jak pan widzi, wracam prosto z pola! — Gość skłonił się. — Proszę się nie usprawiedliwiać. Praca uzasadnia wszystko. Nazywam się Bookman, jestem dyrektorem banku i przybywam z Amsterdamu, by na zlecenie moich klientów kupić Rainau. Mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia.

Gerd także skłonił się uprzejmie.

— Jestem do pańskiej dyspozycji, panie dyrektorze. Proszę powiedzieć, czy gotów pan jest przystąpić niezwłocznie do rozmów.

— Oczywiście, po to przyjechałem, mój czas jest ograniczony i nie mogę pozostać zbyt długo. Chciałbym tę sprawę załatwić niezwłocznie — mówił bezbłędną niemczyzną dyrektor.

— Spodziewam się zatem, że jest pan zdecydowany kupić Rainau?

— Jestem przedstawicielem wyposażonym w pełnomocnictwo. Mam nadzieję, że i pan ma pełnomocnictwo na dokonanie transakcji?

— Tak, mam, o ile cena kupna będzie taka, że wystarczy na pokrycie roszczeń wierzycieli.

— Dobrze, dobrze, możemy więc przystąpić do pertraktacji. Gerd przyniósł księgi buchalteryjne i obaj usiedli.

— Ile ma kosztować Rainau? — spytał Bookman, pochylając się nad papierami.

Gerd wymienił sumę, która według jego szacunku odpowiadała aktualnej wartości Rainau.

— Roszczenia wierzycieli są o jedną piątą niższe, a gdy tu przybyłem, Rainau nie było warte nawet tyle, ile wynoszą te roszczenia. Ciężką pracą udało mi się tymczasem podnieść wartość tych dóbr, ale ich cena wzrosła także relatywnie z powodu dewaluacji marki. Chciałbym zatem zapobiec sprzedaniu Rainau poniżej wartości. Jestem wnukiem poprzedniego wła-

ściciela Rainau, po którym pozostały dwie bezradne i leciwe córki. Chciałbym im pomóc, by nie opuściły Rainau bez środków do życia, by wyszły stąd z jakimś kapitałikiem niezbędnym do egzystencji. Podatek od sprzedaży winien także ponieść kupujący. Nie mogę obciążać nim ani wierzycieli, ani moich ciotek.

Dyrektor Boolkman przysłuchiwał się Gerdowi z uwagą.

— A pan? Przecież jest pan również spadkobiercą pańskiego dziadka? Nadwyżka powinna zatem być podzielona między pana i ciotki? — zauważył.

— Mnie chodzi tylko o to, by ciotki miały jakiś grosz na czarną godzinę. Ja sobie jakoś poradzę. Niewielki kapitał, który pozostanie po spłaceniu wierzycieli, musiałby tak czy tak być podzielony na trzy części, ponieważ poza moimi ciotkami żyje jeszcze córka ich brata, która ma prawo partycypować w tej nadwyżce. Usilnie więc pana proszę o zgodę na moje warunki. Rainau jest tego warte, a pan, jako cudzoziemiec, nabywa je i tak z powodu dewaluacji marki tanio.

Ostatnie słowa zabrzmiały gorzko w ustach młodego człowieka, który w tej chwili w podwojony sposób odczuwał całą nędzę zrujnowanego wojną kraju.

— No dobrze — dyrektor Boolkman uśmiechnął się — chciałbym jednak najpierw sprawdzić, ile Rainau jest istotnie warte? Gerd skłonił się.

— Oczywiście, oto księgi do wglądu. Równie chętnie oprowadzę pana i wszystko pokażę. Może pan także zlecić oszacowanie majątku. W kolejnym roku jego wartość wzrosłaby na pewno znacznie, lecz wierzyciele nalegają na dokonanie sprzedaży, a ja temu sprzeciwić się nie mogę.

— Zdam się na moje własne zdanie. Zlecenie oszacowania przedłuży sprawę. Zatem poproszę najpierw księgi.

Gerdowi serce waliło z niepokoju. Wiedział, że będzie musiał sprzedać majątek choćby za sumę satysfakcjonującą tylko wierzycieli. Czy uda mu się uzyskać jakąś nadwyżkę na korzyść ciotek i małej Martiny, która, kto wie, czy nie żyje w biedzie?

Dyrektor Boolkman badał księgi dokładnie, zadawał różne pytania i dokonywał kalkulacji. Niewątpliwie propozycja była do przyjęcia, a mijnheer van Kossuma Rainau nie będzie kosztowało zbyt wiele.

Obaj panowie pracowali do późnego wieczoru. Gerdowi przeszło całe zmęczenie, a dyrektor Boolkman z przyjemnością zauważał, że Gerd Volmar jest solidnym i odpowiedzialnym

człowiekiem. Było to dość istotne, gdyż zlecone mu zadanie obejmowało również osobę Gerda. Gdy skończył przeglądanie ksiąg, spojrzął na zegarek i rzekł:

— Zrobiło się późno. Jak się teraz można dostać do miasta?

— Może zechciałby pan przenocować w Rainau, panie dyrektorze? Gdybyśmy jutro rano mieli wybrać się na objazd gruntów i do lasu, oszczędziłoby to panu wysiłku a także czasu.

— Tak byłoby najrozsądniej. Rozejrzałem się już trochę, pańskie ciotki pokazały mi dom, stajnie i stodoły. Jest tu też, jak widziałem, stary budynek administracyjny, zapewne jeszcze z lepszych czasów. Co prawda wydaje się dość zniszczony, ale ma całkiem dobre fundamenty i małym nakładem można by przywrócić mu dawny wygląd i funkcję.

— Niewątpliwie, panie dyrektorze, niewiele by trzeba, ale od dawna brakowało w Rainau pieniędzy na niezbędne potrzeby. Zatem — przenocuje pan tutaj?

— Tak, chętnie, jeśli nie sprawi to kłopotu?

— W żadnym wypadku! Każę natychmiast przygotować panu pokój, a tymczasem zapraszam pana na wspólną z nami kolację.

Pół godziny później siedzieli już przy stole. Gerd zdążył się przebrać i w swym ciemnym garniturze wyglądał znacznie korzystniej. Ciotki czuły się przy gościu zdeprimowane i odzywały się tylko, gdy były pytane. Panowie omówili jeszcze kilka spraw związanych z interesami i trochę dyskutowali o sytuacji politycznej.

Gdy dyrektor Boolkman udał się do swego pokoju, ciotki, wielce zaniepokojone, zaczęły rozpytywać Gerda o rezultat pertraktacji.

— Nie mogę powiedzieć jeszcze nic pewnego — odpowiedział — ale wydaje mi się, że on ma poważne zamiary. Robię wszystko, by sprzedać korzystnie Rainau, może mi się uda.

Następnego ranka Gerd z dyrektorem Boolkmanem objeżdżali całą posiadłość. Młody gospodarz kazał zaprząć do starego myśliwskiego wozu. Powoził sam, a dyrektor Boolkman, siedząc obok niego, szczegółowo wypytywał o wszystko. Gdy wrócili, obie ciotki czekały na nich z obiadem. Zaraz potem panowie udali się do gabinetu. Bankier usadowiwszy się wygodnie w fotelu zagaił:

— No cóż, jestem zdecydowany kupić Rainau dla mojego klienta i przyjmuję proponowaną przez pana cenę. Mam jednak kilka warunków, które chciałbym przedstawić.

Gerd zbladł z wrażenia. Co prawda serce waliło mu mocno, ale był zadowolony. Dzięki Bogu, bankier przyjął cenę, więc ciotki zabezpieczone.

— Słucham uważnie pańskich warunków, panie dyrektorze. Bookman wyłuszczył sprawę.

— Nabywca Rainau ma na razie trudności z objęciem swych posiadłości. Nie jest też pewne, kiedy będzie mógł tu przybyć, ponieważ obecnie poważnie choruje, a żyje wraz z żoną w kraju tropikalnym. Gdy zdrowie pozwoli mu na odbycie podróży, niezwłocznie wróci do Europy. Prawdę mówiąc, wyjawiał mi, że rokowania nie są dobre i że przypuszczalnie tylko jego żona wróci do Europy — po jego śmierci. Jest moim dobrym przyjacielem i to jest dla mnie bardzo bolesne. W każdym bądź razie nie może być mowy, by kiedykolwiek sam zarządzał majątkiem. Dlatego zależy mu bardzo na znalezieniu solidnego i zaufanego zarządcy. Mam przekonanie, że pan nim właśnie jest, panie Volmar. Znalazłem potwierdzenie tego także w księgach. Potrafił pan w krótkim czasie wiele zdziałać w Rainau. I to jest właśnie mój warunek. Uzależniam kupno od tego, czy pan pozostanie nadal zarządcą Rainau. Jestem upoważniony, by zatrudnić pana na lata, do pana należy określenie na jak długo, jednak możliwie nie na krócej niż na pięć lat. Co pan na to?

Gerd na chwilę zaniemówił. Ta propozycja spadła mu jak z nieba. Na całe lata pozwalała pozbyć się trosk o własny byt i umożliwiała pracę w rodzinnym majątku.

Głos jego zabrzmiał niepewnie, gdy w końcu odparł:

— Co ja na to, panie dyrektorze? Z chwilą gdy Rainau zostanie sprzedane, znajdę się, mówiąc łagodnie, w trudnej sytuacji. Poza tym przyłgnałem całym sercem do wszystkiego, co tu w Rainau żyje i rośnie. Propozycja pozostania tu na całe lata jest zbyt piękna, by mogła być prawdziwa. A czasy są niepewne i każdy powinien być szczęśliwy, kto znajduje jakieś godziwe zatrudnienie. Mówiłem panu już, że byłem oficerem i że po wojnie musiałem zaczynać od nowa. Jak dotąd pracowałem tu za darmo, ponieważ chciałem się czegoś nauczyć. Teraz jednak będę musiał zarabiać. Tymczasem niestety, skurczył się mój mały kapitał. Jeśli zaproponuje mi pan znośne wynagrodzenie, gotów jestem, i to chętnie, przyjąć tę posadę.

Ten młody człowiek podobał się Bookmanowi coraz bardziej. Uśmiechnął się patrząc na niego. — Niechże pan sam zaproponuje wysokość poborów. Sądzę, że się zgodzimy.

Niewiele się namyślając Gerd zażądał tyle, ile potrzebne było na utrzymanie siebie i ciotek. Bookman zgodził się natychmiast. Żądanie Gerda nie wydało mu się wygórowane. Sam uznał za zrozumiałe, że do wynagrodzenia dochodzi oczywiście nieodpłatnie mieszkanie.

— Mijnheer van Kossum — dodał również — rad będzie, że wszystko toczy się tu normalnym trybem. Dlatego też w jego imieniu proponuję, by pańskie ciotki na razie pozostały w

Rainau. To leży w interesie zarówno mego klienta, jak i pańskich ciotek. Obejrząwszy dom, uważam, że właścicielowi wraz z żoną wystarczą pokoje na pierwszym piętrze. Salon na parterze, jako że służy większym spotkaniom towarzyskim, może pozostać tymczasem zamknięty. Pan, jak widziałem, mieszka na parterze w prawym skrzydle, czy tak?

— Tak, zajmuję tam trzy pokoje.

— W porządku, może je pan nadal zajmować. A w lewym skrzydle mogą nadal pozostać pańskie ciotki, chyba że przybędzie właściciel i wyda nowe rozporządzenia. Sądzę, że mogę zapewnić mego klienta, iż owe panie mogą być tu pomocne.

Gerd uradowany wyciągnął do niego rękę.

— Dziękuję panu, panie dyrektorze. Przyznam, że między mną a moimi ciotkami nie istniał co prawda nigdy zbyt serdeczny stosunek, ale ich bezradność i sytuacja zobowiązują mnie do pomocy. Cieszę się, że mogę je przynajmniej na jakiś czas uwolnić od lęku przed niepewną przyszłością. Jestem wielce wdzięczny, że zechciał pan mi powierzyć stanowisko zarządcy.

Boolkman zachnął się.

— Ależ przecież to było życzenie mego klienta.

— W każdym bądź razie będę starał się zawsze okazać godnym zaufania, którym mnie obdarzono, na to daję panu moje słowo honoru.

— Ach, już dobrze, teraz ustalmy wszystkie formalne sprawy, bym mógł odjechać. Ustalona kwota zostanie natychmiast przekazana na pańskie konto w Deutsche Bank. Bieżące wydatki będzie pan pokrywać z dochodów. Pozostanę z panem w kontakcie listownym. Na razie rozliczać się pan będzie ze mną.

Spisano umowę obowiązującą przez dziesięć lat Wynagrodzenie zarządcy zależne było od dochodów z majątku.

— Ostatni passus łączy pański interes z interesem mego klienta — skomentował Boolkman z uśmiechem.

— To nie było potrzebne, panie dyrektorze, i tak starałbym się rozwijać posiadłość; ale, rzecz jasna, że cieszę się z możliwości partycypowania w zysku. Czy mogę wprowadzić jakieś niezbędne ulepszenia? — zapytał Gerd uradowany.

— Wszystko, co jest konieczne do utrzymania posiadłości, oczywiście tak. Co do dalszych zamierzeń, dopiero z chwilą, gdy otrzymam od mego klienta nowe, dokładne dyrektywy. Jak na razie mam jedynie zalecenia telegraficzne. Ale przyszło mi na myśl, że mój klient mógłby życzyć sobie pańską fotografię. Mógłbym ją otrzymać?

— Oczywiście, służę panu. Niedawno robiłem zdjęcia. Mam nadzieję, że moja powierzchowność nie wyda się mijnheer van Kossumowi niesympatyczna.

Bookman uśmiechał się patrząc badawczo na Gerda. — Jestem o tym przekonany.

Panowie rozeszli się, a dyrektor udał się do swego pokoju. Zamierzał wczesnym rankiem wyjechać. Gerd zaś zaszedł jeszcze do ciotek, które siedziały w pokoju Melanii wielce niespokojne.

— Co nam powiesz, Gerd? — wykrzyknęły jednocześnie. Przysunął krzesło i śmiejąc się spoglądał na nie.

— Wiele dobrego! A więc pierwsze: Rainau jest sprzedane.

— I mówisz, że to jest coś dobrego? — spytała pobladła Melania. Przytaknął zrozumiawie.

— Z powodu dodatkowych okoliczności, bo poza kwotą niezbędną dla wierzycieli udało mi się uzyskać jeszcze jedną piątą więcej.

— Tak dużo? I tym możesz rozporządzać?

— Tak.

— To byłoby w takim razie do podziału na cztery części, skoro powiedziałaś, że Martina też ma prawo do spadku, czy tak? — spytała Helena.

— Tylko na trzy — pokręcił ze śmiechem głową. — Ja rezygnuję na waszą korzyść. Jestem młody i zdrowy, mogę pracować, poza tym mam jeszcze resztkę ze spadku po moim ojcu.

Patrzyły na niego z niedowierzaniem.

— Jesteś gotów to zrobić? Zrezygnować na naszą korzyść? — W swym egoizmie nie mogły zrozumieć takiego poświęcenia. To było dla nich niepojęte.

— Tak, tego właśnie chcę — powiedział rozbawiony.

Patrzyły obie na niego niepewnie. — Ale czy możemy to przyjąć?

— Oczywiście możecie. — Roześmiał się serdecznie. — I to bez obaw. Ale teraz dalej, to jeszcze nie wszystkie dobre wiadomości. Na razie pozostajemy w Rainau. Nowy właściciel nie tak zaraz tu przybędzie, wystarczy, że cały czas będzie wszystko przygotowane na jego przyjęcie. Pokoje na pierwszym piętrze musicie opuścić. Salony na parterze są również zarezerwowane dla właściciela Rainau. Ale trzy pokoje w lewym skrzydle są do waszej dyspozycji, do tego dochodzi bezpłatne wyżywienie, jeśli będziecie nadal sprawować nadzór nad gospodarstwem domowym.

Czy obie starsze kobiety pamiętały jeszcze, że kiedyś przepędziły z tych pokoi żonę ich brata i zmusiły do zamieszkania na poddaszu? Opatrzność zrządziła, że teraz i one zostały usunięte i poznały smak poniżenia. Miały bowiem zamieszkać we dwie w trzech małych pokojach, podczas gdy dotychczas każda z nich zajmowała cztery. Były jednak wdzięczne za to, że mogą pozostać w tym domu, i dlatego teraz płakały ze szczęścia.

— Gerd, to zobowiązuje nas do wielkiej wdzięczności — szlochała ciotka Melania. Jesteśmy ci tak bardzo wdzięczne, jesteś taki dobry dla nas.

Poderwał się i wzbraniał przed podziękowaniami.

— Nie trzeba, naprawdę nie trzeba. Przecież to zrozumiałe, że uczyniłem wszystko co możliwe, by pomóc krewnym. Ale teraz coś, co zaraz zgasi wasz entuzjizm. — Spojrzały na niego z przerażeniem. — Co takiego, Gerd?

W jego oczach pokazały się figlarne błyski.

— Niestety nic z tego nie będzie, byśmy mogli się rozstać, w każdym bądź" razie nie tak szybko. Ja nadal będę mieszkał w Rainau. Zostałem zaangażowany jako rządcą na następnych dziesięć lat. Jedyłą pociechą może być to, że będziemy sobie schodzić z drogi jak tylko to możliwe, a jest możliwe, bo wy zamieszkacie w lewym, a ja w prawym skrzydle.

— Ależ Gerdzie, nie sądzisz chyba, że jesteśmy nieprzychylnie temu, byś otrzymał to stanowisko?

Wzruszył ramionami śmiejąc się. — Przecież mogłem się tego spodziewać?

— Ależ, Gerdzie, wprost przeciwnie, cieszymy się bardzo. Przecież lepiej mieć z tobą do czynienia niż z obcym rządcą.

— Będę szczery, wyobrażałem sobie, jakie to byłoby miłe, gdybyśmy nie musieli się kłócić. Ale całego dobra człowiek nigdy nie posiadzie, bądźmy więc zadowoleni z tego, co mamy.

— Dziękujemy ci, Gerdzie — ścisnęły go kolejno — byłeś dla nas bardzo dobry.

Wzbraniał się ruchem ręki.

— Nie chcę żadnych podziękowań. A teraz dobranoc, chciałem tylko abyście spokojniej spały.

— Jesteś naprawdę dobry, Gerdzie — powiedziała ciotka Melania, nieco zawstydzona.

— Jutro możecie już żałować, że prawiliście mi dziś komplementy — zażartował i zamknął za sobą drzwi nie czekając odpowiedzi.

Wyszedł jeszcze na chwilę na dwór. Chłodny wiatr chłodził mu rozpalone czoło. Oczy wznosił na usiane gwiazdami niebo. Dzięki Bogu, miał wreszcie mocny grunt pod nogami. On, który jeszcze dziś rano nie wiedział, jaki będzie jego przyszły los. Przepęniało go uczucie zupełnego szczęścia. Dziś wieczór mógł się wreszcie położyć spać wolny od dręczących go trosk.

Odprężony wrócił do domu i wszedł do swego pokoju. Przypadkiem wzrok jego zatrzymał się na błękitnej wstążce, przewieszanej przez szpadę. Uśmiechnął się do niej jak do dobrego znajomego.

„Widzisz, mała Martino, udało mi się uratować małą sumkę także dla ciebie. A ja zostałem mianowany na gospodarza i rządcę Rainau. Grób twojej mamy będzie jutro cały w kwiatkach. Dobrze się stało, że zostanę w Rainau — prawda? Dzięki temu będę mógł zawsze o nim pamiętać. Ucieszy cię to, gdy kiedyś przyjedziesz tutaj. Odszukam cię, Martino, by przekazać ci twoją część spadkową”.

Tej nocy Gerd miał dziwny sen. We śnie widział małą Martinę tańczącą bosą na łące w parku. Miała na sobie białą suknię przybraną fruującymi, błękitnymi wstążkami. Wziął ją na rękę, a ona objęła go za szyję i powiedziała tym swoim przyjemnym głosikiem: „Gerd, kochany Gerd, tak się cieszę, że jestem wreszcie znów z tobą”.

Bardzo mu się to podobało, więc następnego ranka rozmyślając o tym śnie, powiedział sam do siebie:

„Ciekawe, wczoraj wieczór, gdy pomyślałem o Martinie, ona przyszła do mnie we śnie. To było miłe, bardzo miłe! Czy też ona czasem o mnie myśli?” Westchnął głęboko. Nawet na myśl mu nie przyszło, że to Martina została właścicielką Rainau.

Nazajutrz odwiózł dyrektora Boolkmana wozem myśliwskim na dworzec.

— Do zobaczenia, panie Volmar.

— Do zobaczenia, panie dyrektorze. Proszę zapewnić moich nowych chlebodawców, że jestem im w pełni oddany.

— Zrobię to z całą pewnością, a gdy tylko będą nowe wiadomości od moich klientów, dam panu zaraz znać.

To było wszystko. Po jego odjeździe Gerd udał się jeszcze do wierzycieli, by ich powiadomić o dokonanej sprzedaży i omówić resztę spraw z tym związanych. Radosny i zadowolony, wracał do Rainau.

XIV

Martina przeżyła kilka ciężkich tygodni. Mevrouw i mijnheer Gould wyjechali po kilku dniach, a ona została sama z chorym. Nim jednak odjechali, Jan van Kossum poprosił mevrouw Gould o rozmowę.

— Czym mogę panu służyć, mój drogi przyjacielu — zapytała, udając przed nim swobodę, aczkolwiek ciężko robiło jej się na sercu, gdy na niego patrzała.

Spojrzał na nią proszącym wzrokiem.

— Droga pani, moje życie nie potrwa już długo. Nie, proszę, niech pani nie zaprzecza. Każdego dnia, każdej godziny jestem przygotowany na śmierć. Poprosiłem panią do siebie, by pani powierzyć moją gorącą prośbę.

— Co mogę dla pana zrobić? — spytała powstrzymując łzy.

Ujął jej dłoń. — Chcę prosić, by zajęła się pani moją żoną, gdy nadejdzie wiadomość, że zmarłem. Mój sługa zawiadomi panią natychmiast telegraficznie. Wiem, żądam od pani bardzo dużo prosząc, by przyjechała pani tu zaraz i wywiozła stąd moją żonę. Nie powinna pozostawać tu dłużej w osamotnieniu. Gdy zostanę pochowany, tam, na skalistym zboczu, obok mego drogiego przyjaciela, niechaj moja żona opuści Lahori.

Uścisnęła mu rękę. Dopiero po chwili była w stanie coś powiedzieć: — Zapewniam pana, że przyjadę, jeśli tylko będę na Sumatrze. Wybieramy się bowiem za trzy miesiące do Holandii. Tęsknimy już bardzo za krajem.

— Ten telegram nadejdzie dużo wcześniej. I proszę zabierzcie wówczas moją żonę ze sobą do Holandii. Nie powinna zostać na Sumatrze. Tutejszy klimat mógłby jej na dłużej zaszkodzić. W przyszłości niech zamieszka w Holandii lub w Niemczech. Jej podróż do Europy leży mi bardzo na sercu, chciałbym wiedzieć, że będzie pod dobrą opieką. Tak chętnie sam wybrałbym się z nią w tę podróż. Cóż, los wyznaczył mi jednak inną drogę. Raz jeszcze proszę, niech pani zechce zająć się Martiną, gdy mnie braknie.

Mevrouw Gould uścisnęła rękę chorego na znak zgody i przyrzeczenia. Potem, głęboko wstrząśnięta, opuściła pokój.

Przez następne dni czekał Jan z godziny na godzinę na wiadomość od dyrektora Bookmana. Najpierw nadszedł telegram o treści: *Rainau kupione*. Natychmiast dał go przeczytać Martinie.

— I cóż, mała pani na Rainau, cieszysz się z tego nabytku?

Martina nie panowała nad sobą. Rozpłakała się z wrażenia. Jan musiał ją uspokajać. Czekał teraz na obszerniejszą wiadomość od Boolkmana, czekał Jan równocześnie na własną śmierć.

Dziwne było życie, które wiódł, mimo to dziękował Bogu za każdy darowany mu dzień. Ten ostatni okres miał dla niego jednak urok; mógł patrzeć w słodką twarzyczkę Martiny, słuchać jej miłego, aksamitnego głosu. Odpoczywała niewiele, tylko wtedy, gdy on spał. Miał bowiem odczucie, że jest bliżej śmierci, gdy jej przy nim nie ma. A gdy się pojawiała, zapominał o chorobie. Dręczyło go, że jest tak bezsilny i bezradny. Dla niego, który nigdy w życiu nie chorował, męką była fizyczna zależność od otaczających go osób. Tylko Martina była w stanie złagodzić tę męczarnię. Czyniła to z bohaterskim wręcz samozaparciem, z takim wyczuciem, że wzruszała go tym dogłębnie. Wiedział, czuł, ile ją kosztowało zachowanie pozorów spokoju i pogody, gdy całymi godzinami siedziała przy nim. Rozpoznawał, co przeżywa, po drzeniu jej ust, po nagłym blednięciu, po wyrazie oczu. Wiedział, że mu współczuje i razem z nim cierpi.

I tak żyli oboje, niepewni każdego dnia, nie szczędząc ofiar, które nawzajem dla siebie ponosili, a przeciwnie, czerpiąc szczęście z faktu, że mogą je ponosić.

Rana zewnętrzna była prawie zagojona, lecz oddech, który stawał się coraz trudniejszy, świadczył o tym, że z płucami Jana jest coraz gorzej. Martina obserwowała z niepokojem, jak zmagał się z trudnościami przy oddychaniu. Malajski starzec przebywał stale w Lahori jako pielęgniarz. Doktor Swarts przyjeżdżał raz w tygodniu i badał chorego. Jan patrzył na niego poważnym, badawczym wzrokiem, by wyczytać: czy już?

— Ach, mijnheer van Kossum, pan ma końskie zdrowie, a Bóg cuda czyni. Co tam, już pana widzę na statku w drodze do Holandii — powiedział któregoś dnia.

Jan uśmiechnął się lekko i odparł swoim bezbarwnym głosem:

— Już uczynił, już uczynił. Każda godzina, którą mi jeszcze daje, to cud.

Któregoś dnia przybył z Palembang kierownik filii, mijnheer Haverkamp, by odwiedzić swego chorego szefa. Zarówno on jak i inni urzędnicy byli przywiązani do van Kossuma i wiernie mu oddani. Za każdym razem, gdy Haverkamp opuszczał Lahori, miał wrażenie, że widzi szefa ostatni raz. Tego dnia przywiózł sporą ilość poczty, przekazał listy i wycofał się.

— No, Martino — zawołał uradowany Jan — przejrzymy pocztę, chcesz? O, widzę tu gruby list od dyrektora Boolkmana, to nas chyba najbardziej interesuje. Pozwól, ja otworzę.

Uśmiechnęła się.

Jan wyjął kilka drobno zapisanych kartek papieru i fotografię. Był na niej mężczyzna w wieku około trzydziestu lat. Jan wpatrywał się przez dobrą chwilę w tę męską twarz, w której wyróżniały się poważne, świadczące o otwartości charakteru oczy. Schował fotografię z powrotem do koperty i zaczął w milczeniu czytać list. Tymczasem Martina zajęta była otwieraniem kolejnych przesyłek i nie zauważyła, że do listu Boolkmana załączona była fotografia

Boolkman opisywał obszernie jak i na jakich warunkach nabył Rainau:

...jak Pan widzi, Drogi Przyjacielu, nabyłem Rainau, zawarłem umowę na dziesięć lał z zarządcą Gerdem Volmarem i nawet zagwarantowałem obu ciotkom jakieś zajęcie w majątku. Nie zrobiłem tego wyłącznie dla dobra posiadłości, lecz także, by okazać przychylność panu Volmarowi. Co prawda obie starsze panie nie zrobiły na mnie sympatycznego wrażenia, widziałem jednak, że gospodarują solidnie i są pracowite. Załatwiłem zatem wszystko zgodnie z Pana życzeniem.

Niezależnie od tego, że zorientowany jest Pan, drogi Przyjacielu, dość dobrze w stosunkach w Rainau, załączam zdjęcie zarządcy Volmara. Zauważy pan niewątpliwie, że jest to mężczyzna interesujący i sympatyczny. Muszę też zaznaczyć, że nabrałem do niego absolutnego zaufania. Cechy jego charakteru przekonały mnie, że jest to człowiek szlachetny, a o pracowitości i solidności mogłem wnioskować na podstawie ksiąg, a także zachowania podległych mu pracowników, którym imponuje pod każdym względem. Godne uznania jest także to, że będąc oficerem, po dymisji z wojska natychmiast podjął inną pracę, w której ma już znaczne osiągnięcia. Ma silny charakter, jest energiczny, pilny i odpowiedzialny. Jestem przekonany, że nowa Pańska posiadłość jest w dobrych rękach.

Uzupełniając jeszcze tę charakterystykę, chciałbym dodać, że wydaje mi się on człowiekiem ciepłym i impulsywnym w takim samym stopniu, w jakim jego ciotki małoduszne i drobiazgowy. Między nim a jego ciotkami panują chłodne stosunki, mimo to uczynił wszystko, by mogły dalej mieszkać w majątku. Na ich korzyść zrezygnował nawet ze swego prawa do dziedziczenia. Ze sprzedaży Rainau, po odliczeniu sumy potrzebnej na spłacenie długów, pozostało sto tysięcy marek dla spadkobierców. Poza nim i obiema ciotkami żyje jeszcze córka jego wujka. A więc na korzyść tejże i obu ciotek Volmar zrezygnował ze swej części spadku. Należy to tym bardziej wysoko ocenić, że sam jest raczej bez środków do życia. Przedstawiam te okoliczności, bo chcę Pana utwierdzić dodatkowo w tym, że Rainau jest istotnie w najlepszych rękach.

Wszystko inne załatwiłem zgodnie z Pana życzeniem. Pański dom rodzinny jest przygotowany; służba czeka na przyjazd Państwa. Sprawy finansowe zostały pozatławiane z pełną odpowiedzialnością, więc cokolwiek by się wydarzyło, Pańska młoda żona będzie miała we mnie zawsze oddanego jej i sumiennego doradcę. Interesy Pana będę nadal prowadził w niezmienny sposób. Tymczasem żywię nadzieję, iż wkrótce przybędzie Pan osobiście do Amsterdamu, a Pańskie obawy związane ze zdrowiem okażą się zbędne. Wiadome przecież jest Panu, że tak drogiego i szanownego przyjaciela, jakim jest Pan dla mnie od lat, utracić bym nie chciał. Niech Bóg da Panu zdrowie, by mógł Pan sam przybyć do mnie i przywieźć swą młodą żonę.

Załączam serdeczne pozdrowienia, życzenia szybkiego powrotu do zdrowia oraz polecam się Szanownej Małżonce.

Pański oddany przyjaciel H. Bookman

Skończywszy czytać list, Jan odetchnął głęboko. Spojrzał na Martinę i wziął ją za rękę.

— Niech ci się szczęści, pani na Rainau!

Oblała się rumieńcem. — Czy zakup Rainau jest już faktem?

— Tak, kochanie, należy do ciebie. A Gerd Volmar zobowiązał się być rządcą przez następne dziesięć lat.

Serce biło jej mocno, oddychała z trudem.

— To brzmi jak bajka. Tak się cieszę. Opowiedz mi coś o Rainau, jak oni tam żyją?

— W liście jest cała masa wiadomości, kochanie. Jest nawet fotografia twego kuzyna Gerda. — Wyjął zdjęcie z koperty i podał Martinie.

Wzięła je drżącymi rękoma i spojrzała. Wpatrywała się szeroko rozwartymi oczami, serce jej biło mocno i głośno, a cała krew odpłynęła z twarzy. „A więc to był Gerd”. Nie spuszczała oczu z podobizny dawnego towarzysza dziecięcych zabaw. Wpatrywała się w tę interesującą, pełną energii twarz, w której znane były jej tylko oczy, dobre, życzliwe, szczerze oczy, ale i one patrzyły teraz na nią inaczej. Było to spojrzenie dojrzałego mężczyzny, który przeżył wojnę i który zetknął się nie raz ze śmiercią.

Nagle zakryła twarz rękami i rozplakała się. Nie mogła powstrzymać dłużej łez. Jego wzrok na fotografii obudził w niej wszystkie wspomnienia, ożyły przeżycia dobre i złe. A jednocześnie miała wrażenie, że słyszy znajomy głos: „Nie płacz mała Martino. Nie wolno ci płakać, to sprawia mi ból.” Często tak mawiał, gdy na jego ramieniu wypłakiwała swe serdeczne żale.

Jan van Kossum obserwował swą żonę z niepokojem.

— Martino, co ci jest, co się stało?

Opanowała się z trudem i skryła głowę w jego poduszkach.

To nic, wujku, po prostu tak mnie to wzruszyło, gdy po tylu, tylu latach spojrzałam znów w oczy Gerda. Przypomniało mi się, jaki był zawsze dla mnie dobry. A mimo że jego twarz w snach pojawia mi się tak dobrze znana i bliska, teraz jakby stała mi się obca. Pamiętałam go jako młodzieńca, roześmianego, trochę krnąbrnego, a teraz stał się mężczyzną, który patrzy na mnie tak poważnym wzrokiem. To mnie zaskoczyło, ale i wzruszyło. Po jego wyglądzie widzę, zrozumiałam, jaka przepaść leży między dniem, gdy widziałam go ostatni raz, a dniem dzisiejszym, jak obcy staliśmy się sobie. To mnie boli.

Głaskał ją po głowie. Instynktownie wyczuwał, że Gerd Volmar znaczy dla niej o wiele więcej aniżeli jakikolwiek inny człowiek na świecie, nawet wiele więcej niż mógłby znaczyć dla niej on sam. W zamyśleniu patrzył przed siebie. Czyżby Gerd Volmar był tym szczęściem, które czekało na Martinę w jej ojczystym kraju? Czy to on będzie tym, któremu ofiaruje swe serce? A czy ten człowiek będzie zdolny uszanować je, jeśli to jemu właśnie przypadnie w udziale ta urocza dziewczyna? Oddychał z trudem. Starał się opanować, aż w końcu powiedział ze zwykłą łagodnością:

— Uspokój się, kochanie, wkrótce go zobaczysz i cała obcość minie. Znów będzie wszystko dobrze. No, no, już nie płacz, przeczytaj najpierw list od pana Boolkmana. Zaraz ukaże ci się Gerd Volmar bliski jak dawniej. Boolkmann bardzo dobrze się o nim pisze. Wyczytasz z listu, że nie zmienił się. Zachował szlachetność i uczciwość charakteru. Czytaj, czytaj, jest tam sporo nowin.

Martina wyprostowała się i osuszyła łzy.

— Dobry, kochany wujku, jaką ja jestem egoistką. Wypłakuję się przed tobą! Powinieneś skarcić mnie za to, więcej myślę o sobie niż o tobie.

Pokiwał z uśmiechem głową. — Ciebie karcić? Tego musiałbym się najpierw nauczyć. Ale zdaje mi się, że miałbym z tym trudności.

W jego głosie wyczuwała głęboką miłość. Przeraziło ją to. Nie chciała spojrzeć na niego, by nie zauważył, że ona o tym wie. Nie dała tego po sobie poznać, przewidując, że wówczas zniknęłaby z ich związku cała swoboda. To nie mogło nastąpić. Jak długo nie podejrzewał, że ona wie, jakiego rodzaju miłością jest kochana, tak długo może okazywać mu swą naiwną czu-

łość — a tej pociechy nie chciała go pozbawić. Pocałowała jego rękę, nie patrząc mu jednak w oczy.

— Drogi wujku, jak zwykle jesteś zbyt dobry dla mnie. I nawet nie potrafisz się ze mną sprzeczać. Ale widzisz, już jestem zupełnie spokojna. Proszę, daj mi list.

Czytała i oczy jej jaśniały coraz bardziej. To, o czym pisał Bookkman, żywo ją interesowało. Opis zachowania i charakteru Gerda wzruszył ją tak, że zniknęła cała obcość człowieka z fotografii. Był to znów ten sam Gerd, dobry, kochany przyjaciel młodzieńczych lat, jej dzielny obrońca i najukochańszy człowiek. Gdy skończyła lekturę listu, ponownie przyjrzała się niewielkiemu zdjęciu z blaskiem w oczach, którego nie dało się ukryć.

Jan van Kossum obserwował ją w milczeniu. Ze smutkiem patrzył na jej promieniejącą twarz. Wyczuwał instynktownie, że Gerd Volmar będzie tym mężczyzną, któremu Martina odda serce. Nie wiedział, skąd brała się ta pewność, ale wątpliwości nie miał żadnych. Bolesne było to rozpoznanie, lecz ukrył je przed nią. „Niech Bóg da ci szczęście. Ja nie będę stał na przeszkodzie, przecież umrę”, myślał.

Martina odłożyła wreszcie fotografię i zagadnęła pogodnie:

— Już nie jest tak źle z tą obcością, wujku. Gerd wydaje mi się znów znany i bliski. Gdybym go jednak spotkała na ulicy — wierz mi — nie poznałabym go. Zbyt długo nie widzieliśmy się. A i on by mnie nie poznał. Będę udawała obcą, gdy zajadę do Rainau, i nie dam nic po sobie poznać! Chyba że on sam mnie rozpozna. Noszę teraz twoje nazwisko, a on nie ma pojęcia kim jest mevrouw van Kossum. I tobie nie wolno będzie niczego zdradzić, gdy się spotkacie, pamiętaj!

Uśmiechnął się z rezygnacją. — Ja nie będę tam z tobą.

Zakryła mu usta dłonią. — Nie pozwolę tak mówić. Widzisz przecież, że twój stan poprawia się z dnia na dzień, a potwierdza to też doktor Swarts. Bóg czyni cuda. Można mu ufać.

— Niestety, nie w moim przypadku — powiedział cicho.

Ożywiła się. — Masz żelazny organizm, a modłę się co dzień o ten cud. W snach jesteś zawsze przy mnie w tej podróży do Europy. Ostatniej nocy szłam z tobą przez park w Rainau i prowadziłam cię na grób mamy. Przecież nie pozwolisz na to, bym szła tam sama?

Pogłaskał jej rękę. — Nie, moje kochane dziecko, nie pozwolę ci iść tam samej. Na wszystkich twych drogach będzie towarzyszyła ci moja miłość. A gdy któregoś dnia znajdziesz przeznaczone ci szczęście, pomyśl wtedy: to wymodlił mi w niebiosach wuj Jan. On spogląda teraz na mnie stamtąd i cieszy się razem ze mną.

Ukryła twarz w dłoniach. Czowała, jak wielkoduszne były jego słowa

— Ale ja nie chcę szczęścia, które nie będzie także twoim szczęściem — powiedziała cichutko.

— Moje kochanie, opanuj się. W każdym bądź razie duszą będę przy tobie, gdy będziesz szła na grób mamy. I... i twoja matka powie mi wówczas, czy słusznie postąpiłem w stosunku do ciebie.

Ucałowała jego rękę. — Mój kochany, dobry wujku, żaden człowiek na świecie nie może uczynić dla mnie więcej aniżeli ty już zrobiłeś. Widzisz, gdybym miała cię stracić, żadne nawet największe szczęście nie mogłoby być pełne, bo przecież nikt nie będzie mnie kochał tak jak ty. I nigdy... nigdy tego nie zapomnę.

— Masz rację. — Zamknął oczy, by nie poznała jego uczuć. — Tak, jak ja ciebie kocham, nie może kochać cię nikt inny... na progu do wieczności — dodał.

Była zgnębiona jego wyznaniem. — Ranisz mi serce — powiedziała załamującym się głosem.

— Niech Bóg broni, ukochane dziecko. A teraz zostaw mnie samego, chcę odpocząć. Jestem zmęczony.

Wstała, zdjęcie Gerda spadło przy tym na podłogę. Podniosła je.

— Czy mogę je zatrzymać, wujku Janie? Przytaknął uśmiechając się. — Jest twoje.

Pocałowała go w czoło i życzyła dobrego odpoczynku. Potem przywołała malajskiego pielęgniarza i wyszła cicho.

Jan patrzył za nią w szczególny sposób, zamknął potem oczy, jakby chciał zachować jej obraz w pamięci. „Boże Ojcze, pozwól, bym mógł ujrzeć przyszłość” — modlił się żarliwie. Wyczerpany zasnął.

Śniło mu się, że stoi w parku w Rainau przed Marią Dornberg, która podaje mu dziecko ze złocistymi loczkami. Ale Maria wyglądała dokładnie jak Martina

— To twoje dziecko, Janie, zasłużyłeś na nie, nie zapomnij o tym — powiedziała

A on głaskał złocistą główkę i miał uczucie takiej szczęśliwości, jakiej nigdy w życiu rzeczywistym nie zaznał. Moje dziecko — moje dziecko, myślał. A potem Maria wzięła go za rękę i poprowadziła w głąb parku.

— Chciałbyś spojrzeć w przyszłość? Niech spełni się tve życzenie — powiedziała.

Nagle przystanęła. Ujrzał cztery mogiły pod kwitnącymi kasztanowcami, na jednej z nich, przed którą stali, leżał skromny kamień nagrobny ozdobiony kwiatami. Był na nim napis: *Maria Dornberg z domu Feldner*.

— Jesteś przecież przy mnie, Mario — powiedział ze zdziwieniem, wskazując na grób. Uśmiechnęła się tak, jak tylko Martina potrafiła się uśmiechać, i wskazała na cienistą ścieżkę, którą zbliżało się dwoje ludzi. Nieśli kwiaty i szli przytuleni do siebie, szczęśliwi, zakochani. Poznał ich, była to Martina i Gerd Volmar. On objął ją i o czymś jej opowiadał. Potem złożył kwiaty na grobie i znów przygarnął Martinę do siebie. Ona także położyła kwiaty, zachowała tylko jedną białą różę.

— Ta jest dla ciebie, kochany, drogi wujku Janie, nigdy cię nie zapomnę, bo tobie zawdzięczam moje szczęście. — Powiedziała Martina i złożywszy na kwiecie pocałunek, położyła mu go na sercu.

Przeżycie to było tak wyraziste, że się przebudził. I leżąc analizował swój sen. „Jestem przekonany, że dobry Bóg pozwolił mi ujrzeć przyszłość. A gdy umrę, nie będę samotny, Maria i Georg będą przy mnie”.

Zasnął ponownie, uspokojony i pogodzony z losem.

XV

Martina, gdy wyszła z pokoju Jana, sprawdziła najpierw, czy o mijnheer Haverkampa należycie zadbano. Porozmawiała z nim jeszcze chwilę, po czym życzyła mu dobrej nocy.

Udała się do swego pokoju, gdzie czekała na nią już pokojówka, by pomóc jej przy rozbieraniu. Położyła się, lecz nie mogła zasnąć. Nie pozwoliła Jamie gasić światła, by móc znów wpatrywać się w fotografię Gerda. Rozmawiała z nią, jakby był to sam Gerd.

Wreszcie przyłożyła zdjęcie do twarzy i zamknęła oczy. Leżała cicho, zatopiona we wspomnieniach, i tak zasnęła.

Następnego ranka po przebudzeniu, gdy tylko się poruszyła, zdjęcie ześlizgnęło się wzdłuż jej ciała. Podniosła je i uśmiechnęła się.

— Dzień dobry, Gerd! Ładnie, że witasz mnie zaraz po przebudzeniu. Zdaje mi się, że będzie to radosny dzień. Mam nadzieję, że wuj Jan będzie czuł się dobrze.

Tego ranka była szczególnie radosna i szczęśliwa. Fotografie Gerda postawiła w ramce na stolyczku obok łóżka. Gdy przyszła Jama, by ją uczesać i pomóc w ubieraniu, zauważyła śmiejąc się zdjęcie Gerda: — Piękny pan, bardzo piękny pan.

Martina siedząc przed lustrem odpowiedziała: — To jest mój kuzyn, Jamo.

— Gdzie mieszka twój kuzyn, pani?

— W Niemczech, Jamo.

— Czy w Niemczech jest ładnie?

— W ojczyźnie jest zawsze ładnie.

— To prawda, pani, że niedługo pojedziesz do swojej ojczyzny?

— Gdy tylko mijnheer van Kossum będzie mógł podróżować.

— Pani, zabierzesz mnie ze sobą?

Martina patrzyła w zamyśleniu na piękną Malajkę.

— Nie wiem, Jamo, czy mogłabym zabrać cię do obcego kraju. Tęskniłabyś za Lahori.

Jama zaprzeczyła ruchem głowy. — Będę tęskniła tylko za tobą, pani, jeżeli wyjedziesz stąd. Nigdy nikt nie był tak dobry dla Jamy, jak ty, pani.

— A gdybyś tak już nigdy nie mogła wrócić do twojego kambongu, do twoich krewnych?

— W kambongu Jama musi ciężko pracować. Jej rodzina odda ją jakiemuś mężczyźnie, który będzie leniuchował, a ona będzie ciężko pracować, a może też będzie ją bił. Jama nie chce wracać do kambongu, chce być zawsze przy swojej pani, bo jest jej przy niej dobrze, tak bardzo dobrze.

— W Niemczech jest dużo chłodniej, czy nie będziesz tam marzła? Jama znów zaprzeczyła: — Pani podaruje ciepłe sarong i buty, i pończochy, i grubą, ciepłą kabaję, podbitą futrem, i wtedy Jama nie będzie marznąć.

Martina zawahała się.

— Nie chciałabym rezygnować z ciebie, Jamo, ale muszę najpierw porozmawiać z mężem, zapytać czy mu to odpowiada, czy zechce, abyś jechała z nami.

— Jeśli ty, pani, go poprosisz, na pewno się zgodzi. Mijnheer van Kossum zrobi wszystko, co zechce mevrouw van Kossum.

Rozbawiło to Martinę. — Jesteś tego pewna?

— O tak, pani — odpowiedziała z wielką powagą Malajka. Martina wzruszyła się. Czyż ta dziewczyna nie miała racji? Czy wuj

Jan nie czynił istotnie wszystkiego, co było jej życzeniem?

— Pośpiesz się, Jamo, mijnheer van Kossum czeka już na mnie. Pomówię z nim o tobie.

Martina pośpiesznie dokończyła swej porannej toalety i przeszła do swego chorego męża, którego tymczasem służba przeniosła już na werandę. Wyglądał jej z utęsknieniem. Przywitała go czule, spytała, jak się czuje, po czym zjedli razem śniadanie. Towarzyszył im przy tym mijnheer Haverkamp, który niebawem pożegnał ich, by wrócić do Palembang. Martina przypomniała sobie prośbę pokojówki.

— Jak sądzisz, wujku Janie, możemy Jamę zabrać ze sobą do Europy?

Przytaknął z uśmiechem. Jama jest ci bardzo oddana i ma właściwie rację mówiąc, że nigdzie nie będzie jej tak dobrze, jak przy jej pani. Weź ją ze sobą, jeśli tego chce.

— Czy nie będzie jednak osamotniona w obcym środowisku?

— Będzie o wiele bardziej nieszczęśliwa, jeśli po tym dobrym życiu, jakie miała tu przy tobie, wróci do swej nędzy. Uważam, że ten pomysł jest dla obu was korzystny. Ta młoda Malajka będzie zawsze oddaną ci służką.

— W takim razie powiem jej, że może z nami jechać.

— Powiedz jej to, powiedz, kochanie.

Siedzieli tak jeszcze razem przez jakiś czas, rozmawiając o bieżących sprawach. Pewien rzeźbiarz, Niemiec z Palembang dostarczył wczoraj pomnik, który miał stanąć na grobie Georga Feldnera. Na pomniku wyrzeźbił postać anioła z twarzą Martiny, wiernie oddając jej rysy. Teraz ten pomnik ustawiono przed Janem van Kossum na werandzie. Jutro miał być wmurowany na grobie Georga. Jan wodził bez przerwy wzrokiem porównując podobieństwo marmurowej postaci z żywym modelem.

— Ten skromny artysta stworzył arcydzieło. Gdy słońce pada na tę twarz z marmuru, zaczyna ona jakby żyć.

Spojrzał na wyryte już na cokole imię i nazwisko Georga. Niebawem i jego własne też tam się znajdzie, pomyślał.

Wierność jest cnotą najszlachetniejszych — brzmiała umieszczona na cokole sentencja.

Jan odczytując ją kilka razy, całkiem wyraźnie zobaczył teraz przyjaciela, stojącego obok pomnika, który uśmiechał się do niego. Obraz był tak wyrazisty, że Jan van Kossum patrząc szeroko rozwartymi oczami, wyszeptał: — Georg!

Martina nachyliła się nad nim. — Wujku Janie, czy zawołałeś wujka Georga?

Chory uśmiechnął się w zamyśleniu. — Widziałem go, jak stoi tu, obok pomnika. Uśmiechał się nawet, ale gdy ty mnie zawołałaś, zniknął.

— Myślałeś o nim, wujku, i widziałeś go w wyobraźni.

— Tak, tak z pewnością tak to było. Ale widziałem go całkiem wyraźnie i dokładnie. Martino, nie zapomnisz... prawda?... że pod nazwiskiem Georga ma być wyryte moje i że posąg anioła ma stać u wezłowania nas obu. Będziemy obaj pod tą marmurową rzeźbą, która ma twoje rysy.

Usta jej drżały, a oczy zaszyły łzami. Powiedziała jednak dzielnie:

— Wszystko będzie tak, jak sobie życzysz, ale da Bóg, że będziesz jeszcze długo, długo przy mnie.

Wszedł Kimloh i przyniósł, jak codziennie o tej porze, posilny bulion dla chorego. Martina chciała mu go podać, lecz Jan odmówił ruchem głowy i odsunął filiżankę.

— Nie mam dziś apetytu, Martino, wszystko wydaje mi się mdłe i gorzkie.

— Ale ty musisz coś zjeść, wujku Janie.

— Później, może później, nie teraz.

Martina kazała Kimlohowi zabrać. — Czy chcesz, bym ci teraz poczytała gazety, wujku? — zapytała.

Skinął w milczeniu. Nie docierało do niego, co czytała, słyszał tylko jej miły, ciepły głos. Czuł się tego dnia bardzo słaby. Nie miał siły, by ująć rękę Martiny, choć bardzo tego pragnął.

— Podaj mi rękę, Martino.

Odłożyła gazetę i przesunęła się bliżej. — Czujesz się niedobrze, wujku? Wyglądasz na zmęczonego.

Nie odrywał od niej wzroku.

— Jestem zmęczony, moja kochana, śmiertelnie zmęczony, teraz... tak, teraz chciałbym usnąć, ale nie odchodź. Jestem... jestem taki zmęczony... I Martino... Martino... kocham cię bezgranicznie... po wieczne czasy... kocham cię. — Słowa te wypowiedział mimo woli, jakby nie mógł ich powstrzymać. Jego siły wyczerpały się.

Była przerażona. Pochyliła się nad nim i zauważyła dziwną zmianę w jego twarzy. Nie wiedziała, co spowodowało, że ujęła jego głowę w obie ręce.

— Ja także cię kocham, jesteś najbliższym mi człowiekiem, Janie, i wiem, że nikt nie będzie dla mnie taki jak ty — powiedziała z bolesną wręcz żarliwością. Po raz pierwszy tak go nazwała. Powiedziała do niego „Janie”, a nie „wujku Janie”, i powiedziała, że też go kocha.

Patrzył w jej oczy przepełnione wielkim szczęściem i pragnieniem. Nie mogła inaczej, musiała to pragnienie zaspokoić, musiała dotknąć jego ust swymi młodymi ustami w pocałunku miłości... miłości miłosiernej.

Leżał nieruchomo, a gdy się podniosła, odważył się powiedzieć:

— Dzięki, serdeczne dzięki... moja jasnowłosa... moja żono.

Tak jeszcze nigdy jej nie nazwał. Jakże mała, nic nieznacząca była wobec jego uczucia jej miłosierna miłość. Pragnęła ponieść dla niego jakąś ofiarę, niesłychanie wielką ofiarę, by mu się wywdziękzyć, ale w tym momencie mogła już tylko przytulić się do niego i zapłakać.

— Janie, mój najdroższy mężu! Boże mój! Janie, co ci jest? Jesteś taki zmieniony! Janie!!

Ostatnie słowo było jednym wielkim krzykiem. Chory wyprostował się nagle na łóżku, jakby całą siłą raz jeszcze pragnął zaczerpnąć powietrza, którego w jego płucach już nie było. Potem nagle potok krwi popłynął z jego ust. Osunął się z powrotem, ostatnie tchnienie wydobyło się z jego piersi, uchwycił jeszcze dłoń żony w ostatnim podziękowaniu.

Jan van Kossum nie żył.

Na głośny krzyk Martiny, wbiegł do pokoju malajski pielęgniarz. Wiedział od razu, co się stało.

— Pani, on nie żyje, jego dusza jest u bogów jego ojczyzny. Zamknij mu oczy.

Martina wybuchnęła głośnym szlochem. Ręką dotknęła lekko i czule jego oczu.

— Wujku Janie, drogi wujku Janie, zostawisz mnie samą? — płakała. Ale on już tego nie słyszał. Osunęła się bezwolnie, przyciskając usta do jego dłoni.

Ze wszystkich stron nadbiegła służba. Martina nie widziała niczego. Była zrozpaczona, wiedziała, że utraciła najdroższego, najwierniejszego i najbardziej ofiarnego przyjaciela, że przestało bić serce, które biło tylko dla niej.

Jana van Kossum pochowano obok przyjaciela, Georga Feldnera, na urwistym zboczu pod palmami. U wezłowania obu grobów ustawiono marmurową rzeźbę, pięknego anioła z twarzą Martiny. Mevrouw Gould przybyła natychmiast w towarzystwie swego męża, gdy tylko otrzymała wysłany przez Kimloha telegram. Pocieszała młodą wdowę, jak tylko mogła. Mijnheer Gould i mijnheer Haverkamp przejęli wszystkie obowiązki, których Martina w swym cierpieniu wypełnić nie mogła.

Była niepokieszona. Nie mogła odnaleźć się w życiu, w którym zabrakło wujka Jana, mimo iż on sam wszystko na tę okoliczność przygotował. Mevrouw Gould musiała zastosować

lekki, ale jednak przymus i powołać się na wyraźne życzenie Jana van Kossum, by Martina zdecydowała się opuścić Lahori. Miała najpierw udać się z Gouldami do Padang, by po miesiącu wyjechać z nimi do Holandii.

Ciężkie było dla samotnej dziewczyny pożegnanie z oboma drogimi jej grobami. Nie mogła od nich odejść, wracała raz po raz, niepewna, czy tu jeszcze wróci. Mevrouw Gould wraz z mężem starała się ją odciągnąć, aż w końcu udało im się uspokoić Martinę. Jechano dwoma wozami: w jednym Gouldowie razem z Martina, w drugim, tuż za nimi, jechała Jama ze wszystkimi kuframi.

Martina zabrała z Lahori jedynie ubrania i bieliznę i oczywiście wszystkie pamiątki, upominki od wujka Georga i wujka Jana, a poza fotografią Gerda Volmara także zdjęcia Jana i Georga, które oni — zgodnie z jej życzeniem — dali sobie zrobić krótko przed owym nieszczęsnym polowaniem.

Obie tygrysie skóry Jan van Kossum podarował Gouldom i mijnheer Bookmanowi, gdyż Martina wzbraniała się mieć je w swoim pobliżu.

Cała służba stała zasmucona wokół wozu, który miał wywieźć ich łaskawą, młodą panią. Smucili się, mimo że mijnheer Gould miał w przyszłości — jako dyrektor spółki handlowej — zamieszkać w Lahori i nikt nie tracił pracy. Na razie zadaniem ich było dbać o całą posiadłość aż nowi właściciele wrócą z Holandii.

Żegnając się Martina przypominała Kimlohowi, by dbał o groby tak jak zostało mu to zlecone. Gouldowie zobowiązali się w przyszłości czynić wszystko, by były one zawsze utrzymywane jak najlepiej.

— Nam samym leży to na sercu, drogie dziecko — powiedziała mevrouw Gould — Jan van Kossum był naszym przyjacielem, którego zachowamy z wielkim poszanowaniem w pamięci.

Słudzy szli jeszcze kawałek drogi odprowadzając wyjeżdżających i zagadywali do Jamy, która siedziała wyraźnie dumna i szczęśliwa na wozie i zdawała się nie odczuwać specjalnego żalu z powodu opuszczania swego kraju. Zazdrościła jej nawet Nuri, która najchętniej towarzyszyłaby swej pani także. Ale Martina musiała jej odmówić, choć polubiła i tę Malajkę.

Pół godziny później młoda wdowa siedziała w pociągu. Przypomniła sobie podróż odbyłą z wujkiem Georgiem i wujkiem Janem tak niedawno temu tą samą trasą. Ach, jakżeż była wtedy radosna i szczęśliwa. Owa podróż była także dowodem dobroci wujka Jana, prezentem

urodzinowym dla niej. Wszystko, co robił miało jeden cel — sprawić jej radość, urozmaicić życie.

W Padang pojechali wprost do domu Gouldów. Po wejściu do salonu Martina przeżyła prawdziwy szok. Tu, na otomanie leżała skóra tygryscy, która zabiła dwóch najukochańszych jej ludzi. Zorientowawszy się, jak jest to przykry widok dla dziewczyny, pani Gould usunęła skórę na czas pobytu jej w tym domu. Starsza dama zawstydzila się swojej bezmyślności. — Moje biedne dziecko, że też wcześniej nie pomyślałam o tym. Rozumiem doskonale, że jest to dla pani okropny widok. Ja sama nawet nie mogłam się nigdy zbliżyć do tej skóry bez wstępu a tolerowałam ją tylko dlatego, że jest to prezent od Jana van Kossum.

Skóra zniknęła natychmiast z salonu na cały czas pobytu Martiny.

XVI

W Rainau nastał czas dużego ożywienia. Gerd Volmar mógł działać bardziej na własną rękę niż dotychczas. Rozbudowywał, tworzył nowe, nie obawiając się, czy wierzyciele będą zadowoleni. Mijnheer Boolkman upoważnił go do tego mówiąc: „Na razie nie jest najważniejsze, by uzyskiwać duże nadwyżki, raczej chodzi o to, by posiadłość zyskiwała na wartości, by skończyć z gospodarką rabunkową. Należy zrobić wszystko, co jest do tego niezbędne" Nie trzeba tego było Gerdowi dwa razy powtarzać. „Czy mogę dokonać pewnych inwestycji koniecznych, by doprowadzić Rainau znów do wysokiego poziomu?" — zapytał jeszcze. „Nie tylko wolno panu, ale powinien pan", odparł Boolkman.

Tak więc Gerd przystąpił do pracy z całym zapalem, pilnością a także zamiłowaniem do nowych obowiązków. Chciał okazać się godny powierzonego mu zadania i okazanego zaufania.

Obie ciotki także sumiennie pilnowały gospodarstwa domowego. Każda z nich otrzymała należną jej część spadku, czyli około trzydziestu trzech tysięcy marek, które zdeponowały w Deutsche Bank. Nie była to już suma, którą można by nazwać groszem na ciężką godzinę. Nigdy, przez całe swe życie, nie były tak bogate.

Gerd zapowiedział, że musi odszukać miejsce pobytu Martiny, by ją zawiadomić, że przypadająca jej część spadku zdeponowana jest w banku.

Minęły miesiące od czasu, gdy dyrektor Boolkman zakupił dla Jana van Kossum posiadłość Rainau. Sam bankier się nie pokazywał, ale zawiadomił Gerda, że mijnheer van Kossum

zmarł i że wdowa po nim przybędzie do Holandii, skąd uda się do Niemiec, by poznać swą nową posiadłość.

— Wkrótce możemy spodziewać się tutaj właścicielki Rainau, mevrouw van Kossum. — Powiedział Gerd swoim ciotkom po otrzymaniu tej wiadomości. Obie starszki opanowała trwoga. Miały wystraszone i zmartwione miny i spoglądały z niepokojem na Gerda.

— Jeśli nas wyrzuci z Rainau, Gerdzie? Co wtedy? Znow zacznie się niepewność, a może nędza i tułaczka.

Popatrzał na nie w zamyśleniu. — Nie jest to, co prawda, wykluczone, mimo że dyrektor Bookman zapewniał, że właściciel wyraził zgodę na naszą dalszą pracę i zamieszkiwanie w majątku. Cóż musimy poczekać, aż mevrouw van Kossum coś postanowi.

Obie starsze kobiety westchnęły. — I tak znow żyjemy w strachu — powiedziała ciotka Helena.

Przesunął ręką po czole i spojrzał na nie. Przez chwilę walczył sam z sobą, lecz zwyciężyła w końcu dobroć serca.

— Ostatecznie, jako rządcą majątku mogę żądać, by zatrzymać przy sobie swą rodzinę. Porozmawiam z mevrouw van Kossum. Jeśli nie będzie chciała, abyśmy mieszkali tu, w tym głównym budynku, zaproponuję jej, że wyremontuję pierwsze piętro w starym budynku administracyjnym. Tam są cztery pokoje. Będzie się ciociom, mimo wszystko, lepiej tam mieszkało, aniżeli w jakimś ciasnym miejskim mieszkaniu.

— Gerd, chciałbyś to dla nas zrobić? Zatrzymałbyś nas przy sobie? — pytały z niedowierzaniem.

Śmiał się. — A cóż mogę zrobić? Zostawić was własnemu losowi?

Połykały łzy ze wzruszenia. — Ach, Gerd... to jest... to jest doprawdy ogromnie pocziwe z twojej strony. Wiemy przecież, że niechętnie z nami zamieszkałeś.

Roześmiał się ponownie: — Człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego — nawet do dwóch ciotek, którym dawniej najchętniej schodził z drogi. Poza tym moje ciotki zmieniły się bardzo na korzyść — zażartował dobrodusznie.

— No, tak, ale jeśli... jeśli któregoś dnia się ożenisz? — spytała niepewnie ciotka Melania.

Osunął czapkę z czoła i trzasnął szpicrutą o cholewę buta.

— Jak na razie nie zanosi się na to. Nie mam czasu, by chodzić w konkury. Poza tym czasy są na zakładanie rodziny niekorzystne. Ale pożyjemy, zobaczymy, przyjdzie pora, przyj-

dzie rada. Wszystko samo się ułoży. Dopóki będę miał choćby jeden pokój dla siebie, gdzie mogę czuć się swobodnie, jakoś wszystko wytrzymam. Chodzi tylko o to, czy ciocie wytrzymają z waszym upartym siostrzeńcem.

— Ależ, Gerd, jesteś teraz taki dobry. Nigdy ci tego nie zapomnimy! — zapewniała Helena.

— Nie, na pewno nigdy, jesteście ci wielce wdzięczne! — dodała Melania.

Zaprzeczył ruchem ręki. — O Boże, tylko bez hymnów dziękczynnych, bo mam ochotę uciekać. Ja tego doprawdy nie wymagam. Nie robię niczego, absolutnie niczego dla was, wszystko jedynie dla własnej przyjemności. I dlatego absolutnie nie oczekuję podziękowań. Tak więc nie martwmy się na zapas. Oczekajmy przede wszystkim, aż przyjedzie mevrouw van Kossum, a ja z nią porozmawiam. Postarajcie się tylko, byście były tu rzeczywiście przydatne. To będzie największą gwarancją, że uzyskam zgodę na dalszy wasz pobyt. A teraz życzę dobrego dnia, muszę wyjechać w pole. — Zakończył i wybiegł szybko, dosiadł konia i odjechał kłusem.

Mijały miesiące wyteżonej pracy. Rozpoczęły się sianokosy i wszystko wróżyło dobre zbiory. Gerd niewiele miał teraz wolnych chwil, w domu przebywał tylko w czasie głównych posiłków. Wieczorem padał ze zmęczenia i przesypiał noc bez marzeń sennych aż do rana, by znów rozpocząć kolejny dzień ciężkiej pracy.

Z końcem czerwca nadszedł telegram od dyrektora Boolkmana:

Przyjeżdżam jutro z właścicielką. Proszę o bryczkę na dworzec.

Boolkman

Następnego dnia była sobota. Był to dzień wypłaty i Gerd miał szczególnie dużo pracy. Tego dnia wypłacił ludzi już w południe i dał im od godziny czwartej wolne. Mieli uroczyście witać swoją panią. Zamierzał osobiście wyjechać na dworzec, ale nie zdążył ze wszystkimi obowiązkami.

Powóz myśliwski już wcześniej kazał doprowadzić do porządku. Siedzenia miały nowe obicia i prezentowały się całkiem przyzwoicie, tak jak wszystko zresztą w całym majątku. Gerd wysłał na dworzec woźnicę.

Ciotki pracowały gorączkowo. Wszystko winno przecież świecić i błyszczeć jak na wielkie święto. Zdążyły jeszcze ubrać swe czarne suknie z jedwabiu, Gerd zaś zmienić ubranie i wyjść przed dom, gdy powóz z jego nową panią właśnie podjechał.

Gerd stał na szerokich schodach przed wejściem. Wyglądał okazale i imponująco. Gdy powóz zatrzymał się, podbiegł, by otworzyć drzwiczki i pomóc mevrouw van Kossum przy wysiadaniu. W pierwszym momencie dostrzegł tylko, że nowa właścicielka to szczupła kobieta w czerni, która na jego widok uniosła się w wozie i pozwoliła sobie pomóc. Jej twarz skrywała gęsta, czarna woalka, pod którą nie mógł zobaczyć z trudem powstrzymywanego wzruszenia. Gerd skłonił się i wówczas woalka damy w żałobie została odrzucona na kapelusz.

Młody Volmar i Martina stali naprzeciw siebie. Patrzyli sobie w oczy. Martina musiała zebrać wszystkie siły, by się nie zdradzić. Zmusiła się do zachowania spokoju, nie mogła jedynie powstrzymać nagłego rumieńca który pojawił się na jej twarzy pod spojrzeniem Gerda.

Ten zaś stał jak urzeczony i wpatrywał się w tę młodą, piękną twarzyczkę, w której błyszczało dwoje jasnych oczu.

Przez chwilę żadne z nich nie znajdowało słów. Martina walczyła ze wzruszeniem, a Gerd nie mógł się opanować, gdyż mevrouw van Kossum w rzeczywistości nie odpowiadała obrazowi, jaki sobie w wyobraźni stworzył. Tak pięknej i tak młodej dziedziczki nie spodziewał się. Było jeszcze coś w jej twarzy, co go szczególnie przejmowało, coś czego nie potrafił rozeznaczyć. Nie przypuszczał, że stoi przed nim jego kuzynka Martina, ale wyczuwał bliskość młodej damy. Stale jeszcze nie mógł wydobyć z siebie słowa, gdy odezwał się dyrektor Bolkman, wrywając ich z zamyślenia.

— Mevrouw van Kossum, to jest pan Gerd Volmar, pani rządca. A to panny Dornberg, ciotki pana Volmara. Dotychczas obie sprawowały nadzór nad gospodarstwem domowym.

Obie starsze panie zbliżyły się, a z całej wypowiedzi dyrektora Bolkmana uchwyciły jedynie słowo „dotychczas”. Dla nich zabrzmiało to jak przepowiednia zwolnienia z obowiązków i musiały usilnie walczyć ze sobą, by nie okazać zdenerwowania. Wręczyły młodej pani na powitanie kwiaty i wyjąkały kilka słów. Mimo starań, usta im drżały, a w oczach widać było strach.

Martina zawahała się lekko, lecz zaraz potem przyjęła kwiaty.

Gerd opanował się wreszcie. Wprawdzie wzrok nadal miał utkwiony w Martinie, ale mógł już mówić: — Wszyscy witamy serdecznie szanowną panią w jej nowej posiadłości i

przrzekamy wykonywać nasze powinności oraz zawsze wiernie jej służyć — powiedział kłaniając się.

Martina podała mu rękę, którą on z szacunkiem pocałował, zdziwiony nieco, że dłoń ta lekko drżała.

— Dziękuję panu, panie rządcu, a ze swej strony obiecuję, że dobro moich pracowników będzie mi zawsze bliskie.

— Pani mówi po niemiecku, łaskawa pani? — zapytał ucieszony Gerd.

— Tak, panie rządcu, wygodniej będzie rozmawiać w języku niemieckim — odpowiedziała wymijająco.

Gerd zwrócił się teraz do zgromadzonej i stojącej nieco w głębi służby.

— Oto pani van Kossum, nasza nowa dziedziczka!

— Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje nasza nowa pani! — wołali ludzie, ujęci miłą powierzchownością Martiny, która teraz dopiero rozejrzała się wokół, skinęła głową i uśmiechnęła się. Tym uśmiechem witała wszystkich przybyłych. Jakież to wszystko dziwne, tu czas jakby się zatrzymał, wszystko było jak dawniej: drzewa tylko trochę urosły, dworek wydawał się za to mniejszy, a twarze ciotek jeszcze bardziej postarzałe, poza tym jednak, wszystko jak dawniej. Tylko ona była już kimś innym. Ciotki patrzyły na nią serdecznie, niemal poddańczo, a Gerd — Gerd był dojrzałym mężczyzną — przystojnym i szarmanckim.

Teraz skłonił się przed nią i wytwornie podał ramię, by poprowadzić ją do domu. Idąc obok siebie przekroczyli próg. Bukiet w rękach Martiny ożywiał czerń jej sukienki. Szła obok Gerda jak we śnie, serce jej biło, gdy spoglądała na jego regularny profil. Miała ochotę powiedzieć: — Nie poznajesz mnie, Gerdzie? — lecz nie wypowiedziała tych słów. Nie, nie poznał jej, i ciotki też nie poznały.

Gerd wprowadził ją do służącego odświętowanym salonu. Było to jedyne w Rainau pomieszczenie, w którym znajdowało się kilka okazałych mebli. Poprzedni właściciel był bowiem zmuszony z biegiem lat, wyprzedać najlepsze. Wiele pokoi stało po prostu pustych, na szczęście kilka zachowało starą świetność. Ten salon Martina знаła z dawnych lat. Wolno było jej niekiedy stanąć tam w progu, gdy matka właśnie tam sprzątała. Teraz wprowadzono ją uroczyście do tego pomieszczenia. Ją, którą dawniej zaledwie tolerowano w tym domu, a która teraz przybyła tu jako pani, jako dziedziczka. Zawdzięczam to tobie, wujku Janie, tylko tobie, powiedziała sama do siebie i przekazała kwiaty od ciotek Jamie, która budząc powszechną ciekawość szła krok w krok za swoją panią.

— Zanieś kwiaty do moich pokoi, które ci tu wskażą, Jamo — powiedziała po malajsku, a zwracając się do Gerda w języku niemieckim rzekła:

— Proszę polecić, by moją służącą zaprowadzono do moich pokoi.

Polecenie zostało wykonane, a Martina, Gerd, Boolkman i obie ciotki zasiedli wokół okrągłego stołu na nieco twardych, niewygodnych krzesłach. Martinę opadły dawne wspomnienia i musiała się bardzo pilnować, by się nie zdradzić. Dyrektor Boolkman na przykład nadal nie wiedział, że Martina jest z domu Dornberg i że pochodzi z Rainau. Rozmowę podtrzymywał Gerd, ale i on, mimo pozornej swobody, zmagał się z niepojętą nieśmiałością i jeszcze innym uczuciem, którego nie potrafiłby nazwać i które zawładnęło nim, gdy pierwszy raz spojrzął w oczy Martiny.

Boolkman opowiedział, że mevrouw van Kossum zaledwie przed kilkoma tygodniami przybyła do Amsterdamu, że podróż odbyła z małżeństwem Gouldów i pokojówką Jamą, że potem zamieszkała w starym rodzinnym domu męża w Amsterdamie, gdzie była oczekiwana przez dwoje starych służących. Nie omieszkał też wspomnieć, że Gouldowie, którzy byli gośćmi Martiny przez kilka dni, namawiali ją, by pojechała z nimi na wypoczynek do Scheveningen, lecz ona odmówiła.

W tym momencie Gerd wtrącił, zwracając się do Martiny: — Mamy nadzieję, że zrobi nam pani ten zaszczyt i zechce łaskawa pani, dłużej zostać w Rainau.

— Chciałabym pozostać tu przez całe lato aż do jesieni — odrzekła z uśmiechem Martina.

Dlaczego przy tych słowach oczy Gerda zajaśniały? — sam nie wiedział. Czy cieszył się, że nowa właścicielka zostanie tak długo? A jeśli, to dlaczego? Miał uczucie, jakby ta zapowiedź była szczególnym darem od młodej pani.

— To dla nas wielka radość, łaskawa pani — odparł — ale konieczne będzie stworzenie z tej okazji lepszych warunków w tym domu. Pokoje, z wyjątkiem tego jednego są urządzone bardzo skromnie, a szereg stoi zupełnie pustych. Przyzwyczajonej do wszelkich dostatków damie takie wyposażenie mogłoby nie wystarczać. Należałoby także nabyć powóz, gdyż ten prymitywny pojazd myśliwski, którym przyjechała pani tu z dworca, jest jedynym, który posiadamy do przewozu osób.

Martina panowała już całkowicie nad sobą.

— To jest wszystko do załatwienia. Później obejrzę pokoje. Można je przecież urządzić całkiem na nowo. Do tego czasu poradzę sobie. Jakiś pojazd mógłby pan przecież dla mnie nabyć?

— Oczywiście, łaskawa pani, wystarczy, by pani zdecydowała, co mam zakupić.

— Sądzę, że samochód byłby najstosowniejszy. Co pan o tym sądzi, panie dyrektorze?

Dyrektor Bookman skinął głową. — Niewątpliwie pan Volmar zapewne dokona właściwego wyboru ładnego, eleganckiego auta. A może zechce pani osobiście udać się z nim razem do miasta.

— No dobrze, wszystko się jakoś ułoży. Jakiś pokój, w którym mogłabym zamieszkać, nim pozostałe zostaną urządzone, znajdzie się przecież? — zapytała Martina.

— Oczywiście, łaskawa pani, pokoje po mojej matce są całkiem przyjemnie urządzone, poleciłabym je pani. Zresztą kazałam je właśnie na razie dla pani przygotować. Ale cały dom od piwnic po poddasze jest uporządkowany. Ja i moja siostra zadbałyśmy o to, by wszędzie było absolutnie czysto — ośmieliła się wtrącić ciotka Melania.

Mimo woli Martina uśmiechnęła się. Tak, z tego były jej obie ciotki znane. Pyłek kurzu w ich pobliżu był nie do pomyślenia. Coś jakby uraza z przeszłości odezwała się w niej w pierwszej chwili, lecz podobnie jak Gerd zapomniała o swych żalach wobec tych kobiet, o zatroškanych, zaciętych twarzach. Obudziło się w niej nawet współczucie. Było jej nawet żal, że popadły w służebną zależność od niej. Istotnie — los był sędzią nieprzekupnym.

— Dziękuję paniom, że dopilnowałyście wszystkiego. Zatrąszczę się o to, byście w przyszłości zwolnione były z takich obowiązków — odpowiedziała spokojnie.

Obie ciotki spojrzały po sobie z przerażeniem. To miało niewątpliwie znaczyć, że pani van Kossum nie chce zatrzymać ich dłużej w Rainau. Gerd odebrał te słowa tak samo. Postanowił więc prosić panią van Kossum, by zezwoliła mu zatrzymać obie ciotki przy sobie. Tylko Martina nie zorientowała się, jak rozumiano jej słowa. Zapytała jeszcze o kilka szczegółów, po czym poprosiła, by zaprowadzono ją do jej pokoi, chciała bowiem odpocząć i przebrać się. Ciotka Helena zaprowadziła ją na pierwsze piętro, podczas gdy mijnheer Bookman i Gerd udali się do gabinetu, by omówić to i owo.

Gdy zostali sami, Bookman powiedział z uśmiechem:

— Niewątpliwie był pan tak samo zaskoczony jak i ja tym, że mevrouw van Kossum jest tak młodą damą. I ja wyobrażałem sobie, że jest znacznie starsza, gdyż mój przyjaciel van Kos-

sum był mężczyzną w wieku pięćdziesięciu lat. Pisał mi co prawda o swej młodej żonie, mimo to spodziewałem się zobaczyć kobietę, powiedzmy, trzydziestokilkuletnią.

Gerd spojrział na niego niepewnie. Czyżby to było to, co w tak dziwny sposób na niego podziałało, gdy ujrzał panią van Kossum? Czyżby była to tylko jej młodość, która wytrąciła go całkiem z równowagi? Jej młodość na pewno, ale także jej uroda. I jeszcze coś, czego nie potrafił określić. W każdym bądź razie, miał wrażenie, jakby spotkanie z panią van Kossum było zdarzeniem o szczególnym dla niego znaczeniu. Nie mógł tego jednak ująć w słowa. Powiedział tylko: — Ma pan rację, panie dyrektorze, młody wiek mojej nowej chlebodawczyni zaskoczył także mnie. — Po tej wymianie uwag przeszli do interesów.

XVII

Tymczasem Martina oglądała pokoje swej zmarłej babki. Jakże często musiała tu kiedyś sprzątać, ścierać kurze i wysłuchiwać pretensji. Na te wspomnienia uśmiechnęła się smętnie. W wyobraźni widziała siebie, przemykającą się po tych pomieszczeniach; siebie, małą dziewczynkę z pilnością wielką wykonującą swe obowiązki w ciągłej obawie przed słowami nagany od ciotek. A teraz te właśnie ciotki obawiały się jej. Jakżeż zmienny jest ludzki los. Ona, Martina mogła teraz je gnębić, wziąć odwet. Nie, nie, tego nigdy nie będzie pragnęła. Mścić się na słabych istotach, które są od niej zależne? Nie — nigdy! — Nieważne, ile zła wyrządziły ciotki jej i jej matce, ona nie chce złem za zło odpłacać. Niegodna byłaby wówczas wielkiej, bezinteresownej miłości wujka Jana. Będzie starała się być szlachetna i wielkoduszna, tak jak uczył ją tego wuj Jan. Wujek Jan — drogi wujek Jan. „Wujku, jesteś przy mnie? A ty, moja kochana mamó, ty, wujku Georgu? Drodzy moi, miejcie mnie w opiece, bym była was godna”. Myślała Martina połykając łzy. „Wujku Janie, Gerd mnie nie rozpoznał. Ale patrzył na mnie tak dziwnie — tak dziwnie, że serce chciało mi wyskoczyć z piersi”.

Te rozmyślania przerwała Jama, którą na prośbę Martiny przysłała ciotka Helena.

— Jamo, chcę się przebrać. Czy kufry są wniesione?

— Nie, pani, są w pokoju obok.

— Idź więc, otwórz je i wyjmij mi świeżą suknię.

— Czy założy pani znowu czarną?

— Tak, teraz zawsze, Jamo. Jestem przecież w żałobie.

— Tak, ale w tym domu będziesz pani szczęśliwa.

Martina spojrzała ze zdziwieniem na swą pokojówkę. — Dlaczego? Skąd ci to przyszło do głowy?

— Tu jest piękny pan, o którym mówisz, że jest twym kuzynem, pani. On wprowadził cię do domu pod rękę. On patrzył na ciebie takim czułym spojrzeniem, pani.

Martina przestraszyła się. Jama wiedziała, że Gerd jest jej kuzynem. Ale zaraz zreflektowała się i zaśmiała ze swego strachu. Jama nie może niczego wypaplać, nie mówi przecież po niemiecku, a tu nikt nie rozumie ani słowa po malajsku.

— Miejmy nadzieję, że będziesz miała rację, Jamo.

— Nie możesz założyć białej sukni, pani?

Martina potrząsnęła głową. — Nie, Jamo, jeszcze długo nie. Wyjmij z kufra czarną suknię.

Pokojówka zniknęła w przyległym pokoju. Martinie przypomniało się, że opuszczała Rainau w czerni i że w czerni doń powraca. Wówczas nosiła żałobę po matce, dziś po wujku Janie.

Przebrała się szybko. Za pół godziny podawano herbatę. Ale była gotowa już po dziesięciu minutach. Miała jeszcze czas, by pobiec szybko na grób matki. Chciała się tam pomodlić. Sądziła, że ją to uspokoi. Nakazała Jamie rozpakować kufry. Dziewczyna uwijała się. Co prawda już od dłuższego czasu młoda Malajka ubierała się po europejsku, gdyż jej egzotyczne stroje wzbudzały zbyt wielkie zainteresowanie, ale poza tym pozostała w każdym calu tą samą służką, jaką była niegdyś.

Martina pobiegła schodami w dół na dwór. Nikogo nie napotkała. Z oddechem ulgi śpieszyła dobrze znaną drogą, aż do cichego zakątka pod kasztanowcami. Zobaczyła w rzędzie obok siebie cztery mogiły. Tam, gdzie spoczywała jej matka, leżało najwięcej świeżych kwiatów. Przyłożyła ręce do serca ze wzruszenia. „To Gerd! Gerd! Kochany Gerd, jakżeż ci dziękuję” — pomyślała. Stała tak przez chwilę, po czym ręką pogłaskała kamień. Popatrzała na pozostałe trzy groby. Tak więc tu spoczywali obok siebie ci, którzy w życiu byli sobie tak dalecy. Obok matki — ojciec, który nigdy nie miał dla niej jednego dobrego spojrzenia. Dalej nieczuły, nieustępliwy dziadek, którego zawsze tak bardzo się bała. Wreszcie babka, która przynajmniej na pożegnanie znalazła dla niej dobre słowo. Nigdy nie zapomniała tego marnego, ale przecież życzliwego odezwania. Pogłaskała raz jeszcze grób matki, myśląc jednocześnie o drogich jej grobach w Lahori.

„Mamo, są teraz przy tobie wuj Jan i wuj Georg i patrzycie wszyscy troje stamtąd z góry na mnie, pomóżcie mi wybierać dobro. Pomóżcie, bym nie była taka samotna. Chcecie przecież, wszyscy troje chcecie mego szczęścia. Pomóżcie mi więc je znaleźć. Tylko tu, w Rainau, mogę je znaleźć”. — Płakała.

Starając się opanować szła wolno w kierunku domu. Dochodząc w pobliże zauważyła Gerda, jak wychodził ze stajni. Doglądał tam chorego konia. Ujrzawszy ją, podszedł szybko. Wzrokiem objął całą jej postać.

— Wraca pani z parku? Chętnie byłbym służył łaskawej pani za przewodnika — zagadnął.

Uśmiechnęła się. — Chciałam tylko zaczerpnąć odrobinę świeżego powietrza i zażyć ruchu, panie rządcu. Ten park jest piękny.

— Tak, graniczy z lasem i kiedyś był chyba częścią lasu. Mój dziadek kazał go ogrodzić w czasach, kiedy w Rainau nie musiano się jeszcze liczyć z każdym groszem.

— Pański dziadek był poprzednim właścicielem Rainau?

— Tak, odziedziczył ten majątek po swoim stryju i sądził, że bez wysiłku będzie mógł żyć i używać bez końca. I dlatego stopniowo podupadało tu wszystko. Potem przyszły nieurodzaje, pomór bydła i inne niepowodzenia, których nikt początkowo nie brał poważnie, w każdym bądź razie, nie na tyle poważnie, by zacząć dbać o majątek, by oszczędzać i pracować. Wyciągano z Rainau, co się dało, w zamian nie czyniąc żadnych nakładów. I taka gospodarka doprowadziła do tego, że Rainau dostało się w cudze ręce. Oby pani dłonie były dla Rainau szczęśliwsze, łaskawa pani.

Westchnęła głęboko. — To leży w rękach Boga.

Spojrzał w jej poważną twarz i zauważył ślady łez. Zaniepokoiło go to.

— Poniosła pani dotkliwą stratę, łaskawa pani. Czy mogę złożyć pani wyrazy współczucia?

Łzy napłynęły jej do oczu. Poruszyło ją ciepłe brzmienie jego głosu.

— O tak, ogromnie dotkliwą stratę, umarli wszyscy, wszyscy, którzy byli mi kiedykolwiek drodzy i którzy należeli do mnie, wszyscy umarli. Jestem sama jedna na świecie.

Ogarnęło go głębokie współczucie. Jakżeż musiała ta kobieta kochać swego męża, choć był przecież od niej aż tak dużo starszy.

— Przebywała pani dłuższy czas w tropiku, prawda?

— Tak, wróciłam dopiero przed kilkoma tygodniami. Wyjechałam po śmierci wujka Jana. On tego sobie życzył.

— A więc straciła pani w krótkim czasie także wujka? Zarumieniła się nagle. Cicho odpowiedziała: — Tak, także wujka.

— To jest istotnie wielce smutne dla pani.

Potarła pośpiesznie czoło i odgarnęła swe złociste włosy, które tak bardzo podziwiał. — Zdaje się, że pańskie ciotki oczekują nas z herbatą — powiedziała wymijająco — nie chciałabym spóźnić się.

— Punktualność jest grzecznością królów. Ale nie spóźni się pani. Czy wolno mi łaskawą panią podprowadzić?

— Bardzo proszę.

— Jak podoba się pani jej nowa posiadłość na pierwszy rzut oka?

— Bardzo — tak, bardzo.

— Mam nadzieję, że zadomowi się pani szybko. Cieszę się, że chce pani zostać tu dłużej.

Podniosła na niego wzrok. — Cieszy to pana, naprawdę?

— Tak — odparł zdecydowanie.

— Dlaczego?

— Praca będzie mi sprawiała podwójną radość, gdy będę wykonywał ją pod pani okiem. Gdy się wie, dla kogo się pracuje, zyskuje się dodatkową motywację.

Uśmiechnęła się. — Ale chyba tylko wtedy, gdy pracuje się dla ludzi, którzy są sympatyczni.

— Tak, łaskawa pani — odpowiedział szczerze.

— Dyrektor Boolkman bardzo pana chwalił.

— To ogromnie miłe z jego strony.

— Och, on jest raczej sprawiedliwy aniżeli życzliwy. Jak by nie było, dziękuję panu, że zajął się pan tak ofiarnie moją posiadłością. Mam nadzieję, że będę mogła się odwdzięczyć.

— Otrzymuję godziwą zapłatę za moją pracę.

Uśmiechnęła się. Tak, to właśnie był cały Gerd — odmawiał jakichkolwiek podziękowań. Zauważyła to u niego jeszcze będąc dzieckiem. Gdy mu tylko chciano dziękować, stawał się szorstki, niechętny.

— Za pracę być może, ale nie za pańskie osobiste zaangażowanie. Niech się pan zgodzi na okazanie mu wdzięczności i da mi najszybciej okazję, bym słowa zamieniła w czyn.

Zatrzymał się nagle, stanął przed nią udaremniając jej jakikolwiek ruch. — Łaskawa pani, jeśli mówi pani poważnie, to taka okazja właśnie się nadarza. Proszę wybaczyć mi, że tak od razu łapię panią za słowo. Na ogół nie jest moim zwyczajem korzystać natychmiast z wdzięczności. Nie czynię tego zresztą dla siebie, chciałbym wyprosić u pani coś dla moich ciotek.

— Na pewno kocha pan bardzo swe ciotki? Wyprostował się i potrząsnął przecząco głową.

— Nie, nie chcę kłamać, wcale ich nie kocham, a nawet bywałem z nimi lata całe w wielkiej niezgodzie, gdyż... cóż, powiem to otwarcie, gdyż innej mej krewnej, którą bardzo kochałem i szanowałem, oraz jej małej córeczce wyrządziły wiele krzywdy. Niestety ciotki zatraciły serce, walcząc ustawicznie o byt, żyjąc w lęku o własny kawałek chleba. Ale teraz, gdy po śmierci dziadka utraciły prawo, by Rainau było ich domem, teraz gdy żyją w codziennym lęku i trosce, że któregoś dnia będą musiały stąd odejść nie wiedząc dokąd, zapomniałem o starych urazach. Nie mogę zostawić ich własnemu losowi, mogę im jedynie współczuć. I to jest powód, dla którego proszę, by się pani zgodziła na ich dalszy pobyt w Rainau. Będą na pewno starały się być użyteczne, a są naprawdę pracowite i solidne. A gdyby potrzebowała pani tych pokoi, które one zajmują — są to trzy pokoje na parterze — mógłbym bez większych nakładów przysposobić pierwsze piętro w starym budynku administracyjnym. Zrobiłbym to oczywiście na własny koszt. Kazałbym także przenieść tam jakieś niezbędne im sprzęty. W najgorszym wypadku i ja mogę się tam przenieść i zabrać je ze sobą. Są tam cztery puste pokoje, jakoś sobie poradzimy.

Martina słuchała ze spuszczonego wzrokiem. Nie chciała, by zauważył, co się z nią dzieje. Wzruszyło ją, że wstawiał się za nie lubianymi ciotkami. Nie była w stanie odpowiedzieć zaraz.

Gerd czekając na słowo od niej zbladł.

— Proszę wybaczyć, musiałem wydać się pani nachalny. Naprzykrzam się pani z moją prośbą. Proszę nie zapominać, że prosiłem w imieniu innych.

Podniosła na niego wzrok.

Drgnął patrząc w te oczy, piękne jak gwiazdy, które siały ku niemu swe promienie. Mylił się — czy też oczy te były pełne łez? Patrzył na nią z niepokojem.

Nieoczekiwanie podała mu rękę. — Czyż trzeba wybaczać, że ktoś w swej wspaniałości więcej myśli o innych niż o sobie samym? Proszę mi wierzyć — wiem, ile pana kosztowało wypowiedzenie tej prośby. Ale nie będzie to daremne. Niech pan powie swym ciot-

kom, że nie każe im opuścić Rainau. Nie muszą też na razie przenosić się do budynku administracyjnego, bo przede wszystkim trzeba go gruntownie wyremontować. O tym jeszcze zresztą pomówimy. Tymczasem pańskie ciotki a także i pan mogą zajmować dotychczasowe pomieszczenia. A poza tym nie pozwolę na to, by obie starsze panie pracowały tu jedynie za mieszkanie i wyżywienie. To byłoby niesprawiedliwe. Dyrektor Bookman chyba przeoczył to, by wypłacać im uposażenie. Muszę to nadrobić. Obie panie będą tyle zarabiać, by starczało im przynajmniej na osobiste potrzeby.

Odetchnął z ulgą.

— Jest pani niezwykle łaskawa i wyrozumiała, droga pani. To jest więcej niż mogły spodziewać się moje ciotki w swych najśmielszych marzeniach. One nawet na to nie zasłużyły! Ja zaś lituję się nad ich bezradnością. Cieszy mnie to, że mogę przekazać im tę dobrą wiadomość. A może chciałaby łaskawa pani sama im to powiedzieć?

Zaprzeczyła ruchem dłoni. — Nie, nie, bo ja tylko panu chciałam okazać wdzięczność. Proszę, niech pan sam im to powie.

— Dziękuję, łaskawa pani. I może pani być pewna, że moje ciotki postarają się pracowitością zasłużyć sobie na pani dobroć; zresztą są doprawdy bardzo gospodarne, co jednak nie umniejsza mojej wdzięczności. Łaskawa pani jest jeszcze tak młoda a już tak dojrzała w swej dobroci.

Zarumieniła się i lekki uśmiech przemknął przez jej twarz. — No, no, niech mnie pan nie zawstydzą, na to nie pozwolę. I proszę w mojej obecności nie mówić o tej sprawie z ciotkami. Nie chciałabym, by mi dziękowały.

Rozpromienił się. — Rozumiem, łaskawa pani, wysłuchiwanie podziękowań to sytuacja istotnie przykra. Ale mnie pozwoli pani podziękować sobie. Przyrzekam, że słowami nie będę się pani naprzykrzał, natomiast będę czynił wszystko dla pani dobra. Niech to będzie wyraz mojej wdzięczności.

Martine ścisnęło w gardle, zmusiła się jednak do spokoju.

— Przyznam się, że teraz chętnie napiłabym się herbaty — powiedziała, udając niewymuszoną wesołość.

Przeraził się. — Tysiąckroć przepraszam! Jak mogłem tak długo naprzykrzać się pani.

— W sprawach pańskich ciotek, oczywiście, a jest to duża różnica — powiedziała uśmiechając się figlarnie. A uśmiezek ten zachwycił go, a także przypomniał kogoś, jakby do-

brze znanego. Skąd znany był mu ten uśmiech, który pojawia się na tej poważnej, choć smutnej twarzy jak niespodziewany promień słońca? Nie mógł jednak dłużej o tym rozmyślać.

Wprowadził Martinę do jadalni, gdzie ciotki krzątały się już przy nakrywaniu stołu. Jednocześnie wszedł dyrektor Boolkman trzymając w ręku jakiś list.

Zasiedli do stołu.

Ciotka Melania upiekła ciasteczka, które były jej specjalnością. Podała je, ułożone w porcelanowym koszyczku, Martinie. To przywołało młodej wdowie pewne wspomnienie z lat dziecięcych. Takie same herbatniki były wtedy dla niej największym smakołykiem; lecz rzadko zdarzało się, by wolno było jej ich skosztować. Pamiętała, że któregoś dnia przybyła z wizytą ciocia Elżbieta, matka Gerda, i na stole stał ten właśnie koszyczek z herbatnikami. Częstowali się wszyscy z wyjątkiem Martiny i jej matki. Wzrokiem pełnym pożądania wpatrywała się, miała wówczas, w koszyczek z upragnionymi ciasteczkami, aż w końcu nie wytrzymała i sięgnęła po jedno. Dostała wtedy od ciotki Melanii po łapach. „To nie jest dla ciebie”, krzyczała ciotka, „masz chleb z masłem i jedz go!”

Martina poczerwieniała a i jej mamę oblał nagły rumieniec. Na szczęście ciocia Elżbieta — zawsze dobra i czuła ciocia Elżbieta — przełożyła swoje herbatniki na talerzyk Martiny i pogłaskała jej rączkę, dopiero co uderzoną przez ciotkę Melanię. Zamienimy się, Martino, ty dasz mi twój chleb z masłem, ja tobie ciasteczka, wolę chleb”.

Taka była właśnie ciocia Elżbieta, dobra i wspaniałomyślna. Zawsze ją bolała czyjaś krzywda.

Co też powiedziała ciotka Melania, gdyby wiedziała komu podaje teraz z tym przy-
milnym uśmiechem swoje ciasteczka? — pomyślała Martina, poczęstowała się jednak herbat-
nikami i pochwaliła ich smak. Czyż mogła wielkodusznością nie dorównywać Gerdowi?

Po podwieczorku dyrektor Boolkman zwrócił się do Gerda z propozycją omówienia kil-
ku spraw, ponieważ będzie musiał odjechać wieczornym pociągiem.

— Jestem do pańskiej dyspozycji, panie dyrektorze. Już w południe wypłaciłem moim
ludziom, jestem więc wolny.

— Świetnie! Z panią, mevrouw van Kossum zobaczę się jeszcze przed odjazdem. Jeśli
ma pani jakieś życzenia, proszę mi je przekazać.

Martina skinęła głową z uśmiechem. — Jeszcze się okaże, czy będę musiała korzystać z
pańskiej grzeczności. Wydaje mi się jednak, że nie będzie to konieczne. Mam nadzieję, że pan
Volmar będzie mi służył radą, gdy zaistnieje taka potrzeba.

— Z wielką przyjemnością, łaskawa pani. — Skłonił się Gerd.

— Proszę mnie jednak nie wyeliminować całkowicie, mevrouw van Kossum. — Wtrącił z uśmiechem dyrektor Boolkman.

— Ależ nie, będzie mi pan potrzebny w wielu sprawach. Ale bez potrzeby nie wolno mi przecież fatygować pana. Wiem, jak cenny jest pański czas.

— Jestem zawsze do pani dyspozycji po pierwsze dlatego, że obiecałem to memu przyjacielowi a pani mężowi; po drugie, że służenie pani radą i pomocą sprawia mi przyjemność.

Skłonił się nisko Martinie, po czym razem z Gerdem opuścili pokój.

Tak więc Martina została w pokoju z obiema ciotkami, które starały się usilnie nawiązać z nią konwersację. Poznać było, że Martina jawiła im się jako wyrocznia ich losu. Ona wyczuwała to doskonale i nie mogła powstrzymać lekkiego uśmiechu.

Role zmieniły się i ziściło się dziecięce marzenie Martiny, które jakżeż często ją nawiedzało, gdy obie ciotki dręczyły jej matkę. „Gdybym tak miała władzę nad nimi, gdybym mogła je ukarać!”, wołała częstokroć. W jej ręku spoczywała teraz władza, by się pomścić, lecz nie chciała z niej skorzystać. Wydawało jej się to niskie i podłe.

Pogawędziła jeszcze chwilę z obiema paniami o mało ważnych sprawach i wyszła mówiąc: — Chciałabym obejść jeszcze raz cały dom.

Obie panie podniosły się natychmiast. — Chętnie panią oprowadzimy, łaskawa pani.

Martina zaprzeczyła ruchem głowy. — Nie, nie, dziękuję paniom. Poradzę sobie sama, a zresztą nie chcę pań fatygować. Wolę rozejrzeć się sama, przemyślę od razu, które pokoje zechcę urządzić dla siebie od nowa.

Wyszła pośpiesznie.

Obie ciotki spoglądały po sobie z zatroskaniem. — Co będzie z nami, Heleno? Czy będziemy mogły tu zostać?

Helena z westchnieniem wzruszyła ramionami. — Sądzę, że powinniśmy pozostawić to Gerdowi, niech on wypyta ją w tej sprawie.

— Myślisz, że będzie o nas pamiętał?

— Obiecał przecież, a jak coś obieca, to dotrzymuje.

— Ale ma tyle innych spraw na głowie.

— Choćby nawet, o nas nie zapomni. Jest przecież taki dobry dla nas, Melanio.

— A jednak boję się, że po prostu z nas kpi, jak kiedyś, dawniej, gdy płatał nam figle.

Dręczy mnie ta myśl, że i tym razem może tak postępuje, że w końcu nas zawiedzie.

— Nie, nie, tego nie podejrzewam. Przecież wystarał nam się już o mały kapitalik i zrezygnował na naszą korzyść ze swej części spadku.

— To prawda, ale zrezygnował także na rzecz Martiny. A czy sądzisz, że wystarczyłaby jej czwarta część spadku? Z pewnością powodzi jej się lepiej niż nam.

— Na litość Boską, Melanio, oby tylko Gerd tego nie usłyszał, bo może się rozgniewać.

— Ależ nie, skąd, mówię to przecież tylko tobie. A co, może ty nie jesteś tego samego zdania?

— Oczywiście że tak, ale musimy być zadowolone z tego, co mamy. Kto wie, czy Martina jeszcze żyje. Jeśli nie, to jej udział tak czy tak przypadnie nam. Chętnie jednak zrezygnowałabym z niego, żebym tylko mogła tutaj zostać.

— Tak, mnie także bardziej na tym zależy.

Martina przechodziła tymczasem z jednego pokoju do drugiego. Niewiele się tu zmieniło. Pokoje trochę opustoszały, niektóre były całkiem puste. Wyprzedano meble. Tu była kiedyś część jej ojca, tam zaś dziadka. W tych z kolei ulokowały się wygodnie ciotki, uprzednio wypędziwszy jej matkę na poddasze.

Dotarła w końcu i tam. Weszła do małej mansardy, w której zmarła jej matka. Jasne promienie słońca wpadały przez małe okienko i kładły się na wąskie łóżko — łożo śmierci jej matki.

Martina przesunęła po nim dłonią drżącą ze wzruszenia. Lekki powiew dotknął jej czoła, jakby to ręce matki ją głaskały. Z oddechem ulgi rozejrzała się po pokoju, lecz nagle wzdrygnęła się. Spozrzegła, że zgromadzono tu najróżniejsze szpargały. W jednym kącie leżały stosy makulatury, obok puste puszki po konserwach i opróżnione butelki. W drugim kącie leżały stare worki, a obok stał duży pusty kosz. Pokój, w którym umarła matka, zamieniono na rupieciarnię.

Odczuła wielki ból zmieszany z gniewem. Pokój śmierci jej matki — śmietniskiem? Zapewne Gerd o tym nie wie — przecież by na to nie pozwolił! A może w ogóle nie wie, że jej matka tu, w tym pokoju na poddaszu zakończyła życie?

Była tak oburzona, że odżyła w niej dawna uraza do ciotek. Zaraz jutro każe usunąć stąd wszystkie te rupiecie. Ten pokój będzie wyglądał zupełnie inaczej! Najchętniej zbiegłaby zaraz na dół, by wydać polecenia i zaspokoić gniew. Tak, ale wówczas by się zdradziła. Przyłożyła dłonie do serca chcąc uśmierzyć dławiący ją ból, po czym przeszła do przyległego pokoju, w

którym ongiś mieszkała. Tu wyglądało podobnie; tu także zrobiono graciarnię. A przecież kiedyś dla niej i jej matki pomieszczenia te uznano za wystarczająco dobre do zamieszkania.

Z płonącymi policzkami podeszła do okna i wyglądnęła na zewnątrz. Widok tu z góry był przynajmniej cudowny. I właśnie ten wspaniały widok będzie pretekstem, by kazać te pokoje urządzić od nowa i wyposażyć we wszystko. Tu właśnie będą najpiękniejsze pokoje w całym domu i będą to jej ulubione pokoje.

Na dole w holu napotkała ciotkę Helenę, zmierzającą z pękiem kluczy do sutereny, gdzie mieściła się kuchnia i spiżarnia. Musiała przygotować jedzenie i zarządzić, jakie potrawy będą podane tego wieczoru na stół dziedziczki. Dogodnie jej było spotkać panią van Kossum.

— Chciałabym spytać, łaskawa pani, czy życzy pani sobie wieczorem ciepłe czy zimne dania i w ogóle jakie są pani życzenia odnośnie posiłków.

Martina musiała opanować gniew. Najchętniej kazałaby ciotce natychmiast wytłumaczyć się z tego, że pokój jej matki zamieniła w graciarnię. Powiedziała więc tylko oschle i powściągliwie:

— Wystarcza mi to, co sami tu jadacie.

— Och, jadamy tylko chleb czymś posmarowany, trochę owoców i pijemy herbatę. Jedyne zimną zaczynamy od ciepłej zupy.

— To i mnie wystarczy. Proszę nie robić sobie żadnego ambarasu. Gdybym kiedykolwiek miała szczególne życzenie, zapewne powiem o tym.

— A czego życzy sobie łaskawa pani na śniadanie?

— Śniadanie? To też nie jest ważne. We wszystkim dostosuję się do zwyczajów domu. Proszę jedynie o to, by mojej pokojówce Jamie podawano jedzenie do jej pokoju. Jest bardzo nieśmiała i nie mówi po niemiecku. Nie chciałabym, by inni służący tu dokuczali jej.

— Wszystko będzie według pani życzenia. Czy łaskawa pani rozejrzała się po domu?

— Tak, byłam we wszystkich pokojach i wyszukałam pomieszczenia, które chciałabym, by zostały na nowo urządzone. Meble, które tam są, mogą posłużyć do urządzenia pokoi zupełnie pustych. Będę chciała głównie urządzić środkowe pokoje na pierwszym piętrze, które pani dla mnie przygotowała, i ponadto dwa małe pokoje na poddaszu, służące obecnie za rupieciarnię, a kiedyś przeznaczone najwidoczniej dla służby. Oba pokoiki mają przepiękny widok, chciałabym urządzić je szczególnie przytulnie.

Ciotka Helena wiedziała natychmiast, o jakich pokojach mówi pani van Kossum. Gdy usłyszała słowa o pomieszczeniach dla służby, lekki rumieniec pojawił się na jej twarzy. Opanowała się jednak zaraz.

— Słusznie, łaskawa pani, wiem, o których pokojach pani mówi. Chce pani istotnie zająć te dwie mansardy? Tam na górze zazwyczaj mieszkała tylko służba.

W tym momencie nadeszła Melania.

— Melanio, łaskawa pani życzy sobie zająć także te dwa pokoiki na poddaszu.

Melania zmieszała się. — Na poddaszu? To znaczy, że nie wystarczają pani pokoje na pierwszym piętrze?

Martina wiedziała, skąd takie zmieszanie u ciotki Melanii. „Ona po prostu się boi, że zostanie przepędzona ze swych pokoi” — pomyślała. Gniew nie opuścił jeszcze dziewczyny, odparła więc krótko i ostro: — Nie, nie wystarczają. I odeszła szybko, zostawiając obie siostry w lęku i strachu.

Zaledwie weszła do swych pokoi, już żałowała, że wystraszyła obie ciotki. Miała ochotę wrócić do nich i uspokoić je, ale powstrzymała się. Nie, odrobinę muszą być ukarane. Niech żyją w lęku i obawie, czy znajdzie się dla nich jeszcze miejsce w Rainau, aż Gerd je z tego zwolni — postanowiła.

Pukanie Jamy całkowicie uspokoiło Martinę. — Pani, wypakowałam wszystkie twe rzeczy i poukładałam w szafach. Ale tu brakuje toaletki i pokoju kąpielowego. I dużo jeszcze brakuje, co ty będziesz potrzebowała, pani.

Martina odetchnęła, radośnie spojrzała na Jamę i uśmiechnęła się.

— To wszystko zostanie sprowadzone. Przez pierwszych kilka dni musi być tak jak jest. — Odpowiedziała na żale pokojówki, wzięła swój mały notesik, usiadła i zaczęła notować.

Spisywała wszystko, co było jej potrzebne. W domu mijnheer van Kossuma przyzwyczajona była do komfortu. Była też w tej miłej sytuacji, że mogła sobie na spory zbytek pozwolić. W swoim gabineciek ustawiała przywiezione z Lahori fotografie. Stały więc na biurku zdjęcia Jana van Kossuma, Georga Feldnera i Gerda Volmara. Ale teraz nie zwracała na nie uwagi. Siedziała przy okrągłym stole, ustawionym pośrodku pokoju, i zastanawiała się, co jeszcze jest jej niezbędne. Pytała też od czasu do czasu Jamę o radę.

Najlepiej chyba będzie, jeśli zamówi do Rainau specjalistę od urządzenia wnętrz, któremu przedstawi wszystkie swoje życzenia. Zamierzała poprosić Gerda, by sprowadził kogoś takiego.

Była jeszcze zajęta robieniem notatek, gdy któraś ze służących zameldowała, iż dyrektor Boolkman chciałby pożegnać łaskawą panią.

Zeszła na dół.

Boolkman stał w holu, gotów do drogi.

— Droga mevrouw van Kossum, muszę panią pożegnać. Ma pani życzenia bądź rozkazy dla mnie? — zapytał.

— Żadnych! Zostawił mi pan przecież książeczkę czekową, która jak czarodziejska księga spełni wszystkie moje życzenia. Poproszę tylko pana Volmara, by zamówił odpowiedniego specjalistę, któremu wyniszczę wszystkie me życzenia.

— Zatem nie potrzebuje pani na razie moich usług — uśmiechnął się bankier i zapytał — zostaje pani tutaj do jesieni?

— O tak, na pewno.

— Ale na zimę wróci pani do Amsterdamu?

— Na tak odległy czas nie chcę robić jeszcze żadnych planów. Ale z pewnością zobaczymy się znowu. A gdybym potrzebowała pańskiej rady, zwrócę się do pana z całą pewnością i z pełnym zaufaniem.

— Cieszy mnie to. Do widzenia, droga mevrouw van Kossum!

— Do widzenia, panie dyrektorze!

Gerd przysłuchiwał się tej rozmowie, bo właśnie odprowadzał dyrektora Boolkmana do powozu. Po jego odjeździe wrócił do holu, gdzie czekała nań Martina.

— Jeśli będzie pan miał później jeszcze pół godzinki czasu, proszę pana do siebie, do mojego salonu, panie rządco. Chciałabym jeszcze coś z panem omówić.

Skłonił się. — Przyjdę za kilka minut, łaskawa pani. Pozwoli pani, że najpierw zdejmę moim ciotkom wielki ciężar z serca. Nie zdążyłem jeszcze z nimi mówić.

Uśmiechnęła się. — Proszę to zrobić! Potem czekam na pana.

— Dziś i jutro jestem w pełni do pani dyspozycji, łaskawa pani. Od poniedziałku zaczyna się jednak znów praca, zbliżają się żniwa.

— Będę musiała wymodlić dobrą pogodę, by się panu nastrój nie popsuł!

— Tak, dobra pogoda równoznaczna jest dla rolnika z dobrym nastrojem. Z tym, że dla rolnika dobra pogoda to często dla innych właśnie zła pogoda. Zatem — proszę o kilka minut, wnet się u pani zamelduję.

Skinęła mu przyjaźnie głową i poszła schodami na górę. Patrzył za nią, aż zniknęła. Westchnął głęboko i ruszył w swoją stronę.

XVIII

Gerd wszedł do saloniku swoich ciotek. Melania siedziała przy oknie zajęta szyciem, a Helena zapisywała w kajecie potrzebne sprawunki, które należało w przyszłym tygodniu poczynić w mieście. Przez okno wpadały ostatnie promienie zachodzącego słońca. Obie natychmiast porzuciły swoje zajęcia i zwróciły się do siostrzeńca.

— Ach, Gerd, dobrze, że przychodzisz. Wyobraź sobie, pani van Kossum powiedziała nam, że nie wystarczą jej pokoje na pierwszym piętrze. Na pewno będziemy musiały się wynieść. Zastrzegła sobie już dwa pokoje na poddaszu, te gdzie dotychczas stały wszystkie graty i rupiecie.

Zaczął uważnie słuchać.

— Cóż to za pokoje?

— No, te dwa w środkowej części poddasza. W jednym mieszkała ostatnio Maria i tam też umarła, a w drugim Martina miała swoją sypialnię.

Gerd, który uprzednio usiadł, teraz poderwał się z fotela.

— Co takiego? Czy ja dobrze słyszę? Ciocia Maria i Martina mieszkały na poddaszu? Na górze razem ze służbą? W pomieszczeniach, które teraz służą za rupieciarnię?

Patrzyły na niego w zakłopotaniu. — Cóż, pokoi, które zajmowała wtedy Maria, kiedy żył jeszcze Rupert, potrzebowałam dla siebie, gdyż Helena chciała zająć dodatkowo moje dwa.

— Więc wy wpędziłyście żonę i córkę waszego brata jak służące na poddasze? I tam pozwoliłyście umierać biednej Marii? Same panoszyłyście się tutaj i każda musiała mieć dla siebie po cztery pokoje, podczas gdy biedna Maria musiała zadowolić się dwoma klitkami. Czy wam, na litość boską, nigdy nie przyszło do głowy, jak zgrzeszyłyście wobec tych dwóch niewinnych istot? Nie, to niemożliwe, niepojęte, ja... ja jestem tak oburzony, że słów mi brak. I to dla was upokorzyłem się przed panią van Kossum i prosiłem, abyście mogły pozostać w Rainau? Dobrze by się stało, gdyby was stąd przepędzono. Zasłużyłyście na to! Na nic innego! Na własnej skórze powinnyście odczuć całą gorycz życia i poniżenia, jakie zgotowałyście tej zanej kobiecie i jej biednemu dziecku. Takie okrucieństwo nie może ująć bezkarnie, nie da się o

tym zapomnieć. Zasłużyłyście na taki sam los, jaki z waszej winy spotkał Marię. — Krzychał wzburzony Gerd biegnąc po pokoju.

Patrzyły na niego wystraszone. — Ależ, Gerdzie, to ojciec tego chciał — powiedziała Melania bojaźliwie.

Spojrzał na nią ze złością. — Ojciec tego chciał? Tak, a wy cieszyłyście się, że na tym skorzystacie? Wszystkie wspomnienia we mnie odzywają, przypominam sobie, jak traktowałyście Marię i jej dziecko. I co, zacne niewiasty, nie pisnęłyście słowa w obronie tych dwóch odtrąconych? Pozwoliłyście na to, by słaba i bezbronna wasza bratowa żyła w izbie na poddaszu. Domyślam się, że nikt jej nawet nie podał szklanki wody, gdy chorowała. Musiałbym was nie znać, bym nie miał pewności, że pielęgnowanie chorej, w końcu waszej powinowatej, przerzuciłyście na małą Martinę. Istotnie, budujący przykład niewieściej dobroci i czułości. To, co teraz usłyszałem, odbiera mi chęć, by przekazać wam wiadomości, które dla was mam, dobre wiadomości. Pani van Kossum ma więcej współczucia i litości dla was aniżeli wy miałyście kiedykolwiek dla żony i dziecka waszego brata — zakończył.

Obie kobiety były załamane i wpatrywały się w niego z lękiem. Melania podniosła się. — Rozmawiałeś z panią van Kossum?

— Tak, to była pierwsza prośba, z jaką wystąpiłem. Prosiłem, by pozwoliła wam zostać w Rainau. Pojęcia nawet nie macie, ile mnie ta prośba kosztowała. Gdybym był wcześniej wiedział, gdybym do końca poznał wasze okrucieństwo, nie wypowiedziałbym tej prośby. Ale stało się. A więc, ta wielce dobra kobieta wyraża zgodę na wasze pozostanie w Rainau i to w tych pokojach, które teraz zajmujecie do czasu, aż nie pozostanie całkowicie wyremontowany stary budynek administracyjny. I nie tylko to. Ma zamiar wypłacać wam nawet stałą pensję za pracę. Tak wygląda nagroda za wasz brak serca! Nie, nie ma sprawiedliwości na świecie, gdyby była, musiałybyście teraz pakować rzeczy i zaznać podobnie okrutnego traktowania. — Wykrzykawszy cały swój żal i złość, Gerd wybiegł raptownie z pokoju, zatraskując ze złością za sobą drzwi.

Poszedł do Martiny. Przyjęła go w swoim salonie, do którego wprowadziła go Jama, jak zwykle uśmiechnięta.

Gdy tylko wszedł, Martina poznała, że usiłuje ukryć wzburzenie. Doskonale pamiętała tę pulsującą, błękitną żyłę na jego skroni, widoczną tylko w chwilach wielkiego zdenerwowania. Spojrzała pytającym wzrokiem, gdy się przed nią skłonił.

— Wygląda pan na zdenerwowanego, panie rządco?

Oddychał ciężko. — Zechce pani wybaczyć mi, że w takim stanie wpadam do pani pokoju. Usłyszałem właśnie od moich ciotek, że życzy pani sobie zająć dwa pokoje na poddaszu. Zatem pokoje na pierwszym piętrze nie wystarczają pani? Zechce pani więc zająć moje. W izbach na poddaszu ja mogę zamieszkać, aż będzie po remoncie, który jest w planie.

Martina przyglądała mu się bacznie. Co mogło go aż tak rozgniewać?

— Ale ja chciałam mieć te dwie mansardy dla siebie z uwagi na przepiękny widok, jaki roztacza się z ich okien.

W zdenerwowaniu przygryzał wargi. — Mimo to chciałbym prosić, by pani z tego zrezygnowała. Ja... ja właśnie dowiedziałem się, że w jednej z mansard umarła żona mego wujka, Ruperta. Ta informacja wyprowadziła mnie z równowagi. Ta kobieta była świętą, była męczennicą i ja... ja nic nie wiedziałem... Proszę wybaczyć, że się tu pani naprzykrzam z rodzinnymi sprawami. Jednak proszę jeszcze raz zająć moje pokoje, a mnie pozostawić owe dwie mansardy. Przekroczy pani granice dobroci nakładając na siebie pewne ograniczenia.

W ten sposób Martina dowiedziała się, że Gerd teraz dopiero poznał całą prawdę o losie jej matki. Widziała, że kipi z oburzenia. Miała ochotę paść mu w ramiona, objąć za szyję i powiedzieć: Gerdzie, kochany Gerdzie, wiem, że jesteś oburzony, iż pokoju mojej mamy nie uszanowano, i dziękuję ci, że nazwałeś ją świętą i męczennicą. Nie chciała się jednak zdradzić i nie zdradziła. Powiedziała tylko cicho:

— Myli się pan, panie Volmar, jeśli sądzi pan, że w czymkolwiek się ograniczam. Nie wykorzystam nawet wszystkich pokoi na pierwszym piętrze i tylko niektóre z nich każę wygodnie wyposażyć, bo — szczerze mówiąc — żaden z tych pokoi nie jest przytulny. Również na dole, w pokojach gościnnych, musi być to i owo zmienione. Niezależnie jednak od pańskich intencji, zamierzam urządzić obie mansardy dla siebie. Niech pan nie myśli, że jestem uparta, ale... taka możliwość jest dla mnie aż nazbyt kusząca, a zresztą, właśnie w tych pokojach będę najwięcej przebywała. Nie musi pan się obawiać, że w jakikolwiek sposób znieważę pokój, w którym zmarła pańska droga krewna... Wręcz przeciwnie, ja wiem, co to znaczy pamięć o drogich zmarłych i jak ją szanować.

Jej oczy były wilgotne, gdy to mówiła. Spojrzała na niego. Ta osoba była panu drogą istotą? — spytała niepewnym głosem.

— Bardzo drogą! Była człowiekiem, jakich niewiele na świecie, a również tak nieszczęśliwą, jak mało kto. — Zakończył cicho, bo nagle odczuł płynący z jej spojrzenia przyływ ciepła w sercu.

Była skrępowana; odwróciła od niego wzrok.

— Proszę, niech pan siada. Pańskie zdenerwowanie jest zrozumiałe, lecz nie należy przejmować się sprawami, które są już nieodwracalne. Powiedział pan swym ciotkom, że mogą pozostać?

Usiadł naprzeciw niej i zmusił się do spokoju. — Tak, łaskawa pani, poszedłem do nich, by przekazać im tę radosną wiadomość, ale... nieomal poniechałbym tego, słysząc o tych mansardach. — Przeciągnął ręką po czole. — Przyznam się, że mimo wrażenia, jakie ta historia na mnie zrobiła, przekazałem im radosną dla nich nowinę w sposób na pewno niezbyt miły. Ale, proszę panią, niech mi pani wybaczy, że odbiegam stale od tematu i poruszam sprawy osobiste. Pani wielkoduszność w stosunku do moich ciotek czyni mnie dozgonnym pani dłużnikiem. A teraz, do rzeczy, łaskawa pani.

Wiedziała dokładnie, co mogło dziać się z Gerdem, gdy rozmawiał z ciotkami. Niewątpliwie dał upust swemu gniewowi i ciotki musiały trochę prawdy z jego ust usłyszeć. Położyła teraz przed nim swój notatnik.

— Proszę spojrzeć — te przedmioty są dla mnie najniezbędniejsze. Niewątpliwie może mi pan polecić jakiś renomowany skład meblowy i sprowadzić stamtąd kogoś, z kim mogłabym wszystko omówić. Poza tym, chciałabym mieć jak najszybciej jakieś auto i w tym względzie polegam również na panu. Mam jeszcze dalsze życzenia, które chcę panu przedłożyć. Zechciałby pan notować?

Gerd skłonił się, wyciągnął swój notatnik i próbował pisać. Zauważył przy tym, że w jego piórze skończył się atrament. Wstał i skierował się w stronę biurka.

— Pozwoli pani, że posłużę się pani atramentem.

Gdy zbliżał się do biurka, nagle zatrzymał się, zaskoczony patrzył na trzy stojące na nim fotografie. Martina zauważyła jego zmieszanie. Wpatrywał się we własne zdjęcie. Ona zaś poczerwieniała i nie miała odwagi spojrzeć na niego. Teraz dopiero zauważyła, że Jama postawiła na biurku także zdjęcie Gerda.

Odwrócił się powoli ku niej. — Łaskawa pani, widzę na pani biurku moją fotografię. Sądzę, że przez omyłkę postawiły ją tu moje ciotki? Martina zdążyła się opanować.

— Ależ nie, to moja pokojówka, Jama, ją tu postawiła. Rozpakowała moje kufry i tam właśnie było pańskie zdjęcie. To jest to samo zdjęcie, które przesłał dyrektor Boolkman, wtedy gdy zatrudnialiśmy pana. Memu wujkowi... to znaczy, tak... mam na myśli mijnheer van Kosuma, podobało się to zdjęcie. Wydał mu się pan bardzo sympatyczny i mnie, cóż, mnie także.

Wzięłam to zdjęcie ze sobą, by móc pana rozpoznać, nie wiedziałam przecież, że dyrektor Bolkman będzie mi towarzyszył aż tutaj.

Gerd miał dziwne odczucie, zdawało mu się, jakby pani van Kossum była zażenowana. Sam, nieco speszony, powiedział:

— Pozwoli pani niewątpliwie, bym to zdjęcie teraz zabrał, byłoby to narzucaniem się, gdyby stało obok zdjęć pani najbliższych.

Martina niechętnie rozstała się z fotografią, ale że teraz mogła widzieć Gerda codziennie, nie wydała jej się ta strata zbyt wielka. Wiedziała doskonale, że nie może zatrzymać zdjęcia nie wzbudzając jednocześnie podejrzeń. Wyjęła je, pozornie spokojna, z ramki.

— Zwracam je panu i pięknie dziękuję. Pomogło mi przekonać się zawczasu, że rządca Rainau jest sympatyczną osobą.

Oczy mu zabłyśły, gdy odbierał zdjęcie. Ucałował jej dłoń.

— Czuję się dumny i szczęśliwy, słysząc od pani te słowa. Bolesne byłoby usłyszeć coś przeciwnego — rzekł i wzrok jego spoczął na pozostałych dwóch fotografiach.

Trochę zaniepokojona zastanawiała się Martina, czy Gerd nie rozpozna przypadkiem jej wujka Georga. Lecz ten zmienił się bardzo z biegiem lat, a poza tym Gerd mógł widzieć go, gdy sam był chłopcem. Powiedziała więc spokojnie:

— To są zdjęcia mojego wujka i Jana van Kossum. Przyglądał się z zainteresowaniem.

— To zdjęcia dwojga ludzi najbliższych pani? Powiedziała pani, że straciła oprócz męża także wujka. I to niedawno, prawda?

Martina posmutniała.

— Tak, padli ofiarą straszliwego wypadku na polowaniu — odparła cicho.

Przeraził go wielki ból widoczny w jej oczach.

— Och, przepraszam, dotknąłem czegoś, co jest dla pani bardzo bolesne — powiedział zmieszany.

— Opowiem panu, jak to się stało, że straciłam dwoje najbardziej kochanych ludzi. Nie będzie pan potem już musiał dotykać tych bolesnych spraw. — Rzekła niespodziewanie i opowiedziała mu w skrócie o owym nieszczęsnym polowaniu na tygrysa

Mówiła w wielkim podnieceniu, nieświadoma tego, że powinna mówić do Gerda jak do człowieka obcego. Wydawało jej się, że mówi do przyjaciela swych młodszych lat, któremu z pełnym zaufaniem mogła powierzyć wszystkie myśli.

Gerd słuchał jak we śnie, szczęśliwym śnie. Odczuwał cudowną słodycz, gdy to młode stworzenie powierzało mu wszystkie swe najbardziej osobiste przeżycia. Wyczuwał, że zapomniała do kogo mówi, podniecona wywołanymi wspomnieniami.

Przejęty i wzburzony, spoglądał co chwilę na twarz Jana van Kossum, uwiecznioną na fotografii.

— Cóż za szlachetny człowiek! Wierzę, łaskawa pani, iż był to dla pani straszliwy ból, gdy go pani straciła — rzekł cicho.

Zaszlochała raz jeszcze. — To był wspaniały człowiek. Patrzałam na niego jak na samego pana Boga. Każde jego słowo było dla mnie święte. Obu ich zresztą kochałam jednakowo... Po śmierci tych dwojga ludzi poczułam się bardzo uboga, niezależnie od całego bogactwa, które mam.

— I rodziców też już pani nie ma, łaskawa pani?

— Nie! — Wstała i dodała jeszcze: — Nie chcę już więcej mówić z panem o tych smutnych sprawach. Chciałam tylko, by pan miał wyobrażenie, ile znaczyli dla mnie ci dwaj mężczyźni, jak bardzo cierpiałam tracąc ich... i nadal jeszcze cierpię. Powinien pan również wiedzieć, że jedynie dobroci wujka Jana zawdzięczam, że jestem dziedziczką Rainau. Cały mój majątek zawdzięczam tylko jemu i dlatego starać się będę tak go używać, jak jemu by to się podobało. Chcę czynić dobro, tyle dobra, ile tylko będę potrafiła. Tylko w ten sposób okażę się godna jego miłości. Nie wydał mi żadnych zaleceń, nie stawiał żadnych warunków i tylko jedno jestem mu winna. Tylko jedno za wszystko, co on uczynił dla mnie.

Spojrzał na nią pytająco. — A to jedno...?

— Tego jednego nie jestem w stanie uczynić. To nie zależy ode mnie. Powiedział, że mam być szczęśliwa. Mówił, że odplacę mu za wszystko, jeśli znajdę wielkie, prawdziwe szczęście. I z tego może pan wnioskować, jak wielkoduszny był to człowiek.

— W takim razie życzę pani z całego serca, by mogła pani ten dług wdzięczności spłacić — powiedział do głębi wzruszony.

Lekki uśmiech pojawił się na jej twarzy.

— To zależy tylko od Boga.

Patrzył w jej twarz z podziwem. Nagle poderwał się, jakby musiał ujść jakiemuś niebezpiecznemu czarowi.

— Jestem wdzięczny z całego serca, że łaskawa pani uznała mnie za godnego jej zaufania. Nie wiem, czym sobie na to zasłużyłem.

— Powiem panu. Gdy wuj Jan zobaczył pana fotografię, powiedział, że jest przekonany, iż mogę panu we wszystkim zaufać. Wpatrywał się długo w pana twarz, a był dobrym znawcą ludzi. Dlatego ma pan moje całkowite zaufanie.

— Ja natomiast zapewniam panią, że nie ma dla mnie niczego, co byłoby godniejsze wszelkich wysiłków ponad okazanie się godnym pani zaufania. Cieszę się, że zostanie pani dłużej w Rainau. Będę miał okazję dać pani dowody mego oddania. Czy zamierza pani powrócić do tropiku? Przesunęła ręką po czole.

— Już nie na pobyt stały, co najwyżej na jakiś czas, by odwiedzić drogie mi groby.

— Przebywała pani w koloniach holenderskich?

— Tak, na Sumatrze.

Poruszył się zaskoczony tą odpowiedzią.

— Na Sumatrze? Czy jest tam dużo Niemców?

— Niewielu. Dlaczego pana to interesuje?

— Przed mniej więcej siedmioma laty wyjechała tam moja kuzynka wraz z wujkiem. Była to córka owej kobiety, która zmarła tam na górze, w tej mansardzie. Ta kobieta to nieszczęśliwa istota — dobra, piękna i godna miłości jak anioł. W tym domu jednak tolerowano ją zaledwie, ponieważ nie wniosła majątku, którego się po niej spodziewano. Powierzyła mi pani tak wiele szczegółów i spraw wielkich ze swego życia, że trudno mi powstrzymać się, by i pani czegoś nie zwierzyć. Ta biedna męczennica i jej mała córeczka spowodowały, że w mojej chłopięcej wówczas duszy obudziły się wszelkie rycerskie instynkty. Pragnąłem dokonać wielkich czynów, by wydobyć je z ich nędzy. Ale to mi się nie udało. A gdy byłem w wojsku, zmarła owa nieszczęśliwa istota — tam na poddaszu, o czym dowiedziałem się zresztą dopiero dzisiaj. Rozumie więc pani moje oburzenie. Jej małą córeczkę na szczęście, że tak powiem, zabrał brat jej matki. Byłem wówczas w garnizonie na służbie, słyszałem tylko, że wyjechała ze swym wujkiem na Sumatrę.

Martina słuchała uważnie tej opowieści. — I nigdy już niczego pan nie usłyszał o swej kuzynce?

— Nie, nigdy. Przed wyjazdem napisała mi krótki, wzruszający liścik pożegnalny, lecz gdy go otrzymałem, już jej tu nie było. Potem mieliśmy przecież wojnę, a więc było zupełnie niemożliwe, by jej szukać. Teraz jednak zależy mi na tym, by ją znaleźć, bo jest tu dla niej mały spadek.

— Ach tak, wiem od dyrektora Boolkmana, że zrezygnował pan na jej rzecz oraz na rzecz ciotek ze swej części spadku.

Zaczerwienił się. — Ależ to było zrozumiałe, że zrezygnowałem na rzecz trzech bezradnych kobiet. Jestem mężczyzną i sam poradzę sobie w życiu. Teraz, co prawda, mam nadzieję i życzę mojej małej kuzynce, by dzięki swemu wujkowi znalazła się w lepszych warunkach, nie mniej jednak taki mały kapitalik może jej się przydać. I dlatego właśnie chciałbym ją odszukać. Napisałem już do konsulatu niemieckiego na Sumatrze, ale potrwa na pewno długo, nim otrzymam odpowiedź. Jak pani sądzi, czy trudno będzie dowiedzieć się o miejscu pobytu wujka i kuzynki, jeśli przebywają jeszcze na Sumatrze?

Martina miała spuszczonego wzrok w czasie całej tej opowieści. Nie mogła przecież się zdradzić. — To jest na pewno możliwe, przecież nie ma tam wielu Niemców. Mam różne kontakty, jeśli zawiedzie konsulat, spróbuję odszukać pańską kuzynkę.

— Dziękuję, łaskawa pani.

Podniosła na niego wzrok. Popatrzała w szczególny sposób. Czyż jeszcze nie domyślał się, kogo miał przed sobą? Czowała, że coś się w nim dokonywało z jej powodu. Nie wiedziała tylko, co to było. Czy we wspomnieniach szukał właśnie jej?

Przeszła szybko do innego tematu. Zaczęła mówić o swych planach związanych z urządzeniem domu. Powiedziała też, że marzy o wierzchowcu, przydatnym w majątku wiejskim.

— Co prawda nie umiem jeździć konno, panie Volmar, ale chciałabym się tego nauczyć; mam zamiar od czasu do czasu zrobić objazd mej posiadłości na koniu. Wie pan, już będąc dzieckiem marzyłam o tym, by mieć własnego konia. Teraz mogę pozwolić sobie na spełnienie tego życzenia i zrobię to.

— Jeśli wyda pani takie polecenie, jak najszybciej rozejrzę się za odpowiednim koniem dla pani. A jeśli zechce mi pani zrobić zaszczyt, bym był pani instruktorem, rad temu będę bardzo.

— Zechciałby pan zadać sobie ten trud?

— Bardzo chętnie, będzie to dla mnie przyjemność.

— W takim razie przyjmuję pana propozycję. Nie mam już żadnych więcej życzeń na sercu i nie chcę dłużej pana zatrzymywać.

Spojrzał na zegarek. — Właśnie nadchodzi pora kolacji, czy życzy pani sobie spożywać posiłki sama?

Uśmiechnęła się. — Ależ to bardzo nudne. Przyjemnie mi się z panem rozmawia, jeśli to panu nie przeszkodzi w niczym, chętnie siadałabym do posiłków razem z panem. Pańskie ciotki towarzyszyć nam będą jako „przyzwoitki”. W ten sposób nie naruszymy granic tego co wypada.

Znów roześmiała się figlarnie, a on był tym śmiechem zachwycony. Jednocześnie opadły go wspomnienia, dawne, przymglone czasem, przyjemne wspomnienia. Miał ochotę uścisnąć ją z radości, bo teraz będzie mógł codziennie zasiadać razem z tą uroczą damą do stołu. Jakże tu będzie pięknie, jak zupełnie inaczej aniżeli było dotychczas, gdy siadał do stołu, by spożywać posiłki w smętnym towarzystwie ciotek.

— Będę starał się łaskawą panią bawić rozmową w czasie posiłków, jak tylko będę mógł, by nuda nie dręczyła pani za bardzo. Prawdą jest, że przebywanie na wsi czyni umysł może mniej lotnym, lecz pani obecność pobudzi mnie do wykazania wszelkich moich zdolności towarzyskich. Mam nadzieję, że pani nie rozczaruję.

— Z pewnością będzie miło. Jestem panu w ogóle wdzięczna za towarzystwo, bo przez czas żałoby pragnę żyć w osamotnieniu i tym samym zdana jestem wyłącznie na bywanie z panem i jego ciotkami.

Roześmiał się z chłopięcą swobodą. — Sprawę ciotek biorę na siebie. Czy wolno mi teraz zaprowadzić panią do stołu?

Spojrzała po sobie. — Nie, muszę chyba zmienić sukni?

Przesunął wzrokiem po jej wytwornej postaci. Czerń miękkiego jedwabiu podkreślała jeszcze bardziej złocisty odcień włosów i delikatną smagłość cery.

— Och, nie, tego pani naprawdę nie musi. Ja natomiast będę musiał w przyszłości przebierać się po powrocie z pola. Ciotki były w tym względzie bardzo pobłażliwe i zdaje mi się, że stałem się przez to bardzo nieokrzesany.

— A więc nie zaszkodzi, jeśli pan ten zwyczaj zmieni — powiedziała prowokująco, ujmując ramię Gerda.

Gerd szedł z przepełniającym go uczuciem radości obok tej pięknej kobiety. Weszli razem do jadalni. Ciotki już czekały. Były podniecone i zaczerwienione i wybiegły Martinie naprzeciw ze słowami wielkiej wdzięczności. Ona natomiast schroniła się za wielki fotel i patrzyła bezradna na Gerda. I ten właśnie pełen bezradności wzrok przywołał w Gerdzie odległe wspomnienia.

— Dajcie spokój pani van Kossum, nie cierpi podziękowań tak samo, jak ja. Wdzięczność możemy łaskawej pani okazać jedynie czynem — napomniął ciotki, które obie zasiadły przy stole wielce rozpromienione i raz po raz spoglądały na Gerda.

Gdy po kolacji zostały na chwilę same z siostrzeńcem, chwyciły go za ręce i prosiły, by wybaczył im kiedyś krzywdy wyrządzone Marii. Teraz dopiero rozumieją, lecz wtedy trapione troskami, zgorzkniałe, mówiły i czyniły rzeczy, których teraz żałują.

— Doprawdy, są rzeczy, których się nie da usprawiedliwić. Dobrze, niech więc będzie, że nie gniewam się już. Ale teraz proszę spełniać wszystkie życzenia, które można wyczytać w oczach pani van Kossum — rzekł gniewnie Gerd.

— Ależ, Gerdzie, oczywiste, że będziemy to czynić. Przecież jest naszą dobrodziejką, wybawicielką i chlebodawczynią.

— Przede wszystkim każcie zaraz jutro opróżnić i gruntownie posprzątać obie mansardy. Pani van Kossum obstaje przy zamiarze urządzenia ich dla siebie z uwagi na piękny widok z okien. Musimy szanować jej życzenia.

— Wszystko będzie według jej życzeń.

XIX

Następnego ranka Martina wybrała się znów do parku na grób matki. Tego dnia nie widziała jeszcze Gerda, wyjechał bowiem wcześniej w pole. Zaledwie doszła do grobu, gdy posłyszała parskanie konia w pobliskich krzakach. Obejrzała się i zobaczyła Gerda na koniu. I on spostrzegł ją natychmiast. Zeskoczył z konia, by ją pozdrowić.

— Dzień dobry, łaskawej pani. Tak wcześniej już w parku?

Uśmiechnęła się.

— Wcześniej? Spałam dziś długo, a pan od kilku godzin jest już na nogach.

— Tak, trzeba wcześniej wstawać, jeśli się chce, by wszystko przebiegało jak należy. Ale pani wybrała na swą poranną przechadzkę najsmutniejszy zakątek w całym parku. To tutaj — to prywatny cmentarz Dornbergów.

— Tak też myślałam. Przyglądam się właśnie tym mogiłam i pytam samą siebie, dlaczego jedna z nich jest szczególnie ukwiecona?

Gerd podszedł do grobu Marii Dornberg. — Jest to pewnego rodzaju akt sprawiedliwości, zadośćuczynienie za doznane krzywdy. Tu spoczywa bowiem ta biedna cierpiętница, o któ-

rej wczoraj pani opowiadałem. Gdy po wojnie wróciłem do Rainau, zastałem ten grób całkowicie zaniedbany. Moje ciotki do tego doprowadziły, że zapadł się i zarósł chwastami. Kazałem od nowa usypać mogiłę i obsadzić ją bluszczem, potem przynosiłem i nadal przynoszę stale świeże kwiaty. Kochałem bardzo tę biedną istotę, a także matka moja kochała ją jak rodzoną siostrę. Właśnie dlatego, że przez lata grób ten traktowany był po macoszemu, chcę, by teraz był najpiękniejszy.

Martina chwyciła go gwałtownie za rękę. — Jest pan bardzo dobrym człowiekiem. Proszę, niech pan pozwoli mi włączyć się do opieki nad tym grobem. Albo też proszę od dziś tę opiekę całkowicie powierzyć mnie. Mam więcej czasu od pana i będę robiła to bardzo chętnie.

— W pani jest tyle dobroci, na ile mnie nie byłoby stać.

— Nie, nie! Nie wolno panu tak mówić. Niechże pan pomyśli, że mam dwie mogiły w dalekim kraju, musiałam je opuścić i teraz cudze ręce o nie dbają. Troszcząc się o tę mogiłę w myślach będę czyniła to także tam, w tamtym dalekim kraju dla drogich mi zmarłych. Jest to potrzebą mego serca.

— W takim razie nie będę pani tego odmawiał, łaskawa pani. Nie jestem jednak pewien, czy takie częste przebywanie przy grobach dobrze na panią wpłynie.

— Ach, jest to cudowny, pełen spokoju skrawek ziemi, więc sprawi mi wielką przyjemność przebywanie tu, przynoszenie kwiatów...

— Będzie pani miała zapewne zgrabniejszą rękę do tych czynności niż ja. Ja przecież starałem się jedynie przynosić tu tak dużo kwiatów, ile tylko mogłem objąć rękami. Robiłem to nie tylko dlatego, że spoczywa tam kochana osoba, ale także w wierze, że czynię to w myśl życzeń mojej małej kuzynki. Zapewne byłaby zasmucona widząc grób ten opuszczony i zaniedbany.

Martina odetchnęła głęboko.

— Ma pan rację, z pewnością czułaby się nieszczęśliwa. Wyobrażam sobie, że przez całe lata myślała w wielkim bólu o dalekim grobie swej matki. Może domyśla się jednak, że pan o ten grób dba.

— Ach, nie, ona nie przypuszcza, że jestem w Rainau.

— Wkrótce się o tym dowie, sama o to zadbam. Jeśli konsulat nie ustali miejsca jej pobytu, to ja to zrobię. Ale, ja tu pana zatrzymuję, a pan z pewnością jest po tej długiej jeździe głodny?

Śmiał się. — Ależ nie, coś przekąsiłem. A pani już była na śniadaniu?

— Oczywiście, ale za karę za długie spanie byłam sama.

— Gdybym był wiedział, pośpieszyłbym się i jadłbym drugie śniadanie w pani towarzystwie.

— Może uda się to innym razem — odpowiedziała wesoło, a Gerd pomyślał, że dobrze by się układało, gdyby wstawał jeszcze godzinę wcześniej niż zazwyczaj.

Szli obok siebie w kierunku domu. Martina poklepywała konia po szyi.

— Zleciłem już handlarzowi koni wyszukanie dla pani odpowiedniego wierzchowca.

— Cieszę się. Zamówię sobie też zaraz strój do jazdy konnej. O siodło niech już pan się zatroszczy.

Skłonił się. — Trzeba będzie pojechać do miasta w sprawie samochodu, przy okazji można będzie kupić też siodło. A właściciela składu mebli już umówiłem, przybędzie lada dzień.

Już po kilku dniach zaczęła się ożywiona krzątanina w całym domostwie. Przybył właściciel jednego z wielkich składów meblowych i omówił szczegóły z panią van Kossum. Przyjął zamówienia i obiecał jak najszybszą ich realizację.

Prace postępowały szybko naprzód. Tapicerzy, stolarze, malarze zrobili swoje. Wreszcie przywieziono nowe meble. Mimo pośpiechu, minęło kilka tygodni, nim wszystko było gotowe. Za to cały dom nabrał nowego wyglądu. Martina mieszkała teraz wytwornie i przytulnie. Nawet Jama wyraziła swe najwyższe uznanie, tym bardziej, że urządzono bardzo piękny pokój kąpielowy.

Obie mansardy przemieniono w zaciszne, miłe pomieszczenia. Tam, gdzie uprzednio stało łóżko Marii, stała teraz otomana z baldachimem, przykryta perską narzutą. Na ścianie nad otomaną wisiał kilim, a na nim krzyż. Podłogę pokrywał perski dywan, a przy oknie, skąd rozciągał się piękny widok, urządzono kącik do czytania. W tym też pokoju Martina zgromadziła wszystkie drogie jej pamiątki z Sumatry. Stały tam fotografie wujka Jana i wujka Georga, a w ozdobnej, małej witrynie różne inne drogie jej drobiazgi.

Przyległy pokój, niegdyś jej skromną sypialnię, kazała urządzić dokładnie tak, jak wyglądał jej buduar w Lahori.

Szafy w ścianach były białe, z barwnymi zasłonami, białe były też pozostałe mebelki. Na podłodze leżała mata.

— Pani, tu możesz wspominać Lahori — powiedziała Jama, gdy zobaczyła pokój. Tutaj też spędzała czas, gdy nie była potrzebna swej pani. Ubrana w swe malajskie stroje, kuciała na macie i nuciła melodie swego rodzimego kraju.

— I cóż, Jamo, widzę, że tęsknisz za swoją ojczyzną? — spytała Martina, zastając pokojówkę zadumaną.

Malajka podniosła wzrok na swą panią i uśmiechnęła się. — Moja ojczyzna jest tam, gdzie ty jesteś pani. Ale tu, w tym pokoju jest dla Jamy Lahori. Do tego Jama potrzebuje swój sarong i swoje piosenki.

Martina przytaknęła z uśmiechem. Jama była istotnie bardzo zadowolona, przesiadywała w tym pokoju w wolnych godzinach zajmując się robótkami ręcznymi, których nauczyła się w swej ojczyźnie.

Gerd był pełen podziwu, że z tych dwóch mansard powstało prawdziwe cudeńko. Dopóki trwały tam prace, Martina nie pozwalała mu zaglądać na poddasze, stąd zdziwienie jego i zachwyty były tym większe.

— Można by sądzić, że jest to mieszkanie wschodniej księżniczki — żartował.

— Nie podoba się panu?

— Ależ tak, jest urocze. Osiągnęła pani coś niezmiernie malowniczego. To marne poddasze jest nie do poznania. I jakże nastrojowy jest ten dekoracyjny baldachim i kobierzec z krzyżem.

Przytaknęła bardzo poważnie.

— I tak właśnie ma być. Nie należy zapomnieć, że w tym pokoju ostatnimi siłami walczyła o życie męczennica.

Razem oglądnęli także nowo urządzone pokoje na pierwszym piętrze. Tutaj dołączyły do nich ciotki, które również podziwiać chciały nowe meble. Natomiast pokoje na poddaszu były przed nimi zamknięte; tam Martina ich nie wpuściła. Klucze od obu pokoi nosiła stale przy sobie. Wolno było tam wchodzić tylko Jamie. I tylko ona doglądała tam porządku i sprzątała.

— Nie życzę sobie, by obce oczy oglądały te wnętrza — powiedziała Gerdowi.

— A moje oczy? Moim oczom wolno? — spytał.

— Tak, pan to co innego. Z pana strony nie obawiam się żadnej ciekawości, nieżyczliwej ciekawości — dodała patrząc na niego przenikliwie, aż się wzdrygnął.

Podziwiano więc pokoje Martiny na pierwszym piętrze, lecz te nie robiły na Gerdzie już takiego wrażenia, jak mansardy na górze.

— Potrzeba chyba czarodziejskiej różdżki, by powstało coś tak pięknego. — Powiedział tylko z uśmiechem.

— Jakiej czarodziejskiej różdżki? — zapytała.

Zaśmiał się. — Na zapłatę dziś za takie wyposażenie niemieckimi pieniędzmi może sobie pozwolić ktoś, kto na wojnie zrobił dobry interes. Różdżka, o której mówię i która umożliwiła pani zrealizowanie tych projektów bez specjalnych wyrzeczeń, to holenderska waluta. Gulden holenderski jest prawie tyle samo wart, co dolar amerykański.

— Ma pan rację, panie Volmar. Sama jestem zaskoczona wartością guldena. I można by zaiste smucić się ogromnie, biorąc pod uwagę, jak nieszczęśliwym, biednym krajem stały się Niemcy.

— Całego rozmiaru tej nędzy nie jest pani jednak — jako cudzoziemka — w stanie pojąć.

Odwróciła się pomału ku niemu. — Nie jestem cudzoziemką, panie Volmar, jestem Niemką.

Poderwał się nagle. — Pani jest Niemką? Stąd więc pani bezbłędna wymowa. Byłem przekonany, że jest pani Holenderką.

Potrząsnęła głową.

— Holenderką stałam się tylko przez małżeństwo. Z urodzenia jestem Niemką. A jeśli moje bogactwo sprawia mi jakąś radość, to głównie dlatego, że mam nadzieję dzięki niemu choćby trochę złagodzić tę nędzę. Wiem, co to nędza, z własnego doświadczenia.

Zaczerpnął powietrza. — Łaskawa pani... ja... ja cieszę się, że jest pani Niemką. Służyć pani będę z podwójną przyjemnością.

Uśmiechała się w zamyśleniu sama do siebie. Gerdzie, kochany Gerdzie, jesteś chyba zaślepiony, skoro jeszcze nie wiesz, kim jestem?

Odniósł wrażenie, jakby po tej rozmowie pani van Kossum była mu bliższa. Z dnia na dzień, od czasu jej przyjazdu do Rainau, stawała mu się droższa. Od dawna świadom był tego, że kocha ją jak nikogo dotąd.

Tego wieczoru, gdy Volmar wracał do domu, usłyszał jak Martina gra na fortepianie *Pieśń bez słów* Mendelsohna, napisaną na duet. Był bardzo muzykalny, przystanął więc w holu, by posłuchać. Martina grała doskonale, z wielkim uczuciem. Poszedł, spiesząc się do siebie, by się przebrać. Gdy wrócił do holu, właśnie wychodziła z pokoju.

— Podśluchiwałem, łaskawa pani. To rzadka przyjemność słuchać znów dobrej muzyki. Życzyłbym sobie takiej możliwości, by móc od czasu do czasu posłuchać, jak pani gra!

Uśmiechnęła się. — Może pan, o ile wymagania pańskie nie będą zbyt wysokie.

— Ależ pani gra zaspokoi najwyższe wymagania

— Och nie, to co umiem, nauczyłam się od wujka Jana. Miał talent wyjątkowy. Muzykowaliśmy w Lahori każdego wieczoru, wujek Jan akompaniował, a ja śpiewałam.

— Pani również śpiewa?

— Prawdę mówiąc tak, lecz nigdy nie pobierałam regularnych lekcji. Mam dobry słuch, kocham muzykę i dość znośny mezzosopran. To wszystko.

— Ależ to bardzo dużo. Cieszę się, że będą mógł od czasu do czasu posłuchać pani. Fortepian ma piękny dźwięk, a mnie w Rainau najbardziej brakowało właśnie muzyki.

— Będę zatem musiała niekiedy zaprosić pana na mały koncert. Po kolacji coś panu zagram.

— Łaskawość pani jest wyjątkowa.

— Pan z pewnością jest też muzykalny? Mam na myśli nie tylko słuchanie, ale i grę. — Zapytała wiedząc doskonale, że Gerd świetnie gra na fortepianie.

Odpowiedział śmiejąc się. — Dawniej grałem często i chętnie. Ale od czasu wojny po prostu skończyło się. Na froncie było to niemożliwe fizycznie, a po powrocie do Rainau nie zastałem tu instrumentu. Tak więc straciłem wprawę. Nie mam pojęcia, czy potrafiłbym jeszcze uderzyć prawidłowy akord.

— O, to będzie pan musiał spróbować jeszcze dziś wieczór. Odetchnął i spojrzał w jej piękne oczy.

— Bardzo tego pragnę, jeśli pani pozwoli. Fortepian miał doprawdy cudowne brzmienie, to wspaniały instrument.

— Doskonale, zatem zagramy sobie coś nawzajem, a pańskie ciotki będą musiały to wytrzymać.

Roześmiał się szeroko. — Ciotki są absolutnie niemuzykalne, tak dalece, że najpiękniejszą muzykę odczuwają jak nieprzyjemny hałas. Ale to nas nie powstrzyma.

Weszli do jadalni. Stół nakryty był znacznie dostatniej niż dotychczas. Sprawiała to Martina, która też sama dbała o kwiaty na stół i sama zrywała owoce, które podawano na ozdobnych paterach.

Również osobiście układała jadłospis i zatrudniła kucharkę, by ciotki nie musiały gotować same. Wieczorem podawano teraz gorące potrawy. Czyniła to bardziej dla Gerda niż dla siebie samej. Uznała, że jak na tak wyteżoną pracę nie miał dotychczas wystarczającego pożywienia. Ciotki przyzwyczajone były do oszczędzania każdego jajka i każdego kawałka masła. Nie czyniąc wiele hałasu, Martina stopniowo zmieniała wszystko i teraz pojawiała się na stole lepsze jedzenie, aczkolwiek nie było w tym żadnej rozrzutności.

Gerdowi bardzo odpowiadały te zmiany, co zresztą otwarcie przyznawał. Ciotki również nie miały nic przeciw, by korzystać z lepszego jadła. Obie czuły się w ogóle znakomicie. Tak dobrze, jak teraz nie było im nigdy w życiu.

Po kolacji przeszli do pokoju, w którym był fortepian. Ciotki nie wzbraniały się przed uczestnictwem w tym muzykowaniu.

Martina zasiadła przy fortepianie i bez namysłu zagrała jedną z pieśni Mendelsohna. Nuty leżały jeszcze na fortepianie. Miała miękkie, głębokie uderzenie i wyczuwała każdy rodzaj muzyki.

Gerd siedział w fotelu opierając głowę na ręce. Nie odrywał wzroku od Martiny, która po skończeniu pieśni zagrała jeszcze „Allegro moderato” Schumanna. Potem wstała i rzekła: — Tak, teraz kolej na pana, panie Volmar.

Podszedł do niej i unosząc dłoń jej do ust powiedział: — Jest pani niezwykle uzdolniona, łaskawa pani.

Zaczerwieniła się pod jego spojrzeniem. — Proszę, tylko bez komplementów, panie Volmar, bo będę musiała prawić je także panu.

Gerd zasiadł do fortepianu.

— Sam jestem ciekaw, czy potrafię zagrać jeszcze jakąś melodię. Jeśli będę męczył pani uszy, proszę mi wybaczyć.

— Niech pan spróbuje, z pewnością się uda — powiedziała nie patrząc na niego.

— Co tu zagrać? — zastanawiał się.

Odwróciła się lekko bokiem. — Może zagra pan Menueta Boccheriniego. Zaskoczony, spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

— Skąd pani wie, że znam tego menueta? Istotnie jest to moja ulubiona melodia.

Wiedziała o tym doskonale. Spojrzała mu prosto w twarz. Była lekko zarumieniona, a w jej oczach błąkał się znów ten zagadkowy wyraz, który dawał mu tyle do myślenia.

— Słyszałam niedawno, jak gwizdał pan tę melodię — powiedziała spokojnie.

Uśmiechnął się beztrąsko. — Jakżeż przebiegle potrafią kobiety wykorzystać taki drobiazg. Zaskoczyła mnie pani. Cóż, spróbuję zagrać bez nut, jeśli oczywiście jeszcze potrafię.

I zagrał, lekko i naturalnie, właśnie tak, jak tę muzykę grać trzeba. Grał z niewymuszoną pewnością siebie, jakby dopiero co wczoraj siedział przy fortepianie.

Martina stała odwrócona tyłem przy oknie i wyglądała na dwór. Czy tam, za oknem nie tańczyła mała, szczupła osóbką, podtrzymując rąbek sukienki? I czy nie nadbiegał tam młodzieniec, który osóbkę tę w ramiona porywał i całował? Nie wymachiwał błękitną wstążką i nie chował jej teraz właśnie na sercu? Aż zostaniesz moją żoną, brzmiało jej w uszach. Przeraziła się. Tam, przy fortepianie właśnie wybrzmiał ostatni dźwięk. Odwróciła się z wolna i spojrzała płonącymi oczami na Gerda.

Siedział trzymając jeszcze ręce na klawiaturze, jakby w głębokim zamyśleniu. Dopiero gdy podeszła do niego, oprzytomniał.

— Proszę mi wybaczyć, myśli moje powędrowały właśnie gdzieś daleko w przeszłość. Tego menueta tańczyła przed laty moja mała kuzynka na łące. Było to urocze dziecko, pełne gracji. Przemykała po łące w swej białej sukieneczce, z fruującymi złocistymi warkoczami jak promyk słońca. To mi się właśnie przypomniało. Ciekawe, czasem jakaś melodia zapadnie w pamięć jak wielkie przeżycie. Miałem wrażenie, że gdy tak gram tę melodię, mała Martina chyba stanie w drzwiach i powie: „Jeszcze raz, Gerd! To taka cudna melodia, chcę tańczyć!” Ale proszę mi wybaczyć, że naprzykrzam się pani moimi wspomnieniami. Dziwne rzeczy się ze mną dzieją od czasu, jak pani jest w Rainau, nie wiem dlaczego, ale przy pani często myślę o mojej małej kuzynce. To zapewne stąd, że ona miała prawie tak samo jasnozłote włosy, jak pani, może tylko odrobinę jaśniejsze.

Odwróciła od niego wzrok. Nie, jeśli teraz jej nie rozpozna, to chyba już nigdy. Ale jak Gerd mógł przypuszczać, że jego kuzynka jest w Rainau i nie daje się poznać? Nie, to nie mogło przyjść mu do głowy.

Westchnęła. — Nie, nie naprzykrza mi się pan. Chętnie słucham, gdy mówi pan o swej kuzynce. A teraz chcę panu jednak powiedzieć komplement. Uroczo grał pan tego menueta. Wyobrażam sobie, że pańska mała Martina lubiła go tańczyć. Proszę, niech pan gra dalej, pan gra lepiej ode mnie. Może kiedyś zapomnę i będę mogła śpiewać przy pana akompaniamencie.

— Będzie to dla mnie zaszczytem i przyjemnością zarazem. Poza tym, tak wspaniały instrument pod palcami to rozkosz.

I Gerd grał dalej. Muzyką wypowiadając wszystko, czego słowami nazwać nie było mu wolno.

Wtuliła się w fotel i zasłoniła twarz dłonią, słuchając gry. Bez przerwy wpatrywała się w jego twarz, w tę męską, mocno zarysowaną twarz, o wysokim czole i głęboko osadzonych, stalowoniebieskich oczach. Musiałaby nie być kobietą, by nie zauważyć, że całe zainteresowanie Gerda ukierunkowane było na nią, że zabiegał o każdą minutę, którą mógł z nią spędzić, że oczy jego nabierały blasku, gdy ją widział i że smutniały, gdy odchodziła. Zdawało się, że dłużej nie potrafi udawać i że powie wreszcie, kim jest. Ale nachodziło ją wówczas uczucie lęku, które powodowało, że milczała. Czyżby obawiała się, że będzie widział w niej jedynie swą kuzynkę? Czy miłość, którą przeczuwała, nie przemieniłaby się po prostu w uczucie, które ma się do swych krewnych? Do tego nie mogło dojść! Kochała go od wielu lat, kochała z całej mocy swego serca. Nie był już dla niej kuzynem Gerdem, lecz był mężczyzną, którego najgoręcej pragnęła. Nie, nie wolno jej było dać się rozpoznać do czasu, gdy będzie miała pewność, że on kocha ją tak, jak ona jego.

XX

Następnego ranka miała odbyć się lekcja jazdy konnej. Martina była pojętną uczennicą, odważną, i z łatwością przyswajała sobie najistotniejsze tajniki jazdy. W swym eleganckim stroju amazonki wyglądała wspaniale.

W niedługim czasie mogła już wybierać się z Gerdem na pierwsze krótkie przejażdżki. Po tygodniu towarzyszyła mu, gdy wyjeżdżał w pole. Było to dla niej wielką atrakcją, gdyż nie musiała już przesiadywać całymi godzinami samotnie w domu, a on nie spieszył się tak bardzo z powrotem do domu. Wyjeżdżali teraz często razem.

Któregoś dnia towarzyszyła Gerdowi w porannym objeździe majątku. — Czy to nie za wiele dla pani? — zapytał zatroskany, gdy minęła godzina, odkąd wsiedli na konie.

Zaprzeczyła potrząsając głową. — O nie. Jakaż to cudowna zabawa galopować i czuć wiatr na policzkach. W ten sposób poznam zresztą najlepiej moją posiadłość i podglądnę różne tajniki prac gospodarskich.

— Aż w końcu nie będzie pani potrzebowała żadnego rządcy. I co stanie się wówczas ze mną? — zażartował.

— O ile wiem, ma pan kontrakt na dziesięć lat — odparła figlarnie. Odetchnął z ulgą. — To dobrze, nie chciałbym nigdy opuścić Rainau.

— Czy dlatego, że Rainau należało kiedyś do pańskiego dziadka?

— Nie, dlatego że należy do pani van Kossum — wykrztusił z siebie podenerwowany.

Zaczerwieniła się. — A jeśli pani van Kossum opuści Rainau? — spytała przyciszonym głosem.

Wychylił się do przodu i spojrzał na nią z niepokojem: — Łaskawa pani, pani chyba nie chce opuścić Rainau?

Zauważyła, że zbladł, gdy odparła: — Cóż, lato niebawem się skończy, a ja zamierzam być tu tylko przez wakacje.

— No, to pomóż mi Boże — wyszeptał bezwiednie.

Nie powinna była tego słyszeć, lecz usłyszała, więc wyprzedziła go, by ukryć mogące ją zdradzić rumieńce. Dogonił ją, a gdy był tuż obok, odwrócił ku niej bladą i poważną twarz. — Łaskawa pani, proszę mi powiedzieć, chce pani naprawdę opuścić Rainau pod koniec lata?

Martina oprzytomniała i odparła: — Nie, zostanę tu.

Nie ukrywał wielkiej radości. — Musi pani wiedzieć — mówił podniecony — że Rainau bez pani jest jak świat bez słońca.

Nie odpowiedziała, pozwoliła koniowi wyrwać się do przodu. Za wszelką cenę chciała ukryć szczęście, które ją przepelniało.

Oczy i całe zachowanie Gerda zdradzało jej, że była kochana tak, jak przez lata o tym marzyła.

Milcząc jechali ku domowi, gdzie zastali pismo z konsulatu niemieckiego w Palembang.

— Ma pan pocztę z Sumatry, panie Volmar — powiedziała Martina, odrobinę niespokojna.

Wziął list do ręki.

— Och, z pewnością wreszcie wiadomość z konsulatu.

— No proszę! Ciekawam, co piszą? — zapytała nerwowo. Gerd rozerwał kopertę, przeczytał szybko i odpowiedział:

— Poszukiwania mojej kuzynki mogą bardzo się przeciągnąć. Konsulat zawiadamia, że Georg Feldner, wujek mojej kuzynki nie żyje. Co prawda zmarł dopiero tego roku, ale Bóg jeden może wiedzieć, na jakim krańcu świata podziewa się teraz mała Martina.

— Czy nie piszą nic o losie pańskiej kuzynki? — spytała, nerwowo bawiąc się szpicrutą.

— Nie, o nią na razie nie pytałem. Sądziłem, że będzie łatwiejsze odszukanie jej wujka.

Wstała. — Niech pan pozostawi to mnie. Ja to zrobię szybciej! Mam przecież znajomych, także w Palembang, skąd nadeszło to pismo.

— Wyświadczyłaby mi łaskawa pani wielką przysługę, gdyż, szczerze mówiąc, obawiam się teraz jeszcze bardzo o los mej małej. Dopóki wiedziałem, że jest pod opieką swego wujka, byłem raczej spokojny. Ale teraz pilno mi, by ją odszukać i zaopiekować się nią.

Wzruszyło ją to do głębi. — Proszę się nie martwić, postaram się o jak najszybszą wiadomość o niej.

— Byłbym pani bardzo wdzięczny.

Martina skinęła mu głową i poszła schodami na górę. Gerd patrzył za nią.

— Łaskawa pani, prosiłbym panią, by zechciała sprawdzić rachunek z firmy meblowej, chciałbym wiedzieć, czy wszystko się zgadza.

— Oczywiście. Przyjdę do pana, gdy się tylko przebiorę.

— Mój pokój to niestety nie miejsce dla dam.

— Mimo to przyjdę tam. Chciałam zobaczyć, jak pan mieszka.

— W takim razie oczekuję na panią z radością.

Pół godziny później Martina zapukała do gabinetu Gerda. Zerwał się od biurka i otworzył drzwi. Weszła i rozejrzała się wokół. Gabinet był prawdziwym miejscem pracy. Na biurku leżały grube foliały ksiąg rachunkowych. Obok kalendarz rolniczy. Na małym stoliku stało kilka szklanych misek z próbkami nasion. Pod ścianą ustawiono skromny regał z literaturą fachową. Szpicruta, rękawice i czapka leżały na stole, który zajmował środek pokoju. Naprzeciw regału stała otomana, a nad nią, na ścianie wisiała broń różnego rodzaju, stanowiąca całą ozdobę tego pomieszczenia.

— A więc tak pan mieszka? Cóż, zbyt wygodnie tu nie jest.

— Mnie wystarcza to w zupełności, łaskawa pani. Jeśli chcę zobaczyć piękne wnętrza, wystarczy bym rozejrzał się po pani pokojach.

Podeszła do otomany, gdzie wisiała broń, i spostrzegła błękitną wstążkę przerzuconą przez szpadę. Nie miała wątpliwości. To była ta sama wstążka, którą porwał jej kiedyś Gerd. Poznała ją natychmiast i zarumieniła ze wzruszenia, zdobyła się jednak na to, by przekornie ująć wstążkę w ręce.

— A to jest z pewnością jakiś fant miłosny? — zapytała kokieteryjnie.

Roześmiał się.

— Ach, kokarda z warkocza mojej kuzynki. Kiedyś w młodzieńczym porywie zabrałem ją jej. Tego dnia wydawała mi się tak urocza, że przysiągłem nosić kokardę na sercu, aż nie zostanie moją żoną.

— To był chyba tylko żart z pana strony?

— Ależ nie, wtedy była to święta prawda. Muszę jednak wyznać, że było to w dniu jedenastych urodzin mojej kuzynki, a jestem starszy od niej o dziesięć lat. Uważałem się jednak za jej rycerza i prawdziwie kochałem to słodkie małe stworzonko. Sumiennie nosiłem tę kokardę na sercu do chwili, aż los zdarzył, że zakochałem się całym sercem, ja młody wówczas porucznik, w przemiłym dziewczęciu. My mężczyźni musimy przez coś takiego przejść, łaskawa pani. Do mej małej kuzyneczki czuję szczerą sympatię i przyjaźń, wszystko inne gdzieś się zatraciło. Ale co to jest miłość, prawdziwa miłość, poznałem dopiero później, dużo później. Znam to dopiero od niedawna — powiedział spuszczać wzrok.

Starła się zachować swobodę. — A jednak złamał pan dane słowo, panie Volmar. Nie nosił pan tej błękitnej wstążki do czasu ślubu z Martiną. I co, gdyby ona polegała na pana przyrzeczeniu?

— Ach, na pewno nie. Była nawet bardzo zła na mnie, bo wraz ze wstążką skradłem jej całusa. Chciała, bym ją zwrócił. Nie, nie, mała Martina z pewnością dawno mnie zapomniała, w przeciwnym razie dałaby znać o sobie.

Któż to wie? — powiedziała cicho, powiesiła wstążkę z powrotem na szpadzie i zwróciła się ku niemu. — Zatem, rachunek, panie Volmar.

Wykonał polecenie, ale nie mógł opanować drżenia ręki.

Sprawdziła szybko rachunek i podniósłszy głowę, napotkała jego rozkochane spojrzenie. Stali tak dłuższą chwilę naprzeciw siebie, nie mogąc oderwać od siebie oczu, ni przerwać milczenia.

Martina drżała z miłości. Zauważył to i nagle opuściło go wszelkie panowanie nad sobą. Przepelnionym tęsknotą gestem wyciągnął ku niej ręce i chciał wypowiedzieć jej imię, ale nie znał przecież jej imienia.

Widziała, że jest bliski zapomnienia się i w odruchowym lęku chciała umknąć od tej zniewalającej siły. Bez słowa wybiegła z pokoju, jakby uciekała także przed samą sobą.

Przeraził się, gdy zamknęły się za nią drzwi, rzucił się na fotel kryjąc głowę w rękach.

Co zrobił? Co zrobił? Zdradził się przed swą chlebobawczynią, odkrył jej, co dzieje się w jego sercu. A ona? Ona uciekła na widok wyciągających się do niej, spragnionych rąk. Uciekła

bez słowa. Ale jej oczy, przecież nie patrzyła ze złością, nie odtrąciła go... I drżała pod jego wzrokiem. Gdyby mógł znać jej uczucia, wówczas...

Zacisnął zęby i westchnął głęboko. Wyciągnięty w fotelu, trwał tak dłuższy czas. I nie zauważył, że Martina przeszła tuż pod oknem przez werandę. Przez otwarte okno widziała, jak siedział z głową wspartą na rękach. — Głupia! — mówiła do siebie — Jakżeż głupia była! Przed czym uciekała? Przed szczęściem? Dlaczego nie rzuciła mu się z radością w wyciągnięte do niej, stęsknione ramiona? A teraz nieprędko on odważy się do niej zbliżyć. Niezadowolona z siebie, poszła do parku na grób matki, który teraz codziennie stroiła świeżymi kwiatami, wyręczając w tym Gerda. Ukłękła przy mogile kryjąc twarz w dłoniach.

— Mamo, kocham go tak bardzo, pomóż mi, mamo! — modliła się żarliwie. Długo kłęzczała nad mogiłą. Wreszcie wstała i poszła do domu.

Przeszła znów pod oknami Gerda. Tym razem pokój był jednak pusty. Z oddali usłyszała tętent galopującego konia. Wychyliła się przez balustradę werandy i spostrzegła parobka — Czy pan rządcą wyjechał konno? — spytała.

Parobek ściągnął z uniżeniem czapkę. — Tak, łaskawa pani, dopiero co odjechał.

Martina poszła na górę do swoich pokoi. Podeszła do okna. W oddali widziała galopującego na koniu Gerda. Wzdychając usiadła i wzięła do ręki fotografię wujka Jana.

„Wujku Janie, kochany wujku Janie, mówiłeś, że chcesz, bym była szczęśliwa. Ale ja mogę być szczęśliwa tylko wówczas, gdy Gerd będzie kochał mnie tak, jak ja kocham jego, gdy będę jego żoną. Drogi wujku Janie, będziesz przy mnie, gdy Gerd mnie pokocha? Ty tak dobry, tak kochany, a ileż musiałeś wycierpieć w swoim życiu!”

To była prawda, wuj Jan najpierw kochał jej matkę, nie mógł jej osiąść, a potem pokochał ją. Ale czyż ona, Martina, mogła spełnić jego oczekiwania? Jakżeż było to możliwe, że temu wspaniałemu, cudownemu mężczyźnie nie dana była prawdziwa miłość kobiety?

Przytuliła policzek do jego zdjęcia. „Kochałam cię bardzo, bardzo, wujku Janie, tyle tylko że inaczej niż kocham Gerda. Wiem jednak, że nigdy nikt nie będzie dla mnie taki jak ty, nawet Gerd. Nikt nie dorówna ci wielkodusznością. Ale Gerda kochałabym, nawet gdyby on mnie nie kochał, po prostu nie potrafię inaczej. On też mnie kocha. Tak, kocha mnie, wiem o tym, czuję to. A ja, głupia, zniszczyłam tę chwilę, gdy chciał mnie przytulić, przegapiłam szczęście i uciekłam. A teraz on, odtrącony, ochłonie, a gdy wróci pokaże mi spokojną, obcą twarz. Ach, wujku Janie, pomóż mi, pomóż bym była szczęśliwa”. Modliła się Martina, w przekonaniu, że wuj pomoże. Postawiła zdjęcie na biurku i wstała. Chodziła po pokoju tam i z

powrotem. Z tęsknotą wypatrywała Gerda. Wrócił jednak dopiero krótko przed obiadem. Wydawało jej się, że jest zmizerowany i blady. Zobaczyła go znów przy stole. Nie, nie myliła się naprawdę źle wyglądał, czoło miał zmarszczone, jakby w bólu. Unikał patrzenia się na nią, niewiele też ze sobą rozmawiali. Nawet ciotki patrzyły ze zdumieniem.

Zaraz po posiłku Gerd dosiadł znowu konia, nie zamieniwszy z nią ani słowa, co zwykły był zawsze czynić. Nie mógł tego dnia znieść jej obecności, czuł bowiem, że nie zapanuje nad sobą. Poza tym uzmysłowił sobie, że życzenia jego były ponad miarę. Uciekła i teraz niewątpliwie złościła się na śmiałka, który odważył się wyciągnąć ku niej spragnione ramiona. Albo też... wstrzymywała ją pamięć o małżonku. Może poczytałby za zdradę przychylność do kogoś innego? W oczach jej nie było przecież złości ani niechęci, a tylko nieokreślony lęk — prawie prośba — coś nie nazwanego, coś, co mimo wszystko pozostawiało mu jednak odrobinę nadziei.

Tak przeszło kilka dni, w czasie których umyślnie Gerd schodził dziewczynie z drogi, a spotykali się tylko w obecności ciotek.

Nic jednak nie mogło Martiny bardziej przekonać o jego miłości, jak właśnie owa powściągliwość. Zbyt dobrze go rozumiała i była sama na siebie zła, że jej głupia ucieczka tak go odstraszyła.

Co teraz zrobić, by stało się dla niego jasne, że jego powściągliwość jest równie niemądra, jak moja ucieczka? Pytała samą siebie.

Przesiadywała znów u siebie, w swojej mansardzie i patrzyła za Gerdem odjeżdżającym na koniu bez pytania, czy nie chciałaby wybrać się z nim razem. Wzdychając podeszła do szafki, w której przechowywała pamiątki. Wyjęła ze szkatułki błękitną wstążkę — bliźniaczkę tej, która wisiała u Gerda na jego szpadzie. W zamyśleniu przesuwiała ją przez palce.

Głupi Gerd — kochany głupi Gerd — kochany Gerd.

I nagle pojawił się w jej oczach szelmowski błysk. „Teraz mogę mu już powiedzieć, że jestem Martiną! Wiem przecież, że mnie kocha”. Rozłożyła wstążkę na małym stoliczku przy oknie. Wzięła czerwony ołówek, którym robiła niekiedy notatki, i napisała na wstążce:

Kochany Gerdzie! Jak długo Martina ma jeszcze czekać?

Krew uderzyła jej do głowy, teraz jeszcze, po napisaniu tych słów, wahała się, czy wykonać swój zamiar. Gdy Gerd przeczyta napis na tej błękitnej wstążce, będzie musiał przypomnieć sobie, że obiecał Martinę uczynić swoją żoną. I jeśli ona zrobi to, co zaplanowała, będzie to jakby upomnienie, by dotrzymał słowa. Tak, przecież to ona była winna temu, że unika jej,

że chodzi smutny i ponury, i dlatego właśnie ona musi to wszystko naprawić. Nie mogła dłużej patrzeć beczynnie, jak się męczył. Wstała i zdecydowanym krokiem zbiegła na dół do pokoju Gerda. Drżącymi rękoma przymocowała wstążkę na szpadzie obok już tam tkwiącej w taki sposób, że Gerd zbliżywszy się do otomany, musiał od razu zauważyć napis.

„Tak, teraz znów jesteście razem — wy, tak długo rozłączone, i teraz pomóżcie, by Gerd odnalazł do mnie drogę” — szepnęła i wymknęła się szybko z pokoju.

Gerd wrócił wkrótce i nieomal minął się z Martiną, gdy ta wychodziła z jego pokoju. Jej nagły rumieniec i spłoszony wzrok zastanowiły go. Nasłuchiwał jej kroków, ale usłyszał tylko, jak weszła do domu i dalej schodami na górę. Szła zatem do swych ulubionych mansard. Gdybyż mógł pójść za nią! Tęsknota zabierała mu spokój i nie opuszczała nawet na chwilę.

Obezwładniony ostatnimi przeżyciami, padł na otomanę i patrzył przed siebie. Nie wytrzymał życia bez nadziei posiadania ukochanej kobiety. Do głębi przepełniony był tęsknotą za nią, wszystkie jego myśli krążyły wokół jej osoby. Jak miał wytrzymać dalsze życie nie z nią, a obok niej?

Zdesperowany poderwał się z kanapy i spojrzął na wiszącą na ścianie broń. Dopiero wtedy oczy jego popatrzyły przytomnie. Nagle zamarł z wrażenia. Obok błękitnej wstążki przerzuczonej przez szpadę wisiała druga, dokładnie taka sama. Jakim cudem znalazła się tu ta druga wstążka? Teraz dopiero spostrzegł czerwony napis, wyraźnie odbijający od niebieskiego tła. Przeczytał:

Kochany Gerdzie! Jak długo Martina nut jeszcze czekać?

Wpatrywał się przez chwilę w ten napis pocierając czoło. Potem zerwał raptownie wstążkę i podszedł z nią do biurka. Leżała tam karteczka z notatkami zrobionymi przez Martinę. Tak, to było to samo pismo. A więc jego chlebodawczyni powiesiła tu tę wstążkę. Była w tym pokoju podczas jego nieobecności. Tyle było na razie jasne. Jeszcze raz przeczytał napis na wstążce. Próbował teraz rozwiązać tę zagadkę. Niewątpliwie pani van Kossum raczyła sobie zażartować. Opowiadał jej przecież o Martinie i o błękitnej wstążce, i o tym, że obiecał ożenić się z Martiną.

Może chciała się zabawić w ten sposób? Czyżby wystarała się w tym celu o identyczną wstążkę? Czy nie chciała dać mu do zrozumienia, że zbliżenie między nimi jest niemożliwe, gdyż dał słowo swej kuzynce?

Nie wiedział, co ma o tym sądzić, najprostsze rozwiązanie zagadki nie przychodziło mu do głowy, bo było właśnie zbyt proste. Był tak zdeorientowany, że nie wiedział, co ma począć.

Zabrał jednak myśli. Jeśli to miało być to, co stanęło między nimi — ta dziecinna obietnica — to nie może ona być żadną przeszkodą, nie może zagrozić mu drogi do ubóstwianej kobiety. Cokolwiek to by było, teraz musi się wszystko, absolutnie wszystko między nimi wyjaśnić. Dłużej nie ścierpi tej niepewności!

Gnany ciekawością i nadzieją, wypadł z pokoju i biegł po trzy stopnie naraz na górę. Bez tchu zapukał do drzwi mansardy.

Martina słyszała jego pośpieszne kroki. Drżąca i pełna wątpliwości, poprosiła, by wszedł. Stał w drzwiach, blady i podniecony, trzymając błękitną wstążkę w ręku.

— Proszę wybaczyć, łaskawa pani — zaczął od razu — ale dłużej nie mogę tego znieść. Musiałem przyjść do pani, by rozwiązać tę zagadkę. Tę wstążkę znalazłem w moim pokoju. Mogła znaleźć się tam tylko przyniesiona przez panią. Pismo pani jest wyraźnie do rozpoznania. Dlaczego pani to zrobiła, co to znaczy? To może przecież być tylko żart! Niech mi pani wybaczy moje zdenerwowanie, ale gdyby pani wiedziała, co się we mnie dzieje! Dłużej nie mogę przebywać obok pani jak obcy, nie zniosę tego. A pani jest taka zagadkowa. Uwielbiam panią, Kocham panią niewypowiedzianie — a jednocześnie wiem, że nie powinienem myśleć o pani teraz, gdy ma pani jeszcze żalobę. Lecz ta niepewność jest nie do zniesienia. Pani zachowanie daje mi niekiedy nadzieję, innym znów razem staczam się w otchłań zwątpienia. Co znaczą słowa na tej wstążce? Sądzi pani, że jestem związany z moją kuzynką obietnicą, o której ona z pewnością dawno zapomniała?

Gdy mówił, mieniła się na twarzy, a teraz powiedziała cicho patrząc na niego rozgorączkowanymi oczyma: — Nie, nie zapomniała i nie zwalnia pana z danego jej słowa.

Przeciągnął ręką po czole.

— O Boże, czy ja zwariowałem, pani przecież nie może poważnie myśleć, że ta obietnica mogłaby stać się przeszkodą dla nas. Łaskawa pani... Nie, nie! To oficjalna formułka. Władczyni moja, uwielbiana moja władczyni! Nie znam nawet twego imienia i co dzień w duchu jakieś nowe sobie wymyślam. Proszę... proszę mi choć tyle zdradzić!

Mimo całego zdenerwowania przemknął po jej twarzy figlarny uśmiech, który wydał mu się znów jakby znajomy.

— Imię? Mam na imię Martina. Zdrętwiał i na chwilę zaniemówił.

— Martina?

Założyła ręce jak zwykle wtedy, gdy w potrzebie i tarapatach przychodziła do niego dawnymi laty.

— Ależ Gerdzie, kochany Gerdzie, czy ty mnie jeszcze nie poznajesz? — spytała cicho.

Rozwarł szeroko oczy i stał tak dobrą chwilę bez ruchu. I nagle jakby łuski spadły mu z oczu, rozpoznał w pięknej pani van Kossum towarzyszkę dziecięcych zabaw, z którą biegał dawno temu na łące w parku.

— Martina, moja mała Martina! Jakież ja byłem ślepy przez cały ten czas! Było tak wiele w tobie, co mi zdawało się bliskie i znane, a jednak nie mogłem sobie tego skojarzyć. Może to z powodu tego obcego nazwiska, może z powodu dystansu dzielącego dziedziczkę i zależnego od niej rządcę. Wybacz mi, że dziś dopiero cię rozpoznaję.

Podszedł do niej i wziął w ramiona w bezgranicznym szczęściu. Przytuliła się do niego i trwali tak chwilę, gdyż z nadmiaru miłości brakło im słów.

— Dopiero teraz, mój drogi Gerdzie, czuję się naprawdę u siebie w domu, w Rainau. Wydaje mi się też, że spełniają się słowa mego ukochanego Jana: „Miłość moja będzie ci towarzyszyła na wszystkich drogach twego życia. A gdy któregoś dnia znajdziesz wielkie, prawdziwe szczęście, wtedy pomyśl: to wyprosił mi w niebiosach wujek Jan”. To szczęście, kochany Gerdzie, przyszło dziś do mnie, ty nim jesteś. Jakże dziwne zrządzenie losu sprowadziło mnie z powrotem tu, do Rainau. — I Martina zaczęła opowieść od dnia, w którym po długiej podróży morskiej do Lahori napisała swój list pożegnalny do Gerda. Płakała, gdy doszła do tragicznej śmierci wujka Georga i długiej choroby Jana. Przytulona do Gerda, mówiła:

— Wyraźnym życzeniem wujka Jana było, bym wróciła do Niemiec, dlatego zabiegał, aby Rainau nie dostało się w obce ręce.

Już po raz drugi słuchał Gerd relacji z jej życia, ale w jakże innej sytuacji. Żal, który nashedł Martinę, starał się rozproszyc pocałunkami. To pomogło, i oczy dziewczyny zabłysły ponownie. Gerd uradowany zmianą jej nastroju, powiedział:

— Gdy po roku żałoby pojmem cię za żonę, słowa twego kochanego Jana przyjmę na siebie jako dozgonne zobowiązanie. Ten wielkoduszny człowiek myślał przecież o twoim szczęściu, gdy uczynił cię żoną w przededniu swej śmierci. Marny mój los, gdybym nie dał ci szczęścia.

Przytuliła się do niego. — Tylko ty możesz to uczynić, Gerdzie. Zawsze kochałam tylko ciebie. Twój obraz nosiłam w sercu, nawet wtedy, gdy jeszcze nie wiedziałam, co to miłość. Zawsze też tęskniłam za tobą.

Głaskał jej włosy. — A ja byłem taki niewierny, moje ty kochane serduszko — powiedział, prawdziwie gniewając się na siebie.

Śmiała się cichutko. — Tak, okropnie niewierny. Ale cóż, wybaczam ci. Jak mógłbyś przez całe swe życie wspominać i myśleć o takiej małej, głupiutkiej dziewczynce, jaką byłam wtedy. A mimo to tak ciepło i czule o mnie mówiłeś.

Przygarnął ją do siebie. — Teraz dopiero wiele rzeczy stało się dla mnie jasnych, ty figlarko. Teraz wiem, dlaczego miałem zagrać menueta, dlaczego miał to być właśnie Boccherini, dlaczego chciałaś dbać o grób twojej mamy i czemu kazałaś urządzić pokoje na poddaszu. O Boże, ależ ja byłem ślepy. Powinienem był skojarzyć, że przybyłaś z Sumatry, że miałaś tam wujka, który zmarł w tym roku. I w ogóle... Ach, powinienem był cię poznać po tych złocistych warkoczach i promiennych oczach.

Potwierdziła z zabawną zarożumiałością. — Tak, oczywiście, ale za to ja często w myślach mówiłam do ciebie: Ty głupi Gerdzie, i jeszcze niczego się nie domyślasz?

Roześmiali się oboje. — Mam tylko jedno na swoje usprawiedliwienie, ty moje kochanie: po prostu na twój widok straciłem rozum. Możesz się ze mnie śmiać. Ale z drugiej strony pomyśl, jakże mogłem przypuszczać, że z mojej biednej, zastraszonej, małej Martiny wyrośnie tak piękna, dumna dama. A z przepędzanej z kąta w kąta córki biednej Marii, dziedziczka — pani na Rainau.

Przytaknęła. — Takie było zrządzenie niebios. Możesz sobie teraz wyobrazić, jak ogromnie cieszyłam się, gdy wujek Jan powiedział, że chce kupić dla mnie Rainau.

— To może i mój kontrakt zawdzięczam tobie?

— Niezupełnie. Co prawda, wujek Jan sporo chciał usłyszeć o tobie, i wiedział, że bardzo cię lubię, i że martwię się o ciebie, ale gdyby nie zrobiło dobrego wrażenia na wujku Janie to, co dyrektor Boolkman o tobie opowiedział, nie jestem pewna, czy zatrudniłby cię. Najbardziej zainteresowało go, że zrezygnowałaś na rzecz ciotek ze swej części spadku. To przemawiało nawet bardziej na twoją korzyść aniżeli rezygnacja na rzecz mnie...

Odetchnął głęboko. — A teraz jesteś tak bogata, że wcale nie jest ci to potrzebne.

Promieniejąca szczęściem, spojrzała na niego i odparła: — Wujek Jan chciał dać mi podstawę bezpiecznego i dostatniego życia, więc uczynił mnie swoją spadkobierczynią. Teraz ty, drogi Gerdzie, martw się o to, by to bogactwo nie uczyniło mnie nieszczęśliwą. Pomóż mi korzystać z niego tak, by stało się błogosławieństwem.

Patrzył długo w jej oczy, jakby nie mógł jeszcze uwierzyć, że to jego Martina. — Moje serce złote, masz rację, nigdy nie staniemy się niewolnikami tego bogactwa — wyszeptał i nim odpowiedziała, pocałował ją w usta.

— Chodźmy do mamy powiedzieć jej o naszym szczęściu — zaproponowała Martina i pociągnęła Gerda do parku.

Szli do cichego zakątka pod kasztanowcami, niosąc naręcze kwiatów. Martina położyła bukiet na grobie matki, ale jedną, szczególnie piękną białą różę zatrzymała w dłoni.

— Tę poświęcam tobie, wujku Janie, czuję, że jesteś przy mnie i cieszysz się moim szczęściem — powiedziała ze wzruszeniem.

Złożyła na róży pocałunek i położyła na dłoni, jakby podawała ją komuś niewidzialnemu. Poryw wiatru niespodziewanie uniósł różę z jej dłoni, i upuścił tak, że padła u stóp mogiły Marii, na rosnący tam bluszcz. Czy padła wprost na serce Jana van Kossum, tak jak w owym śnie, gdy ujrzął przyszłość?

Gerd objął Martinę. — Jestem pewien, że życzliwi nam błogosławią nas teraz, Martino. A u grobu twojej matki przysięgam, że szczęście twoje będzie mi zawsze cenniejsze aniżeli moje.

Powoli poszli w stronę domu. W holu wyszła im naprzeciw ciotka Melania.

— Och, łaskawa pani, szukałam pani nadaremnie w jej pokojach. Pokojówka też nie wiedziała, gdzie pani przebywa. Chciałyśmy prosić do stołu.

Gerd spojrzał na swój strój do konnej jazdy.

— Spóźniliśmy się. Proszę jeszcze o pięć minut, chciałbym się przebrać. Gdy po deserze jeszcze siedzieli przy stole, Gerd wstał.

— Kochana ciociu Melanio, kochana ciociu Heleno, pragnę was zawiadomić, że w dniu dzisiejszym zaręczyłem się z panią van Kossum.

Obie starsze damy patrzyły jak nieprzytomne.

— Gerd, czy to prawda? — wyjąkała ciotka Helena.

Gerd i Martina wymienili promienne spojrzenia. — W tych sprawach nie żartuje się. Pani van Kossum jest moją narzeczoną. A teraz chyba już pora, abyście dowiedziały się, jakie jest nazwisko panięskie mojej narzeczonej, które zresztą ja sam też dziś dopiero poznałem. Otóż nazywała się... Martina Dornberg i jest córką waszego brata Ruperta i Marii...

Ciotki zbladły z przerażenia. Siedziały nieruchomo i patrzyły na Martinę, jakby stamtąd paść miał na nie wyrok.

Martina, odgadując ich obawy, rzekła:

— Nie denerwujcie się, nie zamierzam się mścić. Zdążyłyście chyba już zauważyć, że nie jest to mój cel. Poza tym, jestem zbyt szczęśliwa, by odczuwać złość czy gniew. Uwolnię was też zaraz od niepewności. A więc przede wszystkim zdeponowane dla mnie pieniądze ze

spadku otrzymuje na moje życzenie Gerd, ponieważ jemu się one należą. Jednocześnie przekażę jednak taką samą sumę na wasze konto. Możecie też dożywotnio pozostać w Rainau, będziecie tylko musiały przenieść się do wyremontowanego budynku administracyjnego, ponieważ po ślubie chcemy w tym domu mieszkać z Gerdem sami. Zadbam o to, abyście miały tam przyjemnie. Lepiej będzie dla nas wszystkich, jeśli będziemy w przyszłości mieszkać osobno. Możecie też nadal pomagać w gospodarstwie, oczywiście na tyle, na ile pozwalają na to wam siły. To chciałam powiedzieć już teraz, bo w tym dniu chcę widzieć wokół siebie same radosne twarze.

Obie uspokojone już ciotki mamrotały coś niezrozumiale o lęku, radości i wybawieniu. W końcu zdobyły się nawet na gratulacje i życzenia. Ciotka Helena rozpląkała się ze wzruszeniem: — Nie zasłużyłyśmy na twoją dobroć, byliśmy dla ciebie doprawdy wstrętne i obrzydliwe dla twej matki. Jesteś aniołem, że nie masz do nas złości.

— Amen — powiedział Gerd głośno i dosadnie, po czym wziął swą narzeczoną w ramiona i by wybawić ją od niemilej wylewności ciotek, wyprowadził z jadalni.

XXI

Od śmierci Jana van Kossum minął rok. Wkrótce po Bożym Narodzeniu Gerd Volmar stanął ze swą narzeczoną na ślubnym kobiercu. Uroczystość odbyła się w małym wiejskim kościółku. Martina spędziła jesienią kilka tygodni w Amsterdamie, a Gerd — w tym właśnie czasie — zajął się, zgodnie z życzeniem Martiny, urządzeniem kilku pokoi dla siebie. Ciotki także miały sporo zajęcia; przygotowywały sobie pokoje w starym budynku administracyjnym, dokąd miały przenieść się zaraz po ślubie młodej pary. Święta Bożego Narodzenia — pierwsze po wielu latach w Niemczech — urządziła Martina w Rainau. Zaraz potem, z początkiem stycznia odbył się cichy ślub i uczta weselna dla najbliższych osób.

W podróż poślubną popłynęli na Sumatrę, wcześniej zatrzymali się w Amsterdamie. Chodziło o to, by Gerd poznał stary pałacyk van Kossumów. Spotkali także dyrektora Bookmana, który powitał ich serdecznymi gratulacjami.

Jamie pozwolono, by towarzyszyła swej pani. Ucieszyła się bardzo, gdyż miała zapewnienie, że wróci jeszcze do Niemiec.

Podróż morska wydała się młodej, szczęśliwej parze bardzo przyjemna i nie wiedzieć kiedy dobili do Palembang. Przenocowali tradycyjnie już w hotelu „Królowa Emma”, a następ-

nego dnia Martina namówiła męża na przejażdżkę słynnymi kanałami Palembangu. Wybrali się też w górę rzeki Moesi parowcem, aż do przystani w Lahori. Tu oczekiwali ich mijnheer i mevrouw Gould, jak zwykle gościnni. Martina mogła wreszcie pokazać swemu mężowi wszystkie miejsca, gdzie kiedyś była szczęśliwa. Zaprowadziła go także na grób spoczywających obok siebie wujków. Zaskoczony Gerd rozpoznał w twarzy marmurowego anioła rysy swej młodej żony.

Pojechali jeszcze na kilka dni do Padang. Wrócili potem do Lahori, gdyż zostawili tam Jamę, podziwianą tu przez swoich ziomków w rodzinnym kambudzie.

— Jamo, nie chciałabyś zostać w swej ojczyźnie? — spytała Martina, gdy Jama opowiadała o wydarzeniach w wiosce.

Jama zaprotestowała wielce wystraszona. — Tylko przy tobie chcę być, pani. Moje siostry są bite przez ich mężczyzn i muszą pracować ciężko na polach ryżowych. Weź Jamę ze sobą, pani! Nikt nie jest tak dobry, jak ty!

— Nikt nie jest tak dobry jak moja słodka żona, Jama ma rację, że zostaje przy tobie — powiedział Gerd z czułością.

I wreszcie rozpoczęła się powrotna podróż do Niemiec. Poprzedziło ją serdeczne pożegnanie z Gouldami, którzy obiecali odwiedzić Rainau, gdy będą w Europie.

Po powrocie nowożeńcy zastali Rainau przystrojone kwiatami. Wielki napis na bramie wjazdowej głosił: „Serdecznie witamy w ojczystych stronach”. Tak witali ich wszyscy, którzy pozostali w Rainau.

Oni zaś przynieśli temu domowi szczęście, gdyż sami byli nim przepełnieni.

